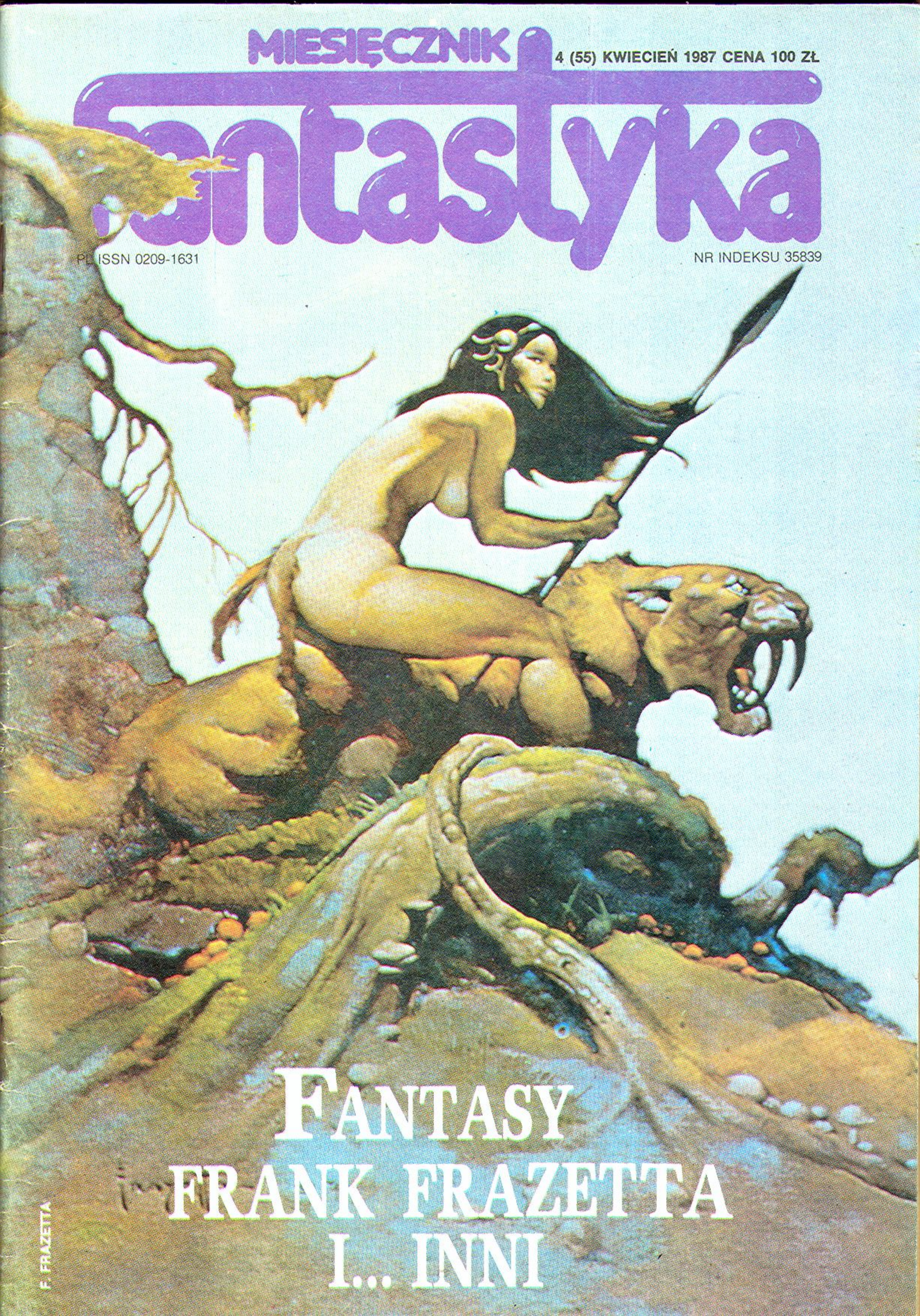

MIESIĘCZNIK
fantastyka
4 (55) KWIECIEŃ 1987 CENA 100 ZŁ
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839
FANTASY
FRANK FRAZETTA
I... INNI
F. FRAZETTA

GALERIA

FRANK FRAZETTA



„Pracuję, a dzieci biegają wokół, psy szczekają, koty miauczą. To najgłośniejsze miejsce na świecie. Ale to mnie rajcuje i najchętniej maluję w hałasie. I im jest głośniej, tym szybciej pracuję".

Na pierwszy rzut oka, obrazy Franka Frazetty nie sprawiają wrażenia malowanych pospiesznie, w hałasie. Pobieżna choćby analiza wykazuje znakomity warsztat, oparty na doświadczeniach zarówno impresjonizmu, jak i taszyzmu – przez fakturalne traktowane powierzchni obrazu i szkicowy, lekki rzut dalszych, mniej ważnych dla anegdoty planów. Frazetta nie bawi się szczegółem, budując intrygę literacką plamą o kolorycie zazwyczaj gorącym, podporządkowanym kompozycji obrazu; dla detali rezerwuje stonowaną barwę lokalną o bezbłędnie trafionym walorze. Lecz z pewnością nie warstwa formalna jego twórczości zaważyła na decyzji 24. Konwentu World SF w Cleveland (USA, 1966) o przyznaniu mu nagrody „Hugo" w kategorii „Artysta profesjonalny".

W roku 1966 miał Frazetta 38 lat i od ponad dwudziestu pracował jako ilustrator. Urodził się w rodzinie włoskich emigrantów w Nowym Jorku. Fama głosi, że w wieku trzech lat usiłował sprzedawać swoje rysunki licznym krewnym i sąsiadom z Brooklynu, gdzie mieszkał. Brak sukcesów handlowych nie zniechęcił jednak małego chłopca do rysowania i jako ośmioletnie „cudowne dziecko" został oddany do ekskluzywnej szkoły „Brooklyn Academy of Fine Arts". Tam, pod opieką wybitnego podobno malarza i pedagoga Franka Falangi, studiował rysunek. Mając lat 16 zaczął regularną pracę na własną rękę, zrazu jako komercjalny rysownik, potem jako samodzielny autor komiksów i historyjek do prasy codziennej. Debiutował w roli współpracownika znanego wówczas Johna Giunty, pracując równocześnie nad własnym komiksem o człowieku śniegu. Jego specjalnością stały się niezwykłe zwierzęta, antyczni bohaterowie, słowem „przygody nie z tej ziemi", dziś określane mianem „fantasy". Lecz jego twórczość nie wyróżniała się wtedy niczym specjalnym w tamtych – a były to lata czterdzieste – czasach. Przebijał się raczej z trudem jako samodzielny artysta, nie posiadając własnego stylu; potrafił natomiast narysować „wszystko". Pewną popularność zdobył dopiero w 1952 roku komiksem „Thun'da"; jego autorstwa jest też do dziś znana postać kosmicznego pilota Bucka Rodgersa. „Okres komiksowy" obejmował również współpracę z różnymi wydawnictwami „dla panów tylko", z mniej obskurnych należy wymienić „Playboya" i historyjki o Annie Fannie.



dokończenie na stronie 7


Korga

12, 59

Polak, Węgier – dwa bratanki... Tym razem szczególnie polecamy opowiadanie Andrása Gáspára „Proszę wrzucić monetę", wybrane z węgierskiej „Galaktiki", o której piszemy w dalszej części numeru. Ponadto drukujemy przeprowadzoną podczas ostatnich Dni Fantastyki rozmowę z Péterem Kuczką, szefem tego zbliżonego profilem do naszej „Fantastyki" miesięcznika, oraz informujemy o przygotowaniach do kongresu World SF '88, który odbędzie się w Budapeszcie.

Boże, to już wiosna w tej czwartej tegorocznej „Fantastyce" (chociaż gdy to piszę, widzę ją na razie tylko oczami wyobraźni i marzeń w aurze 30-stopniowego mrozu). „*Wiosna radosna kobierzec tka, pod stopy ściele pól aromaty, szaty jej mgła – tica jej kwiaty*".

Może wiosenne powiewy rozświetlą wreszcie i przetrą trochę oczy tej części krytyki polskiej, która stara się z maniackim uporem nie dostrzegać prawdziwych gustów współczesnej publiczności literackiej, ciągle udając, że nie widzi fali nowego romantyzmu ogarniającej cały nasz findesieclowy świat. Romantyzmu, w którego awangardzie znajdują się bez wątpienia pisarze-fantaści, czytywani z wielokrotnie większą zachłannością przez ogromne rzesze odbiorców pop-literatury, niż wszystko inne, co wymienia się przez cmokierów księgarskich i tych z kręgu krytyki – w rubrykach o bestsellerach. Tak jest, trzeba to wreszcie *expressis verbis* wyrazić: w postaci fantastyki ideał czy raczej ideały romantyzmu w sztuce sięgają bruku, stają się własnością niemal wszystkich. Tym różni się ten nowy romantyzm przede wszystkim od poprzedników – wielkich i małych.

Chciałoby się bardzo, aby nasza planeta wyglądała lepiej, przynajmniej chociaż trochę lepiej niż ją oglądamy przy końcu bardzo zresztą zróżnicowanego politycznie, społecznie, kulturowo i naukowo – dwudziestego stulecia. W „Obłoku Magellana", jednej z pierwszych powieści fantastycznych, które Stanisławowi Lemowi torowały drogę do sławy i chwały światowej, jest scena bardzo znamienna. Bohaterowie dalekiej przyszłości, uczestniczący w koncercie Beethovena, wołają, jakby to było ich wielkie odkrycie: *„On o nas wiedział"*. Człowiek Homera, Szekspira, Mickiewicza, Beethovena, a także Aldissa, Nesvadby czy Lema – jest w gruncie rzeczy identyczny. I ta właśnie banalna prawda tkwi u podstaw mego optymizmu, bardzo zresztą umiarkowanego. Stanowi główną podporę moich nadziei, że humanizm i romantyzm w szerokim pojęciu tych znaczeń, jako pragnienie kultywowania najbardziej ludzkich wartości moralnych i materialnych, potrafi w końcu przezwyciężyć okrutne wizje i jeszcze okrutniejsze próby współczesnych Herostratesów.

Człowiek dzisiejszy, zjadacz chleba, jak go nazywał wspaniały poeta polski, rywal Mickiewicza, Juliusz Słowacki, czuje się powołany do osądzania zarówno wielkich, jak i maluczkich tego świata, a także i wytworów myśli i pracy ludzkiej. Mam bowiem wrażenie, że wiele fantazji i wiele rozczarowań zwykłych ludzi, tych zjadaczy chleba schyłku XX wieku, płynie nie tylko z rozdarcia tego świata na różne antagonistyczne

...3...2...1...



frakcje, lecz również z obawy przed „tyranią nauki", tyranią, przed którą zresztą przestrzegał sam przecież uczony i to dużej klasy – profesor Bernal, a która to nauka ingeruje w każdy prawie nasz ruch, w każdy kęs pożywienia, w każdy oddech, każde uderzenie serca. Raz nie spełnia pokładanych w niej nadziei, to znowu obiecuje zbyt wiele, ale na razie skala tych obietnic w stosunku do potrzeb bywa wprost śmieszna (iluż z nas może sobie pozwolić na wymianę serc, na przykład?) albo zamiast pomagać wręcz niszczy. Powietrze, wodę, glebę. Te bardzo dekadenckie nastroje (też cecha romantyzmu) płyną z faktu najbardziej chyba znamiennego dla naszych czasów. Tylko, że w naszych czasach ten fakt, moim zdaniem, zadecyduje o przyszłości. Jest to masowość ocen i reakcji – na wszelkie zjawiska dobre i złe – o jakiej dawniej śnić nie było można. Każdy prawie zwykły człowiek dzisiejszy, taki jak ja, i miliardy podobnych do mnie, konfrontuje siebie, swoje potrzeby i marzenia, z tym co sam wytwarza, co potrafi zrobić, co robią inni. Ta powszechna postawa krytycyzmu i kontroli odgrywa w moim małym optymizmie najważniejszą rolę.

Nie wiem i nie mogę wiedzieć czy przez cały wiek przyszły utrzymają się podziały świata polityczne, gospodarcze, ideowe przejawiające się nawet w walkach na tle religijnym. Fantastyka, którą jako pisarz uprawiam, na przemian z przedstawieniem współczesności, służy raczej do obrzydzania złych wzorców społecznych i osobowych niż do malowania wspaniałości jutra. Nauka nie potwierdziła nadziei, jakie pokładała początkowo w futurologii. Mam natomiast niepłonną nadzieję, że z powszechnej świadomości zagrożeń, z nacisku wielu milionów ludzi będzie musiało wreszcie stopniowo dojść do consensusu w szerokim tego słowa znaczeniu. Porozumienie światowe, z trudem budowane, może być największym triumfem zjadaczy chleba powszedniego, zwykłych ludzi. Chwała więc środkom masowego przekazu, błyskawicznej międzyludzkiej komunikacji, która zjadaczowi chleba służy nie do samego tylko połykania pigułek rozrywki, lecz także i chyba przede wszystkim do wymiany myśli, poglądów, do percepcji tego, co się wokół dzieje. Nauka więc, ta nauka, która budzi tyle zastrzeżeń, staje się w jakiś sposób źródłem powszechnej myśli opiniotwórczej, zdrowego sensu i jeszcze zdrowszego porozumienia ponad wszelkie kurtyny i kordony. Oto paradoks! W tym, co w tej chwili piszę, tkwi więc także odpowiedź na pytanie skąd czerpię swoje poglądy na przyszłość ludzkości. Czerpię je stąd, skąd wszyscy zwykli ludzie: z kontaktów z bliskimi i dalekimi, ze światem i jego sprawami.

I tymi, jakże szybkimi i jakże szerokimi kontaktami wzajemnymi w tym naszym podzielonym świecie różnimy się od naszych przodków jakże do nas psychicznie i fizycznie podobnych. Bliskość z odległości będzie coraz bardziej postępować i musi to rzutować na sprawy jutra, na sprawy XXI wieku.

Myślę, że epoka, która zacznie się już za piętnaście lat nie będzie wcale uboższa w wydarzenia niż wiek odchodzący, wiek podróży księżycowych i zadatków wojny atomowej, dwóch bezlitosnych światowych kataklizmów wojennych, rewolucji, upadku imperiów, a nade wszystko rosnącej stale świadomości tego co się dzieje i co może się stać.

Ta świadomość, ten jej rozwój, obiecują inny przebieg przyszłości niż to, co przeżyły przeszłe i teraźniejsze pokolenia. Być może minęliśmy właśnie czy mijamy kulminację grozy, kulminację ryzyka. Ale przejście do innego klimatu dziać się może tylko powoli, stopniowo. Zbyt głęboko bowiem zapadły w naszą psychikę sprawy znane nam z historii ludzkości i z autopsji, nasze wizje jutra nie mogą być jeszcze całkiem wolne od koszmaru, zdrowe i jasne. To balast, ciemny romantyczny balast, który w sobie nosimy i którego będziemy się z czasem stopniowo pozbywać. Myślę, że należąc do pokolenia wojennego mam jednocześnie maleńką, ale zawsze szansę należenia też do ciągu pokoleń europejskich, dla których (nareszcie !!!) wojna będzie stawać się czymś coraz bardziej obcym. I w ten sposób ja, jak wielu innych zwykłych ludzi, zjadaczy chleba, przeżywam swoją własną romantyczną historię.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek. **Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 672 57 32
Nakład 150 000.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631

Oddano do składu 28 stycznia 1987 r.

Czytelnicy i „Fantastyka”

LĄDOWANIE L

DWA NOWE KWARTALNIKI

Szanowni Państwo! Czytelnicy!

Dziś po raz pierwszy ja do Państwa piszę list, zamiast przytaczać na tych łamach Wasze wypowiedzi, cytować Wasze dyskusje, odnotowywać pretensje, żądania i propozycje.

A zabieram się do tej z Państwem korespondencji nie z okazji osiągnięcia liczby pierwszych pięćdziesięciu „Lądowań” i nie dlatego, aby wyrazić specjalne podziękowanie za uznanie dla tej rubryki, jakkolwiek jestem wdzięczny naprawdę, że doceniacie moje wysiłki. Że możemy sobie poskakać do oczu, mimo iż dzielą nas odległości nie tylko w kilometrach, ale i w czasie, wyrażające się przede wszystkim czteromiesięczną różnicą między tym co napiszecie do mnie, a tym co jestem w stanie z Waszych listów opublikować.

Musiałem do Państwa zaadresować ten list przede wszystkim po to, żeby ukazać, jakie zmiany i jakie innowacje postaramy się w najbliższym czasie, my, redaktorzy Waszego pisma, wprowadzić stopniowo w życie. A ponieważ są to rzeczy niemałe, nad którymi już pracujemy, nadszedł czas, aby Was o nich powiadomić, zasięgając Waszych, Państwa, opinii. Albowiem to, co przygotowujemy jest w dużej mierze wynikiem sugestii Państwa, często publikowanych w tej rubryce, sugestii mocno unaocznionych nam w wynikach II sondażu i tego co już przychodzi w ramach następnej naszej akcji sondażowej.

A więc *ad rem*. Rozpoczęliśmy obecnie pracę nad stworzeniem kwartalnika dla dzieci **„Mała Fantastyka”**, przeznaczonego dla tych co mają od 9, 10 lat życia do 13, 14. Najmniej było i bywa dla nich w dużej „Fantastyce”, a przecież oni się ogromnie literaturą i sztuką SF oraz nauką interesują.

Dlatego raz na kwartał otrzymają dodatek samodzielny, osobny, 48-stronicowy, zawierający opowiadania zarówno zagraniczne, jak i krajowe, najciekawsze, jakie uda nam się zdobyć, mnóstwo oryginalnych ilustracji, kącik pasjonujących informacji naukowych, słowniczek terminów i autorów, tak żeby nie było już pytań co to jest fantasy, kto ją pisze, czy na czym polega space opera i kto w kraju i za granicą najlepiej ją tworzy. Rodzynkiem, jednym z kilku w każdym z numerów „Małej Fantastyki”, ma także się stać komiks, tak jest, komiks dla młodych naszych Czytelników, rzecz o parze nastolatków, której dane było pozyskanie niezwykłego komputera, dzięki któremu mogą przeżywać niesamowite przygody.

Druga duża nasza innowacja to wydawanie dodatku kwartalnego dla wszystkich Czytelników **„Fantastyka-Komiks”**, znowu samodzielnego, o odrębnej cenie, całego poświęconego komiksowi. Nie znaczy to, że komiks w odcinkach zniknie z łamów normalnej „Fantastyki”, będzie tu nadal. Natomiast każdy numer dodatku wypełni osobny komiks, w całości. Objętość – podobnie jak „Małej Fantastyki” – 48 stron formatu A4, prawie identycznego z macierzystą „Fantastyką”.

Aby uruchomić kwartalnik komiksowy będzie potrzebny cały kredowy, pięknie błyszczący papier, na którym obecnie drukujemy postery i okładki do naszych powieści. W związku z tym przestaniemy na razie drukować postery i okładki na oddzielnych afiszach, jako oddzielne wydawnictwa. Jeszcze raz podkreślam to – na razie. Pulę papierową zaś wykorzystujemy na okładki do „Fantastyki – Komiksu”. Będzie to na pewno hit na naszym rynku. Zgromadziliśmy zapas pasjonujących komiksów krajowych i zagranicznych. Jesteśmy także przekonani, że jak tego domaga się większość miłośników twórczości komiksowej – nastąpi także triumfalny powrót Funky'ego Kovala, tym razem w kolorze.

Powstaje oczywiście zasadnicze pytanie, gdzie będziemy umieszczać okładki do naszych powieści ze środka numeru zwyczajnej „Fantastyki”? Do kilku najbliższych powieści zostały już wydrukowane na posterach, do następnych okładki te znajdą się, jak to już niegdyś bywało na ostatnich stronach okładkowych „Fantastyki”. Zadowoli to tych naszych odbiorców, którzy narzekali na dystrybucję osobno wydawanych okładek, na trudności w ich pozyskaniu itp.

Oczywiście po przeczytaniu tego wszystkiego Państwo natychmiast chwycą do rąk pióra i papier, aby przede wszystkim zapytać kiedy nasze obietnice o „Małej Fantastyce” i „Fantastyce-Komiksie” nabiorą realnych szans spełnienia. My na to możemy tylko tak odpowiedzieć: decyzje w obydwu sprawach zostały podjęte, prace rozpoczęte. Pragniemy się wywiązać z naszych nowych, niełatwych zobowiązań jak najsolidniej, ale także i możliwie jak najprędzej. Ze względu na potrzeby organizacyjne, a nade wszystko na wydłużony, trzy i półmiesięczny proces składania tekstów, przygotowywania ilustracji i druku, spodziewam się, że pierwsze numery nowych dodatków do „Fantastyki” wyjdą zapewne na wakacje bieżącego roku. Rzecz jasna zawiadomimy o tym i w radiu i w telewizji, a także w prasie codziennej.

Prosimy ogromnie Czytelników o wyrozumiałość w tej sprawie i cierpliwość. Kiedy się pragnie coś naprawdę nowego i ciekawego spreparować nie idzie to bardzo łatwo. Trzeba się będzie więc liczyć także z pewnymi opóźnieniami, z naszymi kłopotami i trudnościami, ale postaramy się nie zawieść nadziei Czytelników i jak najszybciej uraczyć ich naszymi samodzielnymi dodatkami. Proszę równocześnie o opinie na przedstawione tutaj sugestie i wymagania, jakie Państwo postawicie wobec nowych tytułów – dodatków do „Fantastyki”. Czekam. Otwieram dyskusyjne „Lądowanie”.

Redaktor

■



Tomasz Zakszewski

Gene Wolfe

MAPA

(The Map)

Poprzedniej nocy zapomniał o wszystkich swoich planach i walczył. Nawet na wpół oślepiony własną krwią, gdy Laetus rozbił mu dzban na głowie. I być może tak właśnie było najlepiej.

Jednak gdyby nie zabrali mu noża, kiedy spał, pewnie by ich oboje zabił.

„Mistrz Gurloes będzie się gniewał" – tak kiedyś zwykli mówić, żeby wzajemnie zasiać w sobie strach przed złymi czynami. Severian również by się gniewał, to pewne, a Severian bił go niejednokrotnie. Wypluł zakrzepłą krew. Bił go mocniej, niż Laetus i Syntyche ostatniej nocy. Severian był kapitanem terminatorów w roku poprzedzającym jego własny.

Teraz Severian był Autarchą, Severian był prawem i mordercy umierali z ręki prawa.

Ktoś łomotał w luk. Znowu splunął – tym razem do kubła na odpadki. Krzyknął w stronę bulaja. Wpadało tamtędy akurat tyle światła, żeby mógł zobaczyć na koi Syntyche wgniecenie, zostawione przez jej ciało, ułożone twarzą w stronę ściany, udające sen. Wygładził je dłońmi.

Przez chwilę szukał po omacku swego ubrania i noża, ale nóż zniknął. Zachichotał i zaczął się wiercić na wąskiej koi, wpychając w spodnie obie nogi na raz.

Znowu walenie. Łódź zakołysała się, gdy przybysz zaczął szukać innego wejścia do kabiny. Eata splunął po raz trzeci i z przyzwyczajenia sięgnął w górę, żeby odsunąć już odsunięty rygiel.

Przybysz podniósł pokrywę i ostrożnie zszedł po stromych stopniach.

– Uważaj na pokładniki.

Schylił głowę, odwracając się. Był dostatecznie wysoki, żeby musieć to robić.

– Pan jest kapitan Eata?

– Siadaj na drugiej koi. Już nikt jej nie używa. Czego chcesz?

– Ale pan jest Eata?

– O tym porozmawiamy później, może. Jak mi powiesz czego chcesz.

– Przewodnika.

Eata obmacywał rozcięcie na głowie i nie odpowiedział.

– Powiedziano mi, że jest pan inteligentnym człowiekiem.

– Nie powiedział tego przyjaciel.

– Potrzebny mi człowiek z łodzią, żeby mnie zawieźć w dół Gyoll. Żeby mi powiedzieć wszystko, co będę chciał wiedzieć o ruinach. Powiedziano mi, że znasz je lepiej niż ktokolwiek inny.

– Asimi – powiedział Eata. – Jedno asimi za każdy dzień. I będziesz mi musiał pomóc prowadzić łódź – mój pomocnik i ja mieliśmy małą sprzeczkę ostatniej nocy.

– Powiedzmy sześć miedziaków, dobrze? To powinno potrwać tylko jeden dzień, a ja...

Eata nie słuchał. Zauważył, że jego skrzynia ma wyważony zamek i teraz się śmiał.

– Klucz jest w mojej kieszeni! – Złapał młodszego, wyższego mężczyznę za kolano. – A spodnie leżały na podłodze! – Był tak rozbawiony, że niemal dławił się słowami.

Wody Golle tutaj, w tej płaskiej krainie, przez nią samą stworzonej, płynęły powoli i leniwie – jednak wiatr wiał ze wschodu i łódź Eaty przechylała się nieco pod naporem szerokiego żagla. Stare słońce, teraz stojące już dobrze ponad najwyższymi wieżami, malowało czarny obraz żagla na oleistej wodzie.

– Co pan robi, kapitanie? – spytał przybysz. – Jak pan zarabia na życie?

– Wożę wszystko, za co mi płacą. Towary do delty i rybę do miasta, głównie.

– To ładna łódź. Pan ją zbudował?

– Nie – odpowiedział Eata. – Kupiłem. Nie tak szybka, jak by się chciało. – Głowa ciągle go bolała, oparł się o rumpel z dłonią przyciśniętą do skroni.

– Tak, żeglowałem trochę po tym jeziorze na północy.

– Nie pytałem – powiedział Eata.

– Nie wydaje mi się, abym wymienił swoje imię. Brzmi ono Simulatio.

– I oczywiście jest prawdziwe, nie wątpię.

Przybysz odwrócił się. Przez chwilę majstrował przy naciągu kliwerszota, żeby Eata nie zobaczył nagłego rumieńca na jego policzkach. – Kiedy dotrzemy do opuszczonych części miasta?

– Koło nony, jeśli wiatr się utrzyma.

– Nie wiedziałem, że to zabierze tyle czasu.

– Powinieneś wynająć mnie dalej, w dole rzeki. – Eata zachichotał. – A to będzie dopiero początek martwych rejonów. Pewnie będziesz chciał płynąć jeszcze dalej.

Nieznajomy odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

– Jest bardzo duże, prawda?

– Większe niż potrafisz sobie wyobrazić. Ta część – tu, gdzie żyją ludzie – jest tylko jego obrzeżem.

– Zna pan takie miejsce, w którym schodzą się trzy szerokie ulice?

– Pół tuzina, może więcej.

– Położone najdalej na południe, jak sądzę.

– Mogę cię zabrać tak daleko na południe, jak sam byłem. Nie mówię jednak, że to jest najdalej jak można.

– Zaczniemy więc właśnie tam.

– Zanim tam dotrzemy będzie już ciemno – powiedział Eata. – Następny dzień to będzie następne asimi.

Nieznajomy skinął głową.

– Jeszcze nie dopłynęliśmy nawet do ruin.

Eata wskazał ręką.

– Widzisz te ubrania? Piorą je przy brzegu rzeki. Ludzie tutaj mają dosyć jedzenia, więc stać ich na dwie, może nawet trzy koszule. Dalej na południe już ich nie zobaczysz – jak ktoś ma jedną koszulę, czy w ogóle jedną zmianę ubrania, to nieczęsto je pierze. Ale zauważysz dymy z kominów. A jeszcze dalej nawet dymów nie zobaczysz. Tam jest martwe miasto i ludzie nie zapalają ognia, bo boją się tego, co dym mógłby na nich ściągnąć. Mój dawny nauczyciel nazywał ich omofagami. To oznacza tych, co jedzą mięso na surowo.

Nieznajomy przyjrzał się brzegom i plamiącym je szmatom. Wiatr rozwiewał mu włosy. Złachmanione sukienki i koszule, poruszane podmuchami, machały ku łodzi jak tłumy biednych, nieśmiałych dzieci, bojących się, że ich pozdrowienie nie zostanie odwzajemnione. W końcu nieznajomy powiedział:

– Nawet jeżeli Autarcha nie daje im ochrony, to przecież mogą zbierać się w grupy i wzajemnie bronić.

– To właśnie siebie nawzajem najbardziej się boją. Żyją – jeśli to można nazwać życiem – z przesiewania ruin dawnego miasta, co roku drobniejszym sitem. Każdy, gdy tylko może, okrada swego sąsiada, zabija go nawet, jeśli ten znajdzie coś lepszego. To nie musi być bardzo cenne. Wystarczy nóż ze srebrnym uchwytem.

Po chwili nieznajomy spojrzał w dół, na srebrną rękojeść swego noża.

– Myślę, że tutaj możemy pójść trochę ostrzej na wiatr – powiedział Eata. – Dopływamy do podwójnego zakrętu.

Nieznajomy ściągnął szoty i bom powoli zbliżył się do burty łodzi.

Po ich prawej stronie płynął w górę rzeki wysokorufy thalamegus, połyskując w promieniach słońca jak brosza, cały w złoceniach i lapis lazuli. Teraz już wiatr był dla niego odpowiedni i gdy patrzyli (Eata z jednym okiem utkwionym w ich własnym żaglu) łacińskie reje opadły wzdłuż krótkich, grubych masztów, a potem znów się podniosły, ciągnąc za sobą szerokie trójkąty różowego jedwabiu. Długie wiosła skurczyły się i zniknęły.

– Byli w dole rzeki oglądać widoki – powiedział Eata. – W czasie dnia to dość bezpieczne, jeżeli ma się na pokładzie kilku chłopaków z mieczami i wioślarzy, którym można ufać.

– Co to jest, tam, w górze? – nieznajomy wyciągnął palec poza mijający ich statek, w stronę zwieńczonego iglicami wzgórza. – Wygląda to dość dziwnie akurat tutaj.

– Nazywają to Starą Twierdzą – odpowiedział Eata. – Niezbyt wiele wiem na jej temat.

– Czy to jest to miejsce, z którego pochodzi Autarcha?

– Niektórzy tak mówią.

Urth patrzyła teraz słońcu niemal prosto w twarz i wiatr ucichł do ledwie słyszalnego szeptu. Brązowy, poplamiony grotżagiel obwisł bezwładnie, potem wypełnił się i znów obwisł.

Nieznajomy usiadł na chwilę na burcie, zwieszając obute stopy na zewnątrz, niemal dotykając nimi gładkiej powierzchni wody. Potem gwałtownie przerzucił je z powrotem na pokład, jakby przestraszył się, że wypadnie.

– Mógłbyś sobie niemal wyobrazić, jak wzbijają się w górę, prawda? – powiedział. – Po prostu startują ze srebrnym świstem, zostawiając ten świat za sobą.

– Nie – odparł Eata – nie mógłbym.

– To właśnie mają zrobić, gdy czas dobiegnie końca. Czytałem gdzieś o tym.

– Papier jest niebezpieczny – powiedział Eata. – Zabił dużo więcej ludzi niż stal.

Ich łódź posuwała się niewiele szybciej niż leniwy nurt. Ptak przemknął nad ich głowami, cicho i szybko jak lotka ciśnięta ręką olbrzyma. Zniknął w białej, letniej chmurze, pojawiając się chwilę potem, skurczony niemal do niewidzialności – jeszcze jedna iskierka pomiędzy przyćmionymi światłem dnia gwiazdami. Brązowy żagiel przesunął się powoli, przesłaniając nieznajomemu widok na północny wschód, ku Starej Twierdzy. Pomimo rzucanego przezeń cienia, nieznajomy się pocił. Rozsznurował swój skórzany kaftan.

Gdy zapadła noc, zasznurował go z powrotem, tak mocno, jak zdołał. Już było zimno i nie trzeba mu było podpowiadać, że wkrótce będzie jeszcze zimniej.

– Może powinienem mieć koc – powiedział.

Eata potrząsnął głową.

– Usnąłbyś tylko. Spaceruj tam i z powrotem i wymachuj rękami. Dzięki temu będzie ci ciepło, a poza tym nie uśniesz. Wytrzymaj, aż przyjdę cię zwolnić i przejąć wartę.

Nieznajomy skinął głową i spojrzał w górę, na pomarańczową lampę, którą Eata podciągnął na szczyt masztu.

– Będą wiedzieli, że tu jesteśmy.

– Gdyby nie wiedzieli, nie zawracałbym sobie głowy wystawianiem warty. Jednak jeżeli nie mielibyśmy tej lampy, z pewnością najechałby na nas, nawet tego nie zauważając, któryś z tych wielkich karaków. Niech ci więc nie przyjdzie do głowy jej gasić – wierz mi, jesteśmy dużo bezpieczniejsi, gdy lampa jest podniesiona i jasno świeci. A gdyby sama zgasła, opuść ją i zapal znowu. Jeżeli ci się to nie będzie udawało, zawołaj mnie. Jak zauważysz inny statek, szczególnie duży, zadmij w konchę. – Eata skinął ręką w stronę spiralnej muszli, leżącej obok obudowanego kompasu.

Nieznajomy znowu skinął głową.

– Ich łodzie oczywiście nie będą miały świateł.

– Nie. Nie będą miały również masztów. Może się zdarzyć, że wypłyną dwie lub trzy. Jeżeli zobaczysz w wodzie twarz, która patrzy w światło, a potem znika, to będzie to manatee. Nie przejmuj się nimi. Jednak zawołaj mnie natychmiast, jeśli zobaczysz cokolwiek, co płynie jak człowiek.

– Zawołam – powiedział nieznajomy. Patrzył jak Eata otworzył luk i zszedł do maleńkiej kabiny.

Na dziobie leżały dwa bosaki, ich okute końce ginęły w atramentowym cieniu pod występem półpokładu, haki sterczały obok stengi dziobnicy. Zszedł na dół i wziął jeden z nich, potem wdrapał się z powrotem na pokład. Bosak miał trzy łokcie długości i był zakończony paskudnie wyglądającym szpicem i zaostrzonym hakiem, przeznaczonym do przecinania takielunku. Machnął nim kilka razy, obchodząc w koło niewielki pokład – góra, dół, lewo, prawo – jego ruchy były niezgrabne jak u człowieka, usiłującego sobie przypomnieć nabytą w młodości umiejętność.

Sierp Luny był ledwie widoczny na wschodzie, bezgłośnym zalewem śląc ku niemu potoki zieleni, drżące i tajemnicze. Na tle tego zgniłozielonego światła rysujące się na wschodnim brzegu miasto wyglądało raczej na śpiące niż umarłe. Wieże były czarne, lecz za ich podświetlonymi w ten sposób, ślepymi oknami zdawał się jarzyć słaby blask, jakby po ponurych korytarzach i opuszczonych pokojach snuły się hekatonchiry, oświetlając sobie drogę tysiącami powleczonych noktoluscencją palców.

Spojrzał na zachód akurat w porę, żeby zauważyć, jak w wodę, z ledwie dosłyszalnym pluskiem, zanurza się para błyszczących oczu. Przez czas odmierzony tuzinem oddechów gapił się w ten punkt, jednak już nic więcej nie można było tam zobaczyć. Rzucił się z powrotem ku sterburcie, ku wschodniej teraz stronie zakotwiczonej łodzi, wyobrażając sobie, że jakiś demoniczny przeciwnik przepłynął pod nią lub dookoła, żeby go zaskoczyć. Gyoll spokojnie prześlizgiwała się obok.

Od strony portu cień kadłuba łodzi kładł się na szklistej powierzchni rzeki, mimo że była ona tak blisko, iż z łatwością mógłby rękoma dotknąć wody. Od pogrążonego w ciszy brzegu nie oderwała się żadna szalupa ani łódź.

W dół rzeki ruiny miasta zdawały się rozciągać w nieskończoność, jakby Urth była płaską, wypełniająca przestrzeń aż po krańce równiną, całkowicie pokrytą kruszącymi murami i walącymi się wieżami. Nocny ptak zatoczył koło nad łodzią, zanurkował w wodę i już nie wzleciał.

Paleniska i łojowe lampy zamieszkanego Nessusa nie użyczały niebu swego blasku. Rzeka wydawała się jedyną żyjącą istotą w mieście śmierci. Na krótką chwilę nieznajomym zawładnęło przeświadczenie, że zimna Gyoll w samej swej istocie była nieruchoma, że rozmokłe kawałki drewna i odchodów same w jakiś sposób płynęły, że odpływały w jakąś nie kończącą się podróż ku ostatecznemu rozkładowi.

Właśnie miał się odwrócić, gdy zauważył jakby ludzki kształt, dryfujący ku niemu z niemal niezauważalną prędkością. Wpatrywał się weń z fascynacją i niedowierzaniem, w sposób w jaki wróble podobno patrzą na złotego węża, nazywanego soporor.

Kształt zbliżył się. W zielonym świetle księżyca jego włosy wydawały się bezbarwne, skóra berylowa. Zobaczył, że rzeczywiście był to człowiek i że unosił się na wodzie twarzą w dół.

Odrzucona w bok ręka dotknęła liny kotwicznej jakby płynący chciał wspiąć się na pokład. Lina powstrzymała na chwilę ruch sztywnych palców i ciało wykonało po-

wolny piruet, jak półobrót rzuconego noża, zobaczony przez istniejącą tylko ułamek sekundy istotę lub jak opadanie wraku statku przez otchłań, która oddziela światy. Nieznajomy wgramolił się na dziób i próbował dosięgnąć ciało bosakiem. Było tuż poza jego zasięgiem.

Czekał, przerażony i niecierpliwy. W końcu był już w stanie przyciągnąć je bliżej i podłożyć hak pod jedno z ramion. Ciało dało się łatwo odwrócić, dużo łatwiej niż przewidywał. Twarz była wciśnięta pod ciemną powierzchnię wody przez ciężar uniesionego ramienia, lecz potem, gdy ramię znowu położyło się na wodzie, wypłynęła jak spławik.

To była kobieta, naga i dopiero od niedawna nieżyjąca. Wytrzeszczone oczy jeszcze nosiły ślady czernidła. Zęby połyskiwały niewyraźnie spomiędzy na wpół rozchylonych warg. Próbował ją ocenić w sposób, w jaki oceniał te kobiety, których ustępliwość zapewniał sobie monetami, zważyć oczami jej piersi, pochwalić lub zganić krągłość jej bioder. Stwierdził, że nie jest w stanie tego zrobić, że dla takiego wzroku, jakim próbował patrzeć ona jest nieosiągalna, niedostępna jak nie narodzony jeszcze płód, niedostępna jak jego matka, gdy kiedyś, jako chłopiec, zobaczył ją w kąpieli.

Dotyk dłoni Eaty na jego ramieniu zmusił go do gwałtownego obrotu.

– Moja warta.

– To... – zaczął, lecz nic więcej już nie mógł powiedzieć. Wskazał palcem.

– Pozbędę się tego – powiedział Eata. – Prześpij się trochę. Zajmij tę drugą koję. Nikt jej nie używa.

Oddał Eacie bosak i zszedł na dół, nie bardzo wiedząc co robi i niemal miażdżąc sobie palce pokrywą luku.

W talerzu na złamanej skrzyni ociekała świeca. Zdał sobie sprawę, że Eata nie spał. Jedna z wąskich koi była zmiętoszona. Położył się na drugiej, wiążąc potrójne węzły na rzemieniu, mocując sakwę do pasa, rozluźniając kaftan, zarzucając obute stopy na cienki, twardy materac i naciągając na siebie koc z zaskakująco miękkiej wełny. Podmuch jego oddechu zgasił żółty płomień świecy. Zamknął oczy.

W mroku dryfowała martwa kobieta. Odepchnął ją od siebie, zwracając myśli ku przyjemniejszym rzeczom: pokojowi, w którym sypiał jako dziecko, sokołowi i psu, które zostały gdzieś w przeszłości. Wyrosły przed nim górskie łąki w posiadłości jego ojca, nakrapiane makami i dzikim indygo, z paprociami i koniczyną o purpurowych kwiatkach. Kiedy to po raz ostatni jechał pośród nich? Nie pamiętał. Lilie kiwały potakująco nabrzmiałymi miodem kielichami.

Podniósł się, węsząc i niemal wymóżdżając się o belki pokładu.

Słaba woń perfum dogorywała między ostrymi zapachami podpokładzia. Upewnił się, gdy zanurzył twarz w koc. Tuż przed nadejściem snu usłyszał ponad sobą słaby, ochrypły szloch.

Podczas jego ostatniej warty ruiny opadły przed gniewną twarzą słońca jak postrzępiona makieta. W nocy widział wieże; teraz zobaczył, że te wieże były na wpół zawalone i poznaczone jak trądem młodymi drzewkami i rozrośniętą zieloną winoroślą. Tak jak mu powiedziano, nigdzie nie było widać dymu. Założyłby się o wszystko co posiadał, że również ludzi tam nie było.

Eata wszedł na pokład niosąc chleb, suszone mięso i parującą herbą mate.

– Jesteś mi winien następne asimi – powiedział.

Nieznajomy rozsupłał węzły i wyjął monetę.

– To ostatnie, które dostajesz. Czy może policzysz mi za następny dzień, jeżeli przed jutrzejszym rankiem nie zdążysz dowieźć mnie z powrotem do miejsca, w którym wsiadłem na twoją łódź?

Eata potrząsnął głową.

– A więc ostatnie. To miejsce, gdzie spotykają się trzy ulice – czy ono jest po wschodniej stronie? Gdzieś tam?

Eata przytaknął: – Widzisz to molo? Stamtąd pół mili prosto w głąb. Przy molu będziemy jeszcze przed poranicą.

Razem obrócili niewielki kabestan, który wyciągał kotwicę. Podczas gdy Eata naciągał fały grota, nieznajomy rozwinął kliwer.

Nadleciała morska bryza, ochryple zapowiedziana przez stado czarno-białych mew, przybyłych wraz z nią w głąb lądu w nadziei na jakieś odpadki. Złapawszy wiatr łódź ruszyła tak ostro, że nieznajomy zaczął się obawiać, iż staranują rozpadające się molo. Podniósł bosak jako ewentualną ochronę przed zderzeniem.

W ostatnim, jak się zdawało momencie, Eata obrócił ster i ustawił łódź dziobem do wiatru.

– To było niezłe – powiedział nieznajomy.

– Och, umiem żeglować. Umiem również walczyć, jeśli muszę – Eata zamilkł na chwilę. – Pójdę z tobą, jeśli chcesz.

Nieznajomy potrząsnął głową.

– Wcale nie myślałem, że się zgodzisz, ale nie szkodziło spróbować. Zdajesz sobie sprawę z tego, że tam możesz zostać zabity?

– Wątpię.

– No cóż, ja nie. Weź ten bosak – możesz go potrzebować. Czekam na ciebie do nonów, jasne? Nie dłużej. Gdy twój cień obejmie ci stopy, mnie już tu nie będzie. Jeśli ciągle będziesz żył, idź na północ, trzymając się jak najbliżej wody. Jak zobaczysz statek czy łódź, machaj rękami. Zawołaj ich. – Eata zawahał się na chwilę, jakby zagubiony w myślach. – Pokaż im monetę. Największą, jaką masz. To czasami pomaga.

– Wrócę, zanim odpłyniesz – powiedział nieznajomy. – Ten bosak musiał cię kosztować blisko asimi. Jeśli go nie przyniosę z powrotem, będziesz musiał kupić drugi.

– Nie kosztował aż tyle – powiedział Eata.

– Kiedy wrócę, dam ci asimi. Za wypożyczenie bosaka, powiedzmy.

– A ja, być może, zostanę trochę dłużej, żeby je dostać, co?

Nieznajomy skinął głową: – I pewnie zostaniesz. Ale ja wrócę przed nonami.

Wyskoczył na brzeg i patrzył, jak Eata odpływa kawałek, potem odwrócił się, żeby przyjrzeć się miastu przed nim.

Dwadzieścia kroków zbliżyło go do pierwszego zrujnowanego budynku. Ulice tu były wąskie i stały się jeszcze węższe przez na wpół je dławiące rumowiska. Z gruzów i spośród wielkich, popękanych płyt chodnika wyrastały błękitne chabry i blade powoje. Panowała zupełna cisza, przerywana tylko odległymi krzykami mew, a powietrze wydawało się tu czystsze niż na rzece. Kiedy upewnił się, że Eata za nim nie idzie i że nikt go nie obserwuje, usiadł na zwalonym kamiennym bloku i wyjął mapę. Była owinięta w natłuszczony welin i nawet jeśli cały pakiet trochę się zmoczył, do niej woda nie dotarła.

Przez większość czasu, przez który miał tę mapę, nie odważył się na nią spojrzeć. Teraz, gdy bez pośpiechu przyglądał się jej w promieniach jaskrawego słońca, w jego podniecenie wkradła się gorycz irracjonalnego poczucia winy.

Te ulice jak sieć pajęcza mogą być – lub też nie – tymi samymi ulicami, które się teraz przed nim rozciągały. Ta

Gene WOLFE

Po raz ostatni autor ten był prezentowany na naszych łamach „Pieśnią łowców" w numerze 9 z roku 1986. Dziś przedstawiamy „Mapę", która może dać pewne wyobrażenie o najważniejszym dziele autora – cyklu powieściowym „The Book of New Sun" (Księga nowego słońca), w którym pewne elementy SF podporządkowane są całości o charakterze fantasy. Rzecz dzieje się w niesamowitym posttechnologicznym średniowieczu, gdzie najstarsze wieże miasta są najprawdopodobniej obudowanymi statkami kosmicznymi (poetyckie natchnienie bohatera „Mapy", któremu wydaje się, że smukłe wieże rwą się w niebo, jest w istocie trafnym domysłem), gdzie groźne potwory są prawdopodobnie produktem dawnych eksperymentów genetycznych lub niedobitkami pierwotnych mieszkańców, a spotkanie wśród więziennego tałatajstwa nieśmiertelnego półmetalowego człowieka jest tylko jednym z wielu dziwów. „Księga nowego słońca" opowiada o przygodach i karierze ucznia cechu oprawców Severiana, który zostaje władcą. W opowiadaniu wspomniany jest mistrz Gurloes, czcigodny nauczyciel rzemiosła katowskiego, a podobiznę Severiana widzimy już na monetach.

Wolfe wytwarza niesamowitą atmosferę swoich utworów, poczucie długiego oddechu historii, w której nasza daleka przyszłość jest już głęboką przeszłością, między innymi przez wprowadzenie słownictwa starogreckiego. Fascynacja grecką starożytnością zaowocowała najnowszą powieścią „Soldier of the Mist" (Żołnierz z mgły), która dzieje się w czasach Aleksandra Wielkiego.

L.J.

FRANK FRAZETTA



dokończenie z II strony okładki

Zwrot przyszedł w 1964 roku z powrotem popularności Edgara R. Burroughsa i jego marsjańskich opowieści, zaludnionych postaciami jak z twórczości Frazetty. Nowojorskie wydawnictwo Ace Books szukało nowej ręki do opracowania serii Burroughsa i choć styl Frazetty wydawał się staromodny – rysownik, tym razem jako malarz, trafił w dziesiątkę. Wydawnictwo i sam Frazetta odnieśli duży sukces rynkowy, publiczność doceniła i zaakceptowała wreszcie nieokiełznaną i „dziką" tematykę świata fantazji Franka Frazetty. Prócz wspomnianej nagrody „Hugo" (warto dodać, że w tym samym roku nagrodzono również powieść Herberta „Dune"...), został Frazetta wyróżniony przez bardziej liczące się, bo szersze, gremium z Nowojorskiego Stowarzyszenia Ilustratorów. Za okładkę do powieści fantastycznej właśnie. I – jak nieskromnie piszą autorzy omówień jego twórczości – został uznany za nieomal geniusza. Na rozlewającej się wówczas szeroko fali fantasy zapoczątkowanej comebackiem „Księżniczki Marsa" płynął więc wygodnie Frazetta, nie troszcząc się o następne zamówienia... Rysował tak potrzebne nagle horror-comics, dla niezliczonych wydawnictw malował moją ulubioną postać – Conana.

Wypada na koniec wspomnieć rysunkowy film „Ogień i lód" z lat osiemdziesiątych, powstały przy współudziale słynnego specjalisty od animacji Ralpha Bakshi. Typową dla „Magii i miecza" historyjkę o walce sił ciemności z mocami Dobra, wypełnił Frazetta wszystkimi możliwymi figurami swego malarstwa: piękni mężczyźni i piękne kobiety, upiorne stwory ludzkie i zwierzęce, pejzaże z tysiąca i jednego snów. I, o paradoksie, zyskując ruch, straciło to malarstwo swój trzeci wymiar i wewnętrzną dynamikę. Z prawdziwego, tak ukochanego przez fanów fantasy Frazetty ocalały rzeczywiście piękne pejzaże.

Chciałbym tym razem ograniczyć się do przedstawienia Państwu postaci Franka Frazetty. Zetknąłem się jednak z licznymi twierdzeniami krytyków tej twórczości, że odwołuje się ona do ciemnych i ukrytych – bo „neandertalskich" – stron duszy człowieka. Moim zdaniem, niesłusznie; to może dotyczyć malarstwa Borisa Vallejo. Ja sugerowałbym raczej kulturę Cro-Magnon. Zawszeć Francja...

Marek Krzysztof Zalejski

P.S. Do towarzystwa włoskiemu mistrzowi przydaliśmy kilku krajowych piewców fantasy. Ciekawe, czy też lubią pracować w hałasie...

wijąca się błękitna linia może być strumieniem albo kanałem, albo samą Gyoll. Mapa zawierała wiele szczegółów, jednak były to szczegóły z rodzaju tych, które ani nie potwierdzają konkretnego miejsca, ani mu nie przeczą. Wchłonął z niej na pamięć tyle, ile mógł, cały czas zastanawiając się, która nierówność czy zakręt może mieć znaczenie, która nazwa ulicy czy budowli mogła przetrwać – tutaj, gdzie nie było nikogo, kto mógłby ją pamiętać, która z tych rzeczy kamiennych czy metalowych mogła ciągle zachowywać swój dawny kształt, jeśli jakakolwiek jeszcze zachowała. Przez chwilę wydawało mu się, że to nie skarb, tylko on sam jest zagubiony.

Zwijając popękany papier i okręcając go na nowo snuł (jak tyle razy dotychczas) przypuszczenia na temat bezcennych rzeczy, tak starannie ukrytych przez ludzi, dla których gwiazdy były tylko wieloma odległymi wyspami. Jego wyobraźnia, puszczona z wodzy, pogalopowała ku dziecinnym wizjom wypełnionych złotem skrzyń. Rozum powiedział mu czym są te fantazje i odrzucił je, ale zamiast nich mógł zaproponować tylko tuzin mglistych nieprawdopodobieństw, pogłosek o tajemnej wiedzy i straszliwej broni dawno minionych czasów. Życie i władza bez granic.

Wstał i przyjrzał się uważnie opustoszałym budynkom, upewniając się, że nie był widziany. Na szczycie najwyższej sterty gruzu usiadł lis, jego czerwone futro płonęło w promieniach słońca, oczy błyszczały jak paciorki. Nagle, bojąc się każdych oczu, rzucił w niego bosakiem. Lis zniknął, a bosak zastukotał w dół drugiej, niewidocznej strony sterty. Wspiął się na górę i zaczął szukać wśród chwastów, jednak bosak też zniknął.

Dotarcie do tej części miasta, w której przecinały się trzy ulice zajęło mu niemało czasu, a jeszcze więcej stracił na znalezienie samego skrzyżowania. Zawędrował za daleko na południe i zmarnował cały obrót na poszukiwania. Następny spędził wśród bzyczących owadów przekonując się, że to nie jest to samo skrzyżowanie, co na jego mapie, na której aleje były tej samej szerokości i biegły na południowy zachód, południowy wschód i północ. W końcu znowu wyjął mapę, porównując jej wyblakłe rysunki z bezludną rzeczywistością. Tutaj rzeczywiście były trzy ulice, ale jedna była szersza niż pozostałe i biegła prosto na wschód. To nie było to miejsce.

Wracał już do łodzi, gdy napadły na niego omofagi – ludzie koloru popiołu, o dzikich oczach, ubrani w łachmany. W pierwszej chwili wydało mu się, że jest ich bardzo dużo. Jednak gdy starł się z jednym i zabił go, zdał sobie sprawę, że zostało tylko czterech.

Czterech to ciągle było o wiele za dużo. Uciekł, przyciskając rękę do krwawiącego boku. Zawsze był dobrym biegaczem, ale teraz biegł jak nigdy przedtem, przeskakując każdą przeszkodę, niemal frunąc. Ruiny gnały i zataczały się wokół niego. Kamienne pociski furkotały koło jego głowy.

Zanim go złapali, niemal dotarł do rzeki. Błoto wyślizgnęło się spod jego buta, upadł na jedno kolano i już byli wszędzie wokół niego. Jeden musiał wyrwać jego osadzony w srebrze sztylet spomiędzy żeber zabitego. Z osłupiałym niedowierzaniem właściciela domu, na którego napada jego własny pies patrzył, jak teraz sztylet zmierza ku jego gardłu. Wyrzucił ramiona w górę, zarówno po to, żeby odparować cios, jak i po to, żeby zasłonić ten widok.

Jego przedramię zmieniło się w lód, gdy uderzyła w nie stal. Rozpaczliwie potoczył się po ziemi i zobaczył, że szary kształt, trzymający jego nóż pada pod maczugą drugiego. Napastnik gwałtownie schylił się po sztylet i tych dwóch zaczęło walczyć.

Ktoś wrzasnął. Spojrzał w bok i zobaczył czwartego, tego, który miał jego bosak, przebitego bosakiem Eaty.

Gospoda, w której się zatrzymał, stała niedaleko rzeki. Zapomniał o tym, ponieważ zaszedł kawał drogi na południe w poszukiwaniu łodzi Eaty. Nazywała się „Łabądek" – o tym też zapomniał.

– Rzuć linę jednemu z tych wałkoni – krzyknął Eata. – Zacumuje nas za aesa.

Stwierdził, że lewą ręką nie może celnie rzucać, ale jeden z włóczęgów skoczył i schwytał lecący zwój.

– Mam trochę bagażu – zawołał, gdy mężczyzna mocował się z liną. – Może byś go zaniósł do „Łabądka".

Eata wskoczył na dziób.

– Imię tego optymata brzmi Simulatio – powiedział do włóczęgi. – Zatrzymał się tam przed trzema nocami. Powiedz to karczmarzowi. Powiedz, że optymat chce ten sam pokój, który miał przedtem.

– Wcale nie chcę odchodzić – powiedział nieznajomy. – Ale nie popłynę znowu na południe, aż się wyleczę. – Rozwiązywał supły, wiążące jego sakiewkę.

– Jeśli jesteś mądry, w ogóle tam nie popłyniesz.

Włóczęga wyrzucił torby nieznajomego na nabrzeże i wyskoczył za nimi.

– Chcę ci coś dać. – Nieznajomy wyjął chrisosa. – Może będziesz mógł wrócić przy następnym księżycu i sprawdzić czy już wydobrzałem na tyle, żeby płynąć.

– Nie wezmę twego żółtego chłopca – powiedział Eata. – Jesteś mi winien asimi za wypożyczenie bosaka. Wezmę tylko to.

– Ale wrócisz?

– Za jedno asimi dziennie? Oczywiście, że wrócę. Każdy przewoźnik by wrócił.

Nieznajomy wahał się, patrząc na Eatę, który patrzył na niego.

– Myślę, że mogę ci ufać – powiedział w końcu. – Nie chciałbym iść w te ruiny z kimkolwiek innym.

– Wiem – odpowiedział Eata. – I dlatego mam zamiar dać ci pewną radę. Odejdź kilka ulic od rzeki i znajdziesz warsztat złotnika. Jest na nim znak Osela. To taki złoty ptak.

– Wiem co to jest.

– Tak, chyba powinieneś. Zwiń swoją mapę... – Zaśmiał się. – Nie powinieneś robić takich min. Jeśli chcesz mieć do czynienia z ludźmi takimi jak ja, musisz nauczyć się panować nad twarzą.

– Nie myślałem, że o niej wiesz.

– Jest w twoim bucie – powiedział miękko Eata.

– Szpiegowałeś mnie!

– Kiedy czasami ją wyjmowałeś? Nie. Ale kiedyś, jak siedziałeś na burcie, wyszarpnąłeś nogę, byle dalej od wody. I nie zdejmowałeś butów podczas snu. Tak mógłby robić przewoźnik, ale ty? Chyba że miałeś w nich coś więcej niż tylko stopy.

– Rozumiem.

Eata odwrócił wzrok, śledząc oczyma powolny, niezmienny nurt wielkiej Gyoll.

– Znałem człowieka, który miał jedną z tych map – powiedział. – Można spędzić pół życia szukając i nigdy nic nie znajdując. Może teraz to jest na dnie morza. Może już dawno ktoś to znalazł. A może tego w ogóle tam nigdy nie było. Rozumiesz? A człowiek nie może nikomu ufać, ani przyjacielowi, ani nawet swej kobiecie.

– A jeśli jego przyjaciel i jego kobieta zabrali mu mapę – powiedział nieznajomy – jedno mogło zabić drugie, żeby mieć ją całą dla siebie. Tak, rozumiem jak to jest. Ale mapa, którą mam, to nie jest ta, jeśli tak właśnie myślisz. Znalazłem ją między stronami starej książki.

– A już miałem nadzieję, że to moja – powiedział Eata. – Powiedziałeś, że rozumiesz, ale to nieprawda. Pozwoliłem, żeby mi ją zabrali. Chciałem, żeby ją mieli i zostawili mnie wreszcie w spokoju. Żebym nie skończył jak ludzie, z którymi wzorај walczyliśmy. Upiłem się, pozwoliłem im zobaczyć klucz, pozwoliłem im zobaczyć, jak zamykam mapę w skrzyni.

– Ale przecież się obudziłeś – powiedział nieznajomy.

Eata odwrócił się do niego, nagle rozgniewany.

– Ten kretyn Laetus wyłamał zamek! Myślałem...

– Nie musisz mi o tym mówić.

– On i Syntyche byli młodsi ode mnie. Myślałem tylko, że oni zmarnują sobie życie na poszukiwaniach, tak jak ja zmarnowałem swoje, i Maxellingdisa również. Nie przypuszczałem, że on zabije Syntyche.

– To on ją zabił – powiedział nieznajomy. – Nie ty. Nie zmuszałeś ich również do kradzieży. Nie jesteś Inkreatem, nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za to, co robią inni.

– Ale mogę im doradzać. I radzę ci, żebyś spalił swoją mapę. Ale wiem, że tego nie zrobisz. Więc zamiast tego zwiń ją, połóż na niej swoją pieczęć i zanieś do złotnika, o którym ci mówiłem. To jest uczciwy staruszek i za miedziaka zamknie ją w swoim sejfie. Wracaj do domu i tam wyzdrowiej. Jeśli jesteś mądry, nigdy tu nie wrócisz, żeby się o nią upomnieć.

Nieznajomy potrząsnął głową.

...i inni





Leszek Lipecki

– Mam zamiar zostać tutaj w gospodzie. Mam dosyć pieniędzy. I ciągle ci jestem winien asimi. Wynajęcie bosaka, jak powiedzieliśmy. Oto ono.

Eata wziął srebrną monetę i podrzucił ją w powietrze. Była błyszcząca, niedawno bita, z profilem Seweriana głęboko i ostro wyrytym z jednej strony. W czerwonawych promieniach słońca wyglądała jak żarzący się węgielek.

– Supłasz rzemienie na tej sakiewce – powiedział. – Potem znowu je wiążesz, a wszystko ze strachu, że dostanę się do niej, gdy będziesz spał. Coś ci powiem. Jeżeli po ciebie wrócę, to zanim skończymy dostanę każdego mosiężnego aesa z tej sakwy. Wyjmiesz swoje pieniądze, wszystkie, i oddasz mi je moneta po monecie.

Rzucił asimi wysoko nad wodę. Błyszczało jeszcze przez krótką ostatnią chwilę, potem zgasło na zawsze w ciemnej Gyoll.

– Ja nie wrócę – powiedział Eata.

– To jest dobra mapa. Patrz. – Nieznajomy wyciągnął ją z cholewy buta i zaczął rozwijać, niezdarnie, bo nie mógł używać obu rąk. Kiedy dostrzegł twarz Eaty zatrzymał się, wcisnął mapę do kieszeni i wygramolił się na półpokład.

Osłabiony z upływu krwi i sztywny od ran, nie mógł bez pomocy zejść na nabrzeże. Jeden z pozostałych włóczęgów wyciągnął rękę i on ją ujął. Przez cały czas spodziewał się, że poczuje jak bosak wbija mu się w plecy. Usłyszał tylko szyderczy śmiech Eaty.

Gdy już stał obiema stopami na nabrzeżu, jeszcze raz odwrócił się ku łodzi. Eata zawołał:

– Czy mógłbyś łaskawie mnie uwolnić, Optymacie?

Nieznajomy machnął ręką i włóczęga, który mu przedtem pomagał, odwiązał linę cumowniczą.

Eata odepchnął łódź od brzegu i poruszył bomem, żeby złapać ten wiatr, który jeszcze wiał.

– Wrócisz po mnie! – krzyknął nieznajomy. – Ponieważ pozwolę ci iść ze mną! Ponieważ dam ci udział!

Stary, brązowy żagiel powoli i jakby z wahaniem wypełnił się wiatrem. Liny takielunku naprężyły się i niewielka łódź zaczęła się oddalać. Eata nie obejrzał się, ale jego dłoń drżała, chwytając rumpel.

Przełożył **Darosław J. Toruń**


...i inni
Jakub Kuźma

Irina Winnik

AZYL NADZIEI

(Prijut Nadieżdy)

Maleńkiej błękitnej wróżce żyło się bardzo źle. Przez ostatnie sto lat Ziemia się zmieniła. Zniknęły cieniste lasy z żołędziowymi skarbami sójek, stare sady, w których sierpniowymi nocami z cichym stukiem padały w trawę ociekające sokiem jabłka. Teraz smutne, podstrzyżone drzewa regularnie owocowały trzy razy w roku. Między ich prostymi szarymi pniami uwijały się automaty, wyskubując każdą przebijającą się trawkę. Ostro pachniały mieszanki odżywcze. Od tego zapachu wróżkę bolała głowa.

Pola i łąki pocięte były wstążkami dróg. Wróżka zapomniała już jak wygląda zwykły dzwoneczek, a przecież dawniej kwiaty polne dawały schronienie tysiącom jej przyjaciółek. Wspaniałe róże miejskich parków składały na noc szeleszczące plastykowe płatki.

W tym niepojętym świecie czułe serce wróżki najbardziej raniły dzieci. Stały się takie dziwne... Strach pomyśleć - nie wiedziały, co to jest czarodziejska bajka. Wróżka była pewna, że najmniejsze z nich nawet nie słyszały słowa „bajka".

Całkiem niedawno, zdobywszy się na odwagę, wróżka, na przdkór wszystkim regułom, przyleciała w dzień do dziecinnego miasteczka na brzegu sterylnie czystego jeziora.

Dwóch małych chłopców siedziało na piasku i poważnie o czymś rozmawiało.

Wróżka spłynęła na dróżkę i załamującym się ze zdenerwowania głosem zapytała:

– Chcecie usłyszeć prawdziwą czarodziejską bajkę?

Chłopcy od razu zamilkli, wymienili spojrzenia, później jeden z nich z niezadowoleniem mruknął:

– Te automaty do gry mają przekaźniki zupełnie do niczego, znowu urządzenie programujące nawala.

Chłopczyk zabawnie wymawiał „r".

– Zaraz sprawdzimy schemat. – I zdecydowanie sięgnął po śrubokręt do kieszeni króciutkich spodenek.

Wróżka przerażona odleciała. Przypomniawszy to sobie teraz, gorzko zapłakała. Łzy zamieniały się w błękitne perły i postukując toczyły się po szarej drodze. Kiedyś ludzie dziwili się i cieszyli, znajdując te perły w zroszonej trawie. Jutro nikt nie znajdzie łez wróżki - gąsienice ciężkich transporterów zamienią je w perłowy pył.

Niepostrzeżenie nadeszła noc, zrobiło się chłodno. Była połowa maja, ale w powietrzu nie było słychać bzyczenia chrząszczy, i nawet nie pachniało żabkami obok maleńkiego trzęsawiska. W oddali jaśniało światłami ogromne miasto. Wróżka zmęczyła się i przemarzła. Kolejny raz pożałowała, że jest nieśmiertelna. Jej lekkie skrzydła opadły.

I nagle przed zmęczoną podróżniczką ciemną ścianą wyrosły drzewa. To był prawdziwy las. Ziemię wyścielał mech, wiła się młoda paproć. Maleńki strumyk prześliznął się między korzeniami starej sosny i wyrwał się z lasu na skraj. Stał tutaj duży dom, otoczony ogrodzeniem. W sadzie kwitły jabłonie. Subtelna woń kwiatów odurzyła wróżkę. Kołysała się w różanych kielichach i płatki wirowały w powietrzu razem z jej szybkimi skrzydełkami. Później wróżka zajrzała przez uchylone okno, i oczy jej spotkały szeroko otwarte oczy dziecka, siedzącego w łóżeczku. Na ścianie wisiały obrazki: kwitły na nich duże dzwoneczki, błąkały się dobroduszne krowy i błękitniały tajemnicze zamki. Na stole drzemali plastelinowi rycerze.

– Czy przyleciałaś do mnie? Jesteś przecież wróżką? – cicho zapytał chłopczyk.

– Poznałeś mnie? Jestem wróżką, błękitną czarodziejką. Czy chcesz posłuchać czarodziejskiej bajki? – wróżka z radości traciła dech.

Później wszystko było cudowne. Pokój wypełniły bajki. Wróżka machnęła różdżką i na ścianach rozkwitły cudowne kwiaty, które przemieniły się w motyle i zawirowały w barwnym korowodzie, cicho dzwoniły srebrne dzwoneczki. Wróżka chciała wciąż robić proste, dobre cuda. Teraz wszystko jej się udawało. Przecież i wróżkom opadają ręce, kiedy nikt w nie nie wierzy.

Chłopczyk zasnął. Uśmiechał się we śnie. Szczęśliwa wróżka usadowiła się na gałązce, zaglądającej do pokoju, i zamknęła oczy. Zza wierzchołków drzew wypłynął księżyc. Zalał chłodnym, migotliwym światłem las, cichy dom, ogrodzenie i tabliczkę na nim: *„Szkoła specjalna – internat dla dzieci z wadami rozwoju technicznego."*

OSTATNI

(Poslednij)

Szerokie samobieżne drogi były bezludne, na niebie nie dudniły stada turbolotów. Ludzkość zamarła przed stereotelewizorami. Na ekranach migała sala operacyjna pod przezroczystą kopułą, kręciły się roboty medyczne, w zbliżeniu pojawiały się zatroskane twarze lekarzy.

A on, prawie nieważki, leżał na poduszce powietrznej i gasnącym wzrokiem patrzył na tę całą krzątaninę. Pierś ledwie się unosiła, i tylko czułe przyrządy mogły uchwycić bicie zmęczonego serca. Walka o jego życie trwała już dobę, ale wszystko było na próżno.

W jego pamięci przemknęły obrazy czegoś nie do pojęcia przepięknego: zielone falujące morze wierzchołków, miękkie brunatne kruszynki, ciepłe, pieszczotliwe promienie słoneczne... W swojej szklanej podtrzymującej życie separatce nigdy nie widział tego wszystkiego, ale zew krwi, zew dalekich przodków obudził odwieczną pamięć drobniutkiej istoty, słodkim marzeniem uśmierzył ból.

Otrząsnął się i ucichł już na zawsze. Tak umarł ostatni wróbel na Ziemi.

Przełożyła **Izabela Orłowska**

1. Gdy około drugiej po południu na rogu Alei Wschodniej i Czterdziestej Drugiej ulicy pojawił się ten facet, kierowca taksówki od razu zorientował się, że oto znalazł frajera. Inni zapewne nie potrafiliby na pierwszy rzut oka dostrzec w nim szansy zarobienia większego szmalu, lecz kierowca, Portorykańczyk o pulchnej twarzy, mając za sobą dziesięcioletnią praktykę, bardzo rzadko się mylił.

Człowiek stojący naprzeciwko wyglądał dokładnie tak, jak należący do klasy średniej urlopowicz, których w sierpniu można spotkać przy wejściu dworca Monroe czy lotniska Kennedy'ego. Płócienna koszula, płócienne spodnie, okulary słoneczne, kamizelka kuloodporna w kolorze jadowitego błękitu. Brakowało tylko żony, lecz kierowca łatwo (i z przyjemnością) potrafił ją sobie wyobrazić: spływające na ramiona jasne falujące włosy, zielone oczy. Nie wiadomo, gdzie tacy faceci i ich madonny podziewają się między wrześniem a lutym. W każdym razie w pierwszych dniach marca tłumnie wylegają na ulice, zawsze się spieszą i niespecjalnie troszczą się o pieniądze.

András Gáspár

PROSZĘ WRZUCIĆ MONETĘ

(Dollársas, na szárnyra kap...)

Kierowca dodał gazu w swoim wiekowym fordzie i szybko zataczając półkole stanął koło mężczyzny.

– O ile się nie mylę, spieszy się pan, señor... W taksówce jest bezpieczniej. Za skromną opłatą firma Yellow Cab poleca swoje usługi i kuloodporne szyby!

Frajer w zamyśleniu przycupnął na tylnym siedzeniu. Ford tymczasem przejechał na Czterdziestą Drugą i podporządkowując się nakazom znaków drogowych skręcił na południe, w kierunku wzgórza Nashville. Na skrzyżowaniu Dwudziestej Siódmej wschodniej i Jedenastej trwało jeszcze usuwanie wraków po porannym starciu. Garstka gliniarzy w niebieskich mundurach posypywała okolice trocinami. Kilka bloków dalej, przed budynkiem Pierwszego Banku Narodowego, rozpoczynało się właśnie natarcie specjalnego oddziału policji przeciw bandytom, którzy utknęli w środku.

– Czy chce pan, señor, przedrzeć się przez środek? Za dwudziestaka może się pan przedostać, ale... W porządku, ja też tak myślę, lepiej nie ryzykować... – Skręcił kierownicą, dodał gazu i niczym uciekający zając skrył się w labiryncie bocznych ulic. Należało się spieszyć, lecz nie było powodu do specjalnego niepokoju: w ciągu godziny, za mniej więcej osiemdziesiąt dolców, bezpiecznie dowiezie klienta do celu.

Wzdłuż Jedenastej sprzedawano przedpołudniowe wydanie „Observera", kuloodporne marynarki, płaszcze i czapki, urządzenia alarmowe, broń ręczną, pizzę oraz czeskie, austriackie i bawarskie piwo. Frajer poprosił kierowcę, by zwolnił i wysuwając rękę przez okno złapał jedną z gazet. („KONGRES ZATWIERDZA PROGRAM SATELITARNY PALPATINE; SONDA W EUROPIE – A CO NA TO STARUSZKA EUROPA?; SZÓSTA FLOTA NA MORZU BERINGA; KAROL III WCIĄŻ W MONTREALU, CZYLI MASZYNY CZARTEROWE TEŻ SĄ ZESTRZELIWANE"). Na dwie minuty zatrzymali się przed jednym z pawilonów, gdzie frajer kupił bukiet cieplarnianych kwiatów. Kierowca wyszczerzył zęby.

– To dla żony, co nie? Okay, okay, rozumiem... Dopiero wczoraj dała się udobruchać? Zdarza się. A teraz gdzie? Powoli do najbliższej budki telefonicznej?... Się robi, señor!

– Proszę zaczekać – powiedział frajer po zatrzymaniu. – To potrwa minutkę! – Zarzucił na ramię torbę.

No cóż, nie ja za to płacę, muchacho, pomyślał kierowca i niemal go pożałował. Kątem oka obserwował, jak facet wchodzi do budki stojącej w odległości zaledwie sześciu kroków. Nie zaszkodzi odrobina podejrzliwości, zwłaszcza jeśli się ma na liczniku trzydziestaka i parę centów. Patrzył więc, jak gringo zamyka drzwi, odwraca się i uśmiecha. Dwa radiowozy przeleciały po przeciwnym pasie, zapewne w kierunku Pierwszego Narodowego, gdzie właśnie zaterkotało kilka ciężkich karabinów maszynowych. Wiatr zdmuchnął w stronę zatoki echo syren. Na przedniej szybie forda igrały złociste promienie słońca. Kierowca usłyszał, jak frajer wrzuca do automatu srebrną monetę. Zmrużył oczy, a gdy je ponownie otworzył, budka była pusta.

Caramba! Odrzucił „Observera" leżącego na tylnym siedzeniu. Ze środka wypadły dwie setki – największy zarobek, jaki kiedykolwiek udało mu się zdobyć.

Natomiast frajer zniknął z tej cholernej budki wraz z torbą i bukietem.

– Madre de Dios!...

2. Lionel Norman, pracownik rejonowej grupy AAA wolałby, żeby był to zbrojny napad albo gwałt – jakieś proste przestępstwo zamiast niejasnych domysłów. Wyrzucił do połowy wypalonego papierosa i z zadowoleniem skonstatował, że nawet z odległości sześciu kroków bezbłędnie trafia do kosza. Przeciągnął dłonią po kołnierzu swej szarej marynarki w jodełkę, jakby strzepywał z niej popiół i znowu zapatrzył się na budkę telefoniczną.

Nieco dalej, dwoma kołami na chodniku stał radiowóz z oblepioną pyłem przednią szybą i migającą na dachu czerwono-niebieską lampą. Obok niego łazik z emblematem Gwardii Narodowej. Jego pasażerowie rozbiegli się po okolicy. Dwóch z nich sprawdzało licznikiem Geigera beton i cegły pobliskich murów.

Norman gestem przywołał policjanta, który oparty o maskę forda notował coś w swym zeszycie.

– Co mówią świadkowie?

– Prawie nie ma świadków... – Policjant mówił z niechęcią i ociąganiem. – Stało się to dwadzieścia dwie minuty temu, bez żadnego krzyku czy błysku. Dostaliśmy dokładny rysopis zaginionego od przechodniów, sprzedawcy kwiatów i od kierowcy taksówki. Może na tej podstawie uda się go zidentyfikować.

Uda się go zidentyfikować, kolego, pomyślał Lionel

Norman, lecz nic nie powiedział. W tym czasie inni zakończyli pomiary. Sierżant Gwardii lakonicznie powiedział: „Zimno..." Wzruszył ramionami, podszedł do łazika i zapalił papierosa. Ludzie stali w milczeniu. Jeden z funkcjonariuszy w cywilu drżącą ręką wyciągnął papierośnicę i częstował po kolei wszystkich. Ponad dachami przeleciał helikopter, jego cień przemknął po stojących w okolicy ludziach. Lionelowi Normanowi było zimno. Wolałby być gdzie indziej. Może na Akademii, z papierami pod pachą. W łóżku swej byłej żony, w pasiastych majtkach i bez blizny. W gabinecie dowódcy rejonu, z ręką na temblaku. Ewentualnie w podziemiach Pierwszego Narodowego, z karabinem maszynowym w dłoniach i wiązką granatów na ramieniu. Czy choćby na oddziale intensywnej terapii szpitala Mount Zion, w charakterze niewolnika sztucznego serca, w sąsiedztwie bukietu białych goździków.

– Zostawcie straż... – Czekał nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. – Wezwijcie fizyków. Przyprowadźcie psy. Róbcie, co się wam podoba...

Odwrócił się i poszedł do samochodu. Zza rogu wyjechał następny radiowóz, syrena wydała ostatni pisk. Norman zapalił silnik („Za późno, chłopcy, to była rutynowa robota!"). Już w biegu zatrzasnął drzwi. Przejechał przez Jedenastą przeglądając w tym czasie plan na dzisiejszy dzień. C.C.N.Y., telefon, godzina szósta. Poniżej kształtne litery: LIONEL ŁAJDAK!

Słysząc huk instynktownie nacisnął hamulec i zaczął przeklinać pasy bezpieczeństwa oraz wlokących się przed nim. Później sięgnął do kieszeni i wyjął papierową chustkę do nosa. Ze strachu spocił się na czole. Coraz bliżej, pomyślał. Każdego dnia bliżej...

– Bomba na parkingu prokuratury – rozległ się znudzony głos dyspozytora. – Do wszystkich wozów patrolowych!... Proszę o podanie miejsca i kierunku jazdy!

Mogło być około czwartej, gdy Norman wydostał się z korka spowodowanego przez dziewięć samochodów, które wjechały na siebie. Nad parkingiem prokuratury wznosił się w niebo tłusty, czarny dym. Nieco dalej trwały starcia i aresztowania, kolejne porcje oleju podsycały płonący ogień. (Coraz bezwzględniejsza policja, coraz okrutniejsi terroryści. Coraz więcej przestępstw, coraz bardziej zniecierpliwiona opinia publiczna. Specjalne rodzaje broni ręcznej. Rozrastające się kolonie imigrantów. Coraz bardziej niepewny, nerwowy rząd. Krótkowzroczna polityka zagraniczna. Sztuczne satelity, bezowocne rozmowy. Biały proszek i czysta whisky).

Lionel Norman wycofał się w spokojne miejsce, pomiędzy dwa rzędy zegarów parkingowych, kiepsko zamaskowanych „jednorękich bandytów". Z tylnego siedzenia wziął torebkę pomarańcz (kupił je rano na wyraźnie życzenie autorki „LIONEL ŁAJDAK"), wyjął jedną i kilka razy podrzucił ją w prawej ręce. Lewą poluzował krawat.

– Do wszystkich wozów patrolowych! Proszę o potwierdzenie odbioru! – skwierczała radiostacja UKF. Norman siedział nieruchomo, niczym w jednym z tych pieprzonych kin dla zmotoryzowanych. Czuł, że nawet kołnierz przesiąkł mu potem. Czekał, aż dyspozytor ponownie się odezwie i właśnie wtedy trzydzieści metrów za nim z budki z wyłamanymi drzwiami zniknęła bez śladu kilkunastoletnia dziewczyna.

3. Na odprawie o siedemnastej zameldowano o siedemnastu tego typu przypadkach w rejonie, o trzydziestu pięciu w innych rejonach: w sumie na terenie całego miasta było ich około setki. Lionel Norman podejrzewał, że dane te, zgodnie z dobrymi obyczajem, podretuszowano.

Centrala nie potrafiła dostarczyć żadnych dodatkowych informacji, pomimo że dyspozytor Parkney przez pół godziny wypytywał (przez swoje teleksy) kolegów z Filadelfii, Waszyngotnu i Bostonu.

– Panowie, to jakaś wielka afera! – zapewniał tonem sekretarza stanu. Był człowiekiem, któremu udało się zrobić karierę, choć nie w potocznym tego słowa rozumieniu. Swej odwadze zawdzięczał dożywotnie poczucie bezpieczeństwa: w jednym ze starć uszkodzono mu kręgosłup i już po miesiącu otrzymał pięknie zaprojektowaną podpórkę pod głowę. – Dotychczas mieliśmy nadzieję, że to zwykła afera, ale nie dalej jak dziesięć minut temu wsiąkł prokurator generalny...

– Osiemnaście! – Norman wydął policzki i głośno prychnął. – Bez krzyku i błysku. Przy publicznych automatach w sklepach. W budkach telefonicznych. Skąd przychodzą? Dokąd idą?

– Sprawdź to sam w kinie na rogu! – rzucił ktoś. Później: – Przepraszam, chłopcy. To był głupi dowcip...

Norman otworzył okno.

– Co mówią fizycy?

– Że ta sprawa z budkami – odpowiedział Parkney przez trzaski – to obraza dla naszego ducha narodowego. Już choćby z powodu Supermana. Zawsze stamtąd startował, pamiętacie? Poza tym bardzo mało wiemy. Wrzucają monetę, wykręcają numer i...

– Jaki to numer? – upierał się Norman.

– Siedmiocyfrowy. – Długa przerwa. – Moim zdaniem pozamiejski. – Parkney szczerze się roześmiał. – I to bardzo pozamiejski.

– Co zrobił Waszyngton?

– Dał wolną rękę nasłuchowcom z CIA. Wstrzymał mnóstwo informacji w popołudniowych gazetach. Przygotowuje się do wycofania z obiegu srebrnych monet. W następnej kolejności wezmą się, jak sądzę, za książki telefoniczne. To tyle na dzisiaj, panowie. Uściski dla żon. Lionel, mam na myśli także Corinne... Najlepszego!

Jednakże w tej chwili Norman myślał nie o Corinne, lecz o swej byłej żonie. Wszystkiego najlepszego, dawna pani Norman, która zostawiłaś mnie, gdy leżałem ranny w szpitalu, by przeprowadzić się do któregoś z brudnych miast Minnesoty z handlarzem samochodów. Mam nadzieję, że ci po tamtej stronie ostrzą już sobie na was rakiety...

Jakby dla przypieczętowania tego zaczął padać deszcz. Lionel zapatrzył się na bladoszare chmury skłębione nad East River. Zdziwił się, że wszystkie chodniki, zegary parkingowe i mury nabrały złocistego połysku. Przez karoserię plymoutha przebiegł elektryczny dreszcz, przednie siedzenie drżało w rytm kropel padających na przednią szybę i dach.

Dwadzieścia minut stracił na wydzwanianie po różnych telefonach City College. Corinne zrobiła przynajmniej tyle, że podała nową godzinę: o siódmej. Gdzieś w tle śpiewał Frank Sinatra: „Mój niebieski raju..."

Zniechęcony opuścił miejsce, w którym zaparkował. Postanowił, że zemści się za tę rozmowę i złamie obietnicę: zje gdzieś ładnie wypieczoną pizzę.

Los chciał, że zauważył ten napis wcześniej niż ktokolwiek z jego kolegów na patrolu. Na wystawie księgarni przy Dwudziestej południowej, w miejscu ogłoszeń reklamowych. Przynaglające, chytre wezwanie. Czerwony neon: NAPAD.

Uważał, by zahamować bez pisku opon, niezbyt gwałtownie. Ostrożnie zwolnił, podjechał do chodnika po przeciwnej stronie. Rozpiął marynarkę i włożył pełny magazynek do kieszonkowego pistoletu automatycznego. Przyda się trochę rozruszać przed rendez-vous... Czterdzieści, najwyżej pięćdziesiąt kroków. Przeklęty teren. Główna arteria ze wschodu na zachód, kręte uliczki boczne, drabiny przeciwpożarowe. Latarnie uliczne błyszczące jak księżyce w pełni.

Zapiął kamizelkę kuloodporną, przywarł do ściany niczym wyrośnięty kocur. Policzył do dziesięciu i skoczył. W drzwiach przyjął klasyczną pozycję: rozstawione nogi, wyciągnięte do przodu ręce z pistoletem na wysokości brwi. Tania, efektowna sztuczka. A jednak trafiają się tacy, którzy jej nie znają.

– Nie ruszać się! – syknął.

Zgrzybiały sprzedawca o oliwkowej cerze, stojący w

kącie pomieszczenia po stronie wejścia, całkowicie podporządkował się temu wezwaniu, w przeciwieństwie do ubranego w skórę i motocyklowy kask faceta, który z odległości kilku metrów otworzył ogień ze swego karabinu M1.

Błyskawicznie Lionel Norman skoczył do przodu, lufa z opóźnieniem przesunęła się za nim. Kule rozerwały artystycznie udekorowany lampion, daleko odrzuciły kilka magazynów. Napastnik trzymając w lewej ręce opróżniony karabin wybiegł przez drzwi. Lionel Norman przeskoczył przez ladę, upadł na kolano – coś zatrzeszczało w szwie spodni – i wybiegł na ulicę ślizgając się na mokrych kamieniach.

Napastnik nie próbował nawet wskoczyć na motocykl. Z bronią przewieszoną przez szyję miotał się w budce telefonicznej na rogu. Wykręcał już numer krzycząc w stronę swego prześladowcy jakieś przekleństwa.

Panie, nie pozwól mu! – modlił się Norman. Zrób cokolwiek, tylko nie to...

Później...

Później napastnik wciąż stał z rozdziawionymi ustami, nic nie rozumiejąc. Po chwili przy budce zatrzymał się opancerzony radiowóz. Wysiadło dwóch kowbojów: podniesione kołnierze, przepisowe marynarki.

– No, gnojku! – krzyknął jeden wyciągając swojego kolta i szeroko otwierając drzwi budki. – Chodź, niech i ja mam jeden dobry dzień!...

Lionel Norman wrócił do księgarni. Tymczasem właściciel pozbierał zrzucone czasopisma i postawił na ladzie skrzynkę Budweisera...

– „I za dnia bramy jego nie będą zamknięte: bo już nie będzie tam nocy. I wniosą do niego przepych i skarby narodów. A nic nieczystego do niego nie wejdzie ani ten, co popełnia ohydę i kłamstwo, lecz tylko zapisani w księdze życia Baranka..." Apokalipsa św. Jana, część dwudziesta pierwsza, wiersz dwudziesty piąty. Nie jest pan ranny, panie oficerze?

Lionel Norman pokręcił przecząco głową i wypił piwo. Przyszło mu na myśl, że mógłby się od napastnika dowiedzieć, jaki to numer. Jednakże kowboje odjechali już razem z więźniem.

Na sfatygowanej twarzy księgarza bruzdy ułożyły się w uśmiech.

– Zwariowany, zwariowany świat... – Pociągnął dłonią po przeciążonych półkach. Z grzbietów książek uśmiechały się do Lionela malutkie pingwiny. – Gdy widzę gazetę, coś w środku zaczyna mnie kłuć. Zima zaczyna się w październiku, lato w marcu. Ten człowiek przed chwilą o mało mnie nie zabił za parę srebrnych półdolarówek. Dookoła szepczą brednie o latających talerzach i niewidzialnych potworach, które porywają ludzi. Wie pan, panie oficerze, co się kryje za tymi plotkami?

– Mam nadzieję, że nigdy nie będę się musiał dowiedzieć... – Norman wzdrygnął się i machnął ręką w stronę kasy. – Tych srebrnych dolarów niech pan tu nie trzyma. Są teraz bardzo poszukiwane, przynoszą nieszczęście. Dobranoc!

– Pan jest bardzo dobrym człowiekiem – poważnie powiedział starzec. – Nie użył pan broni, chociaż miał pan możliwość. Ten facet strzelił pierwszy. Mógł pana zranić albo nawet zabić, a mimo to pan nie strzelił.

– Jestem nadzwyczajnym człowiekiem – przyznał Norman ostrożnie ruszając ciężką jak ołów głową. – I jako nadzwyczajnego człowieka mnie zakopią, jeśli wreszcie nie każę naprawić tego przeklętego spustu...

4. Dziesięć po siódmej dotarł przed bramę biblioteki City College. Corinne czekała pod arkadami: wygięte brwi, delikatnie opuszczone kąciki ust, szary spencer, czarny płaszcz.

– Umieram z głodu – szepnęła między dwoma pocałunkami. Lionel dziękował niebiosom, że zapomniał o pizzy. O dziwo Corinne wydawała się wypoczęta i ożywiona. Niebezpieczna. Czym też zabijają czas siedząc w czytelni – ona i inni? Warto by przeprowadzić śledztwo...

Norman ruszył i nieomal wjechał w kufer ciemnego sportowego wozu, który migając reflektorami leniwie manewrował pomiędzy słupkami parkingu.

– Zamorduję cię, łajdaku! – krzyknął Lionel w zacietrzewieniu. Dziewczyna z ożywieniem pochyliła się do przodu.

– Znam ten samochód! To wóz któregoś z twoich kolegów z oddziałów specjalnych. Jego właściciel to zabawny facet. James Bond z prawdziwą blizną na czole... Wozi jedną dziewczynę z mojego roku.

Powodem mogło być jego zdenerwowanie albo też zainteresowanie kryjące się w głosie Corinne. Tamy puściły, brudny strumień rozgoryczenia spłukał resztki ostrożności.

– James Bond? Specjalny? Ten nędzny łowca głów? Przeklęty zimnokrwisty morderca! Jezus Maria, Corinne, powinnaś była widzieć ich występ!

Dziewczyna małymi ząbkami oderwała kawałek pomarańczy.

– Co ci się stało? To spokojny, delikatny człowiek...

– Delikatny? – Norman prychnął. – Kochanie, gdy ja skończę czterdzieści lat, on z pewnością nie będzie miał mniej niż trzydzieści pięć. Ale wyglądać będzie tak, jakby nie miał nawet piętnastu – dzięki preparatom hormonalnym. Na Boga, to wszystko są ludzie z probówki, wyhodowani do walki szaleńcy! Ale sądzę, że dla was to rzeczywiście wszystko jedno. Prędzej czy później każda z was wiąże się z jakimś mordercą.

– Dojechaliśmy na miejsce. Dziękuję za to szybom pancernym w waszych samochodach, wysokim dochodom, garniturom w jodełkę i...

Lionel Norman sięgnął, by wyłączyć radio.

– Do diabła!

Przez chwilę milczeli.

– Lionel?...

– Mhm. – Norman patrzył prosto przed siebie.

– Boję się. Strasznie się boję. Sto razy dziennie chciałabym być gdzie indziej. Myślę, że wszyscy się trochę boimy... – Oparła głowę na jego ramieniu i podciągnęła nogi, by się do niego przytulić. – Ale nie tak strasznie, jak ja.

Lionel Norman jak zwykle rozczulił się.

– W porządku, proszę pani... – mruknął we włosy Corinne. – Dokąd mam panią zawieźć?

Zadał to samo pytanie co zawsze i jak zawsze zawiózł ją do włoskiej restauracji na Madison. Właściciel był specyficzną postacią: śmiałkom, którzy odważyli się wejść, oferował zestaw atrakcji, które gdzie indziej były już na wymarciu. To właśnie on był tym, który stoły nakrywał prawdziwymi obrusami, na spodkach stawiał prawdziwe szklanki i na oczach wszystkich odkorkowywał butelki. Na ogół około godziny ósmej sam obsługiwał gości, a w pomieszczeniu rozbrzmiewał przebój z „Ojca chrzestnego" Coppoli – tak właśnie jak i tym razem. Jego postać znakomicie pasowała do obrazu przedstawiającego daleką i nieosiągalną Italię: obiady i kolacje wydawane na werandzie, ciotki ubrane w czerń, wujkowie rozebrani do koszuli. Odwieczny papież, wysoko wzbijający się pył za kołami wozu, piasek Finale Ligure.

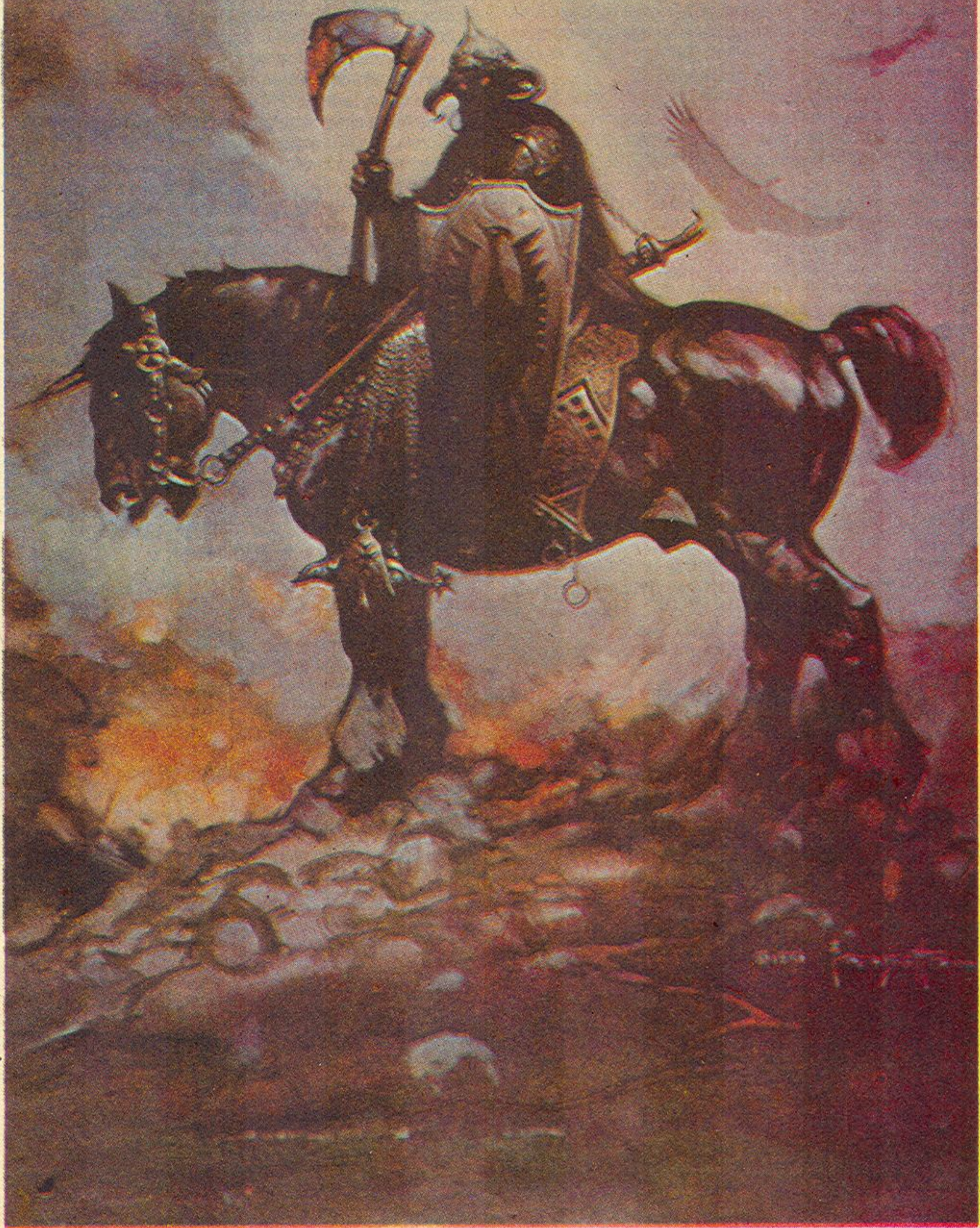
Idąc im naprzeciw właściciel przez cały czas się uśmiechał.

– Białe martini, nieprawdaż, słoneczko? – zwrócił się do Corinne. Następnie przyszła kolej na Lionela: – Już dawno trzeba było ją poprosić o rękę, ty bałwanie. W tym domu wariatów ze wszystkim trzeba się spieszyć... Czerwone?

Lionel Norman popijał wino czekając aż Corinne upora się ze swoim. Właściciel, zgodnie z obyczajem, który ukształtował się przed dwoma laty, przyniósł duszonego kurczaka, ravioli w głębokim półmisku, trzy rodzaje ragout, tarty ser, świeżą śmietanę i dzbanek kalabryjskiego.

– Niech pani uważa na tego człowieka, carissima: to

FRANK FRAZETTA





chodząca przebiegłość! Mogę się założyć, że pił piwo!... – Podnieśli do ust szklanki z winem. Norman po cichu, z zadowoleniem westchnął czując zapach napoju. Przed jego oczami, pośród złocistych błysków, pojawiło się miniaturowe odbicie pomieszczenia.

I „klik".

Norman przewrócił stół. Złapał Corinne pod ramię, właściciela za kołnierz i rzucił ich na ziemię. Widział, jak kelnerzy odrzucają tace, goście walą się na podłogę, zaś z przeciwnej strony zapalają się ognie przy lufach.

Nie słyszał dźwięków, prawdę powiedziawszy nic już nawet nie widział: wirujący dym spalonego prochu zasłonił napastników. W jednej chwili wszystko wokół zawirowało: obrusy, półmiski i dzbany, ravioli, lasagna, białe toskańskie i czerwone kalabryjskie. Lionel Norman znowu chciał być gdzie indziej. Daleko od tego domu wariatów, gdzie niektórzy zabijają nawet w porze kolacji. Do diabła z kultami! Do diabła z Supermanem i innymi! Chwilami człowiek – nawet jeśli trwa to tylko parę minut – nienawidzi swojej bezsilności.

Po lewej stronie w ścianie pojawiły się głębokie dziury. Wystrzelone kule rozbiegły się wzdłuż dwóch prostopadłych linii i tnąc ostatni metr zahuczały niczym nurkujące bombowce. Nie słysząc nawet Norman czuł, że Corinne szlocha.

Później, po interwencji specjalnego oddziału policji, gdy przeciąg rozwiał dym prochu, właściciel niczym zbity pies krążył po zdemolowanym pomieszczeniu, a jego córki i synowie pobiegli po bandaże. Kilku gości poraniły latające we wszystkie strony odłamki. Corinne spojrzała po sobie i obejrzała do niedawna szary spencer.

– Pięknie... – powiedziała. Tylko tyle. Zwróciła się do Lionela: – Mógłbyś mi podać ramię? Złamały mi się oba obcasy.

Norman podparł ją w krytycznym momencie. Dziewczyna z żałobnym wyrazem twarzy krążyła po sali trzymając buty w rękach.

– Bardzo żałuję, Vittorio.

– Nie ma tu nic do żałowania, bellissima. – Właściciel odgarnął odłamki szkła. – Przeżyliśmy i to jest najważniejsze. Z przyjemnością zobaczę was znowu za jakiś miesiąc. Jeśli w ogóle nadejdzie coś takiego jak kwiecień. Jeśli nadejdzie, to będzie to najlepszy prima aprilis.

Lionel zarzucił na ramię obsypaną tynkiem marynarkę.

– Zawiozę cię do domu, Corinne.

– Wiesz, że zupełnie nie chce mi się teraz jechać do domu.

Na Madison kupili dwie pizze i dwa pudełka napoju. W schowku na rękawiczki Corinne znalazła nadziewaną czekoladę.

– Wyłączże wreszcie to pieprzone radio! – błagała przeglądając „Vogue". Z okładki brytyjska księżniczka Diana obrzucała Lionela Normana olśniewająco błękitnym spojrzeniem.

Z któregoś okna na Alei Południowej rzucono na nich butelkę z benzyną. Norman nawet nie drgnął, gdy płynny ogień rozlał się po masce, niczym nie zagrażając samochodowi. Wyglądało na to, że i Corinne rozumiała, że atak nie był skierowany przeciwko jego osobie, lecz przeciw emblematowi policji.

– To był wspaniały wieczór! – powiedziała Lionelowi i delikatnie go pocałowała. Później, gdy Norman mocował się z zamkiem swojego mieszkania, gorzko się roześmiała.

5.

Następny poranek przebiegał tak samo, jak początek któregokolwiek marcowego dnia.

– Zostań moją żoną – powiedział Lionel Norman siedząc przy stole i trzymając grzankę.

– Gówno tam – odpowiedziała dziewczyna w zamyśleniu, a następnie sięgnęła do torebki po kredkę do powiek. W aucie milczeli aż do parkingu City College, gdzie Corinne pożegnała się, jak zwykle dodając: – O szóstej.

Żadnego „LIONEL ŁAJDAK".

Cholerny świat!

Jego złość z wolna rozpłynęła się w codziennej harówce. O 11.00 przed południem wybuch dosłownie zmiótł z powierzchni ziemi stację metra na Sześćdziesiątej ulicy. Parę minut przed pierwszą pełen pasażerów trolejbus runął do East River. Oznaczało to koniec wielkiej przygody dla dwóch ludzi. Pod koniec pory obiadowej kierownik działu broni w domu towarowym Hopkins Sons napchał nabojami kieszenie fartucha i zdjął ze stojaka strzelbę myśliwską. Zabarykadował się na dachu, skąd strzelał do przechodniów. Oficer specjalnego oddziału policji wspinając się po fasadzie budynku zaszedł go od tyłu. Kierownik działu wykazał się nadzwyczaj szybkim refleksem: odwrócił się i strzelił.

Umarł pierwszy.

Lionel Norman siedział w samochodzie gdzieś na East Endzie. Przespał tam z godzinkę. O drugiej dyspozytor Parkney przejął służbę w centrali od koleżanki o drewnianym głosie. Wywołał wóz Lionela Normana.

– Wiesz, brachu, że od wczoraj nasze piękne miasto zaczęło się wyludniać? Od świtu cztery tysiące osób zniknęło ze słuchawką w ręku, między innymi piętnastu adwokatów, dwóch sędziów futbolowych, stary Woody Allen i ambasador Francji przy ONZ. Ciekawe, co z nimi robią tam, gdzie docierają. I co robią ze srebrnymi półdolarówkami? Zmieniłem pogląd na ten temat. To nie afera! To prawdziwa emigracja. Jeden facet z Waszyngtonu powiedział mi, że to samo dzieje się po tamtej stronie oceanu, w Europie. Na północy dzienniki i telewizja informują obywateli, jaki numer obowiązuje w danym dniu.

– Nie podoba mi się ta sprawa.

– Tak samo jak rządowi. Powiadają, że gubernator Kalifornii zdobył numer i monetę, a mimo to nie udało mu się uzyskać nic poza normalnym sygnałem centrali. Nie chcieli go tam.

Lionel Norman wzdrygnął się. „A nic nieczystego do niego nie wejdzie ani ten, co popełnia ohydę i kłamstwo..."

– Co mówisz, stary? Tu strzelają...

– Mówię, brachu, że nie chciałbym być na miejscu prezydenta. Ooo... – Norman walnął w kierownicę. – Zapomniałem. Co jest z dzisiejszą imprezą? Corinne chciałaby wiedzieć...

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

– Słuchaj uważnie, Lionel – zaczął Parkney. – Od wczorajszego popołudnia dostaję różne meldunki. Nie musiałem robić nic innego, tylko ich słuchać. Zebrałem ze trzydzieści numerów telefonicznych. Tiffany mówi, że trzeba jak najprędzej spróbować. Choćby z powodu dzieci. Zwłaszcza ze względu na nie, stary...

– Zwariowałeś...

– Powiedziałem ci, żebyś słuchał! Nie będę na ten temat dyskutować. Nie chcę, żeby facet, który mnie dźwigał na plecach w pieprzonym szybie windy, poniewierał się z innymi. Idę do domu, ale po drodze zostawię ci listę w przechowalni na Monroe. Skrytka 666. Zrób z tym, co chcesz, ale uważaj! Podsłuchują wszystkie linie.

Lionel Norman pospiesznie przełknął coś w McDonaldzie. Piwo nadal miało metaliczny posmak. Czarny kelner mocno się spocił licząc zgromadzone w kasie srebrne monety.

Szybki telefon do Corinne z samochodu.

– Lionel! Boże święty, poczułeś, że musimy porozmawiać! – Nastrój zbliżającego się końca świata wywarł już na dziewczynie piętno. – Tu paru klientów...

– ...podyktowało ci dwie strony numerów telefonicznych. Nie zaprzeczaj, dobrze? Przed policją nie ma tajemnic. Powiedz tylko, kotku, po ile chodzą teraz srebrne półdolarówki?

Pełne złości syknięcie po drugiej stronie.

– Po dziesięć. Dwanaście. Różnie. Zmarnowałam kilka na przyjaciół, jeśli chcesz wiedzieć. Vittorio z rodziną też spróbują, najpóźniej dziś wieczorem...

– No a ty, papierowy tygrysie? – Lionelowi Normanowi znowu zrobiło się zimno.

– Czekam na ciebie. Mam jeszcze dwie monety i jednak wciąż cię kocham, wiesz? Przyjedź teraz, nie czekaj do szóstej.

W mózgu Normana znowu rozległo się dyskretne „klik!".

– Corinne, podskoczę najpierw do przechowalni na Monroe. Parkney zostawił tam kilka najlepszych numerów. Zaczekasz, prawda?

Odezwał się chłodny głos obcej kobiety:

– Uwaga! Ta rozmowa była kontrolowana. Połączenie przerwano ze względu na bezpieczeństwo państwa.Uwaga...

Lionel Norman ruszył niczym pilot samolotu. Przeleciał przez wzgórze Nashville, Central Park, pomiędzy niedawno posadzonymi klombami. Żaden radiowóz nie ruszył za nim. Nie wzywano go też przez radio, żeby dał spokój. Kiedy na Sześćdziesiątej znalazł się w korku, wyjechał na chodnik i zmiótł kosz na śmieci. Pędząc po Alei Południowej zauważył, że motocykliści z Bronxu w bezsilnej wściekłości atakują automaty telefoniczne. Zazgrzytał zębami, lecz nie zwolnił. Ponad miastem rozciągnęła się szara zasłona, gęste powietrze przepełnione było elektrycznością: w górze zapalały się łuki błyskawic. Droga na parking przed Monroe trwała przez ten bigos prawie pięćdziesiąt minut.

Była szósta. Lionel zatrzasnął drzwi samochodu.

Na fasadzie dworca rozjarzyło się tropikalne słońce. Gdzieś w środku jasnowłosa Marilyn zasłoniła oczy. Spośród dwunastu bomb podłożonych przez terrorystów wybuchło zaledwie sześć czy siedem, ale i te wystarczyły. Metalowe konstrukcje, płyty, cegły i palmy wzleciały pod niebo, runęły na stos, grzebiąc pod tysiącami ton gruzu numery Parkneya.

Lionel oślepiony błyskiem, ogłuszony przez detonację i syreny, skoczył za kierownicę. Z prędkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę wyjechał na główną szosę, by zmierzyć się z największym karambolem swego życia.

Z prawej strony tygrysica w niebieskiej lancii opuściła szybę.

– Goldie! – mruknęła zmysłowo. – Nie miałbyś dla mnie jednego papieroska? – Ośmielona brakiem odpowiedzi ciągnęła: – Znam kilka specjalnych ćwiczeń izometrycznych. – Z głębokim przekonaniem: – Będziesz zachwycony.

Lionel Norman jęknął.

6. Była dziewiąta, gdy dotarł przed bramę główną City College. („Jeśli kiedykolwiek spóźnisz się ponad pół godziny, zostawię cię!") Pod arkadami kilku obdartych studentów czekało na opancerzony autobus. („Mam jeszcze dwie monety i jednak wciąż cię kocham, wiesz?") Corinne już sobie poszła. Na zawsze. Nawet na tablicy ogłoszeń nie było wiadomości dla Normana.

Wiedział, że to się już skończyło. Minie kilka dni i cena srebrnych półdolarówek i numerów telefonicznych osiągnie astronomiczną wartość. Prostą drogą nigdy ich nie zdobędzie. Musi poszukać nowej posady, póki jeszcze pora. Przecież być policjantem oznacza: nie mylić się. Raz naruszysz prawo i koniec – znajdziesz się na liście „niepewnych".

Lionel powlókł się do domu.

W dół drogami przedmieścia, poprzez mosty nad kanałami pełnymi brudnej wody, w noc mruczącą jak dynamo, z płonącym wzrokiem i zesztywniałymi członkami.

Po to, by odkryć, że drzwi są otwarte. („Nie ma bezpiecznych zamków. Daj mi spinkę od włosów, a poruszę Ziemię").

Z westchnieniem wyjął pistolet. Sprawdził spust i lufą pchnął drzwi.

– Bóg pana sprowadza, Mr Norman!

Stary pingwinowaty księgarz, z południowej Dwudziestej. Norman nie był zaskoczony. Ani zagniewany. Każdemu czynowi przyświeca jakiś cel. Wcześniej czy później każda pobudka wychodzi na światło dzienne. Rzucił broń na łóżko.

– Napije się pan? – zapytał zgnębiony. – Bo ja tak... – Pokuśtykał do kuchni, zapalił światło.

I „klik!".

W powietrzu unosiła się resztka zapachu perfum. Gorzkawosłodki aromat przywodzący na myśl pokrojoną pomarańczę i tropikalny kwiat. Trochę Corinne.

– Młoda pani była tu około siódmej z kilkoma przyjaciółmi – wyjaśnił księgarz opierając się o framugę drzwi. – Przyszliśmy w tym samym czasie. Widziałem, jak otwiera drzwi spinką do włosów. Nie potrafiła zamknąć i dlatego poprosiła, żebym – jeśli mogę – zaczekał, aż pan się „przywlecze" do domu. Prosiła też, żebym panu oddał tę kopertę. Znajdzie pan w środku srebrną półdolarówkę i numer telefonu. Ten jedyny numer. Wybrałem go dla pana... – Ruszył, by przejrzeć książki Normana.

– Dlaczego? Dlaczego pan tu został, skoro zna pan numer?

Pozbawiona wieku twarz nie zwróciła się w jego stronę. Kościste palce pieściły grzbiet leksykonu.

– Oj, oj, Mr Norman... Przecież nie jesteśmy jednakowi. O mnie nie warto się martwić. Ludziom takim jak ja nic tu nie grozi i nie będzie grozić ani jutro, ani tym bardziej pojutrze. Kiedy skończę pracę, może się jeszcze spotkamy. Nie musi pan nic robić, żeby mnie odnaleźć – mam dobrą pamięć do twarzy. To samo mogę powiedzieć o swojej logice. Długo się zastanawiałem, jaką lekturę dać panu na drogę. I później zrozumiałem, że mężczyzna taki jak pan szykując się do dalekiej drogi powinien przyjąć tylko życzenia szczęścia. Wiele szczęścia, Mr Norman!

Cicho odszedł niosąc pod pachą słownik frazeologiczny. Lionel Norman wziął torbę podróżną z pożółkłymi papierami, elektryczną maszynką do golenia i używanym swetrem zrobionym na drutach, który dostał na Boże Narodzenie do Corinne. Do kieszeni wsadził jej kasetę z najlepszymi piosenkami starego Franka, która od dawna się tu poniewierała. Na ramiona narzucił wiatrówkę. Zszedł po schodach i nie przystanął aż do najbliższego automatu.

Od strony śródmieścia z rzadka dobiegał głos syreny. Na ogień tętniący w rejonie zatoki padały cienie przypominające sylwetki pierwotnych istot. W krzyżowym ogniu reflektorów, w blasku płonących dzielnic, w nieokiełznanym szale tańczyła resztka świata.

Lionel Norman pomyślał o brontozaurach, najpaskudniejszych pariasach minionego świata. One, wraz ze swymi trzydziestoma tonami wagi i dwoma mózgami, pewnie też wydawały się nieokiełznane, niezniszczalne i wieczne. A to była nieprawda. Pomyślał, że nawet nie zwalniały biegu, gdy deptały kwieciste łąki i gniazda pierwotnych ssaków. Myśląc o ich zmierzchu pożałował tych potworów, bowiem nie znały lęku ani poczucia odpowiedzialności, a gdy ginęły, nie wiedziały, dlaczego przyszło im zginąć.

– Wiecie co?! – krzyknął do cieni, trzymając w ręku słuchawkę. – Sądzę, że to jest wasza ostatnia noc.

Wykręcił numer, zamknął oczy.

I „klik!".

7. Kiedy spojrzał wokół siebie, ani śladu nie pozostało po budce, zniknęły także zatoka, noc i pożar. Stał na zakurzonej wąskiej drodze polnej pod bezchmurnym niebem. Zieleń rozległych pól promieniowała spokojem i Lionel Norman czuł, że tak powinno być. Wszak wspólna tęsknota milionów ludzi zachowała tę ziemię w tym kształcie przez dziesiątki lat.

Wystawił twarz do słońca. W oddali, na wzgórzu leniwie obracał się wiatrak, za nim fale oceanu uderzały o brzeg, a jeszcze dalej była stara Europa ze swym Morzem Liguryjskim i Walhallą – nie mówiąc już o Arkadii czy Drzewie Świata. Za nimi żaglowce zmierzały w stronę Kalkuty, zaś bóg-cesarz Chin, Jao kuł miecz, by zwyciężyć Śmierć i Czas.

Słysząc warkot silnika Norman otrząsnął się. Osłonił oczy i patrzył na zbliżającą się ciężarówkę, materializującą się z powieści Steinbecka, by stanąć u jego boku.

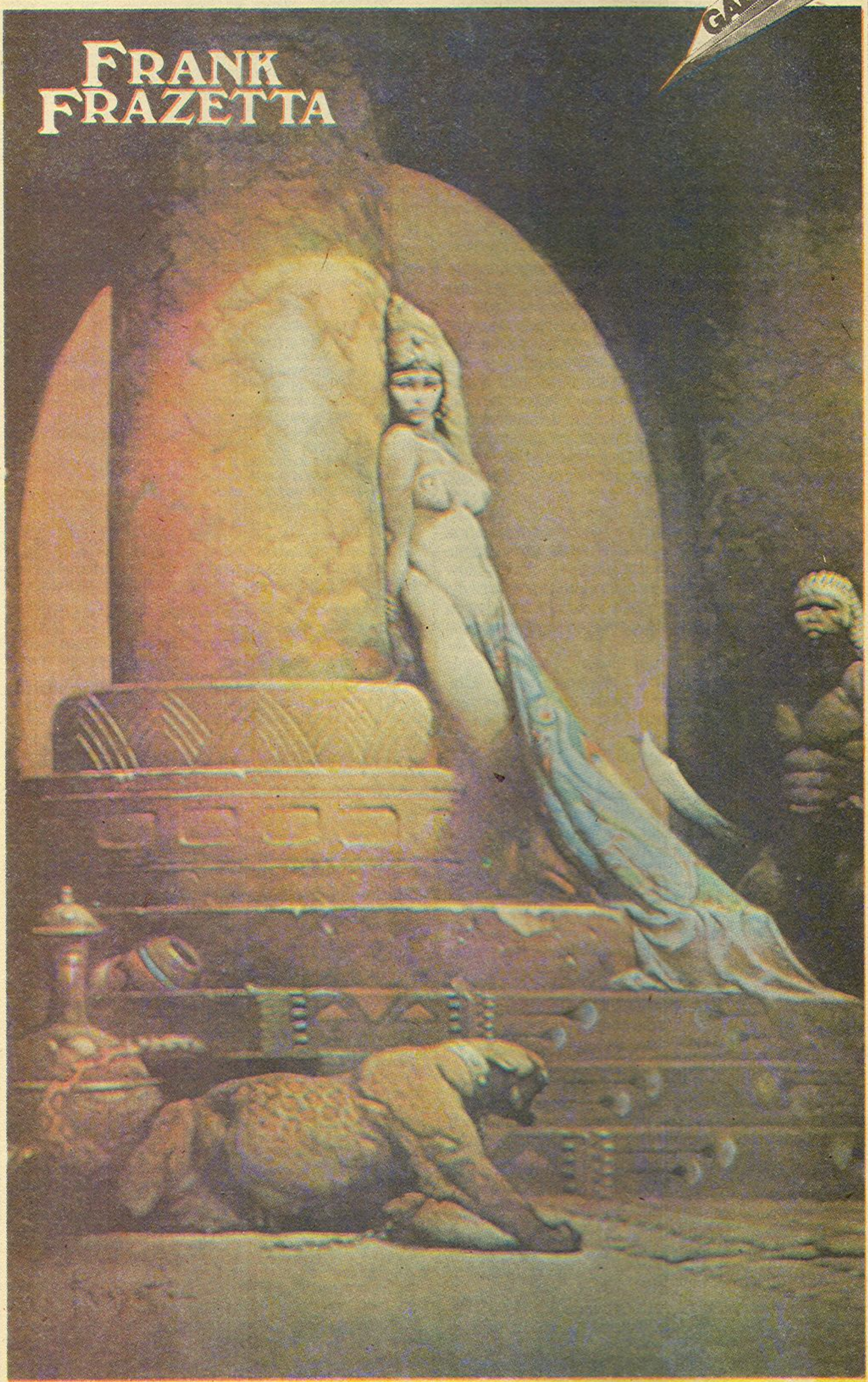
Z szoferki wychylił się Portorykańczyk o pulchnej twarzy z czapką Yellow Cab na głowie. Uśmiechnął się do pasażera tak, jak to potrafią jedynie Portorykańczycy.

– Come esta usted, señor? Na pewno się panu nie spieszy, ale tu w środku jest znacznie wygodniej. A poza tym – szelmowsko skinął głową do tyłu – może się zdarzyć, że znajdziemy po drodze ładunek. Przyda się pomocna ręka. Wozimy książki. Jak powiedzieli ci starzy ludzie, to jest teraz najlepszy biznes. Bóg mi świadkiem, że nie chcę psuć tego, co dobre. W końcu żyje się tylko dwa razy, nie? A w mieście na każdego czeka jego Dulcynea. Szkoda byłoby, gdyby musiały zbyt długo czekać...

Lionel Norman w pełni przyznał mu rację.

„Galaktika" nr 11/86

Przełożył **Wojciech Maziarski**


FRANK
FRAZETTA
GALERIA

Jeden: siła.

Było to nieco osobliwe, że od dwóch tygodni mógł zasnąć jedynie z odbezpieczonym laserem osobistym marki „Bezpieczeństwo dla Ciała i Życia" pod syntetyczną poduszką. Także i przez cały dzień musiał mieć stałe świadomość, że w każdej chwili broń znajduje się pod ręką. Był to powód do głębokiego zastanowienia, dawniej bowiem nie był tak wrażliwy.

Kiedy jednak niespokojnie wsłuchiwał się w siebie. Przyjaciel Ludzi odezwał się miękkim i sugestywnym tonem: – Dlaczego miałbyś się bać, Philipie? I czego? Przecież jestem tutaj. Uwierz mi, nie ma w tobie strachu, nawet w największych głębinach twojej świadomości.

Wkrótce potem niepokój zniknął z powierzchni jego świadomej percepcji, chowając się pod warstwą złudnej pewności siebie. Siła była znowu z nim.

– Hallo, Sir, proszę chwilę poczekać... – Męski głos był nabrzmiały podnieceniem, Tanner wiedział, co to oznacza. Nie obejrzał się do tyłu i pobiegł dalej w kierunku śluzy. Ze strachem przyciskał do piersi aktówkę.

Z tyłu za sobą słyszał przybliżające się pośpiesznie kroki. – Proszę pana, Sir... Zapomniałem swojej karty ID i nie mogę dostać się do środka. Muszę koniecznie tam wejść... Ja...

Tanner dotarł do śluzy bez tchu. Był szczęśliwy, że nie przyszedł dzisiaj o regulaminowej porze wpuszczania do Wieży i nie znalazł przed nią długiej kolejki czekających ludzi. Szybkie dotknięcie sensora alarmu i śluza się otworzyła.

– Proszę mi zaufać, jeżeli posiada pan ważną kartę ID, w przeciwnym wypadku...

Tanner przerwał Centralnemu Komputerowi Domowemu: – Mam ważną kartę. Pośpiesz się, do diabła! Jestem ścigany! Prawdopodobnie przez kogoś nieupoważnionego, kto chce się dostać do środka przy mojej pomocy! Szybko!

– Naturalnie, Sir.

Śluza zamknęła się. Tanner usłyszał jeszcze wściekłe przekleństwo swojego prześladowcy, czuł się jednak już zupełnie bezpieczny, gdyż metalowa kurtyna śluzy mogła ochronić go nawet przed bombami. Przez sztuczną skórę aktówki czuł zimny metal lasera. Zaczął nawet bawić się myślą, czy nie powinien jeszcze raz wyjść i pokazać temu facetowi, gdzie raki zimują. Nie. Powinien był to zrobić od razu. Dlaczego właściwie uciekał!

Wylegitymował się, kapsuła drgnęła i przeniosła go pewnie przez trzydziestometrową ścianę do wnętrza Wieży. Tanner wysiadł i otarł z twarzy krople deszczu. Jego zazwyczaj tak uporządkowane włosy wisiały na wszystkie strony jak strąki. Drogi płaszcz z wełny lam i szary garnitur w paseczki czuć było wilgocią. Był to bardzo nieprzyjemny zapach; będzie musiał zniszczyć te rzeczy.

– Życzę miłego wieczoru, Sir – usłyszał przyjazny głos Centralnego Komputera Domowego. – Mam nadzieję, że dzisiejszy dzień nie był zbyt męczący.

– A jeżeli nawet?

– Proszę mi wybaczyć, Sir, nie chciałem być niedyskretny.

– Co robi ten facet, który mnie ścigał? – zapytał szorstko Tanner. Nie lubił technosów. W każdym razie, nie wtedy, kiedy usiłowały grać ludzkie istoty, wdając się w pogawędki. Te urządzenia powinny funkcjonować. To wystarczało.

– Chodzi w kółko przed śluzą wejściową. Jest całkowicie przemoczony i zrozpaczony.

– Już dobrze – powiedział Tanner – zawiadom policję.

– Tak jest, Sir.

Ze zwyczajnym pośpiechem Tanner udał się w kie-

Martin Eisele

PRZYJACIELE LUDZI

(Die Menschenfreunde)

– Musisz mieć do siebie trochę więcej zaufania – szeptał głos. – Musisz być dumny z tego, co osiągnąłeś. Nie każdy potrafi tego dokonać, Philipie. To samo powie ci na pewno twoja Opiekunka. Powinniśmy ją znowu odwiedzić...

Tanner nie słuchał. Przez mgnienie oka albo przez wieczność widział się takim, jakim najbardziej lubił się oglądać: Philip Tanner, 38 lat, szczupły, a w każdym razie jeszcze bez zwisającego brzucha i zmarszczek na twarzy, oczywiście wspaniale opalony – bądź co bądź trzy razy w tygodniu odwiedzał solarium przy ulicy Nadmiejskiej. Jego włosy były co prawda nieco przerzedzone, ale tak jak i przedtem przyjemnie miękkie. Interesujący, dynamiczny: typowy człowiek sukcesu, jak to się ostatnio mówi w modnym slangu amerykańskim – top. Nie był związany z żadną kobietą, dumny z tego, że potrafi dać sobie radę ze wszystkim sam.

Taxi-gleiter zatrzymał się łagodnie przed luksusową Wieżą Mieszkalną A-16 przy ulicy Parkowej na Górnym Mieście. Na zewnątrz padał deszcz, nisko nad ziemią wisiały groźnie chmury, otulając wyższe piętra Wieży Mieszkalnej zbudowanej ze szkła i metabetonu. W wielu oknach paliły się światła: niezliczone, małe płomyki migotające w tej ponurości w pojedynku z jaskrawymi reklamami neonowymi, jarmarcznie płonącymi oknami wystaw na poziomie ulicy – naturalnie go przegrywając.

Komputer taksówki podał cenę przejazdu, Philip zapłacił, rozpiął pasy bezpieczeństwa i zabrał się do wysiadania.

– Życzę panu miłego wieczoru, Sir – pożegnał się z nim komputer. Tanner skinął głową i za moment skrzywił twarz, kiedy uświadomił sobie, że technos i tak nie może tego zrozumieć. Zaraz zresztą zapomniał o tej sprawie. Krople deszczu biły po twarzy, kiedy biegł do wejścia śluzy Wieży. Nie lubił być mokry. Ci idioci w Urzędzie Sterowania Pogodą! Przystanął na moment z wściekłym spojrzeniem skierowanym na znikający w oparach deszczu i smogu gleiter.

runku wind prowadzących do wyższych rejonów mieszkalnych. Olbrzymi hol przypominał jeszcze epokę Złotego Wieku, był jednakże tylko skromnie oświetlony – oczywiście oszczędzano energię. Odgłosy kroków Tannera nieprzyjemnie głośno odbijały się od pokrytej kafelkami podłogi.

Tanner nerwowo oblizał wyschnięte wargi. Wszystkie drzwi do wind były zamknięte. Przed nimi czaiła się ponura ciemność. Światło ostatnich dwóch neonówek nie docierało tak daleko. Po omacku zaczął szukać swojego lasera...

...i w tym momencie czubek jego prawego buta natknął się na coś miękkiego!

Facet, który kucał przed nim na zimnej kamiennej podłodze rzężąc przewrócił się na bok, a razem z nim flaszka. Szkło rozbiło się z brzękiem i za chwilę ponad drgającym, ciemnym kształtem uniosła się chmura oparów alkoholowego smrodu. Tanner przekroczył pijanego z obrzydzeniem, ale i z pewnym niepokojem. Wyćwiczonym ruchem wyszarpnął z aktówki laser. A więc centralny komputer można było przechytrzyć! Prawdopodobnie facet, który go ścigał na zewnątrz należał do tej samej grupy co i to indywiduum... Co za hołota! Unikające pracy szczury! – pomyślał. Zawiadomi o tym policję i zażąda kontroli Centralnego Komputera Domowego.

I nagle, z prawej i lewej strony zobaczył ruch cieni, usłyszał szuranie i pojął, że ten facet nie był sam...

– Nie ruszać się! – krzyknął piskliwie, machając wokół laserem. Nacisnął rogiem aktówki guzik windy i wsunął na moment swoją legitymację domową w przeznaczoną do tego celu kontrolną szczelinę. Ze wszystkich stron powoli zbliżali się do niego...

– Bracie... – zabulgotał jeden z nich. Drugi wyszeptał gorączkowo: – Nie zabijać... nie mordować... proszę, nie... bracie...

Tanner nie chciał słuchać tych słów. Poczuł mdłości. Ale pozostał nadal uważny. Nadjechała kabina windy, drzwi otwarły się z szurgotem i z wnętrza z sykiem uciekło powietrze. Wszedł do jasności kabiny, nadal obserwując cienie kątem oka. Tylko przez moment zobaczył w wycieńczonych twarzach z czarnymi owrzodzeniami zrozpaczone, wypełnione strachem oczy, otwarte w bezgłośnym błaganiu usta, półpozdrawiające, na wpół z nadzieją podniesione ręce i długie, splątane włosy. Drzwi zamknęły się za nim i rozpoczęła się szalona podróż w górę.

– Przeklęta hołota! – zazgrzytał zębami Tanner.

– Zajmę się tym, Sir – zapewnił go komputer.

– A więc wiesz o tym...

– Tak, Sir. Już od pewnego czasu. Ale pomyślałem sobie, że to nie będzie nikomu przeszkadzać, jeżeli pozostaną w holu i dolnych korytarzach. Na górę nie mogą się dostać, nie mają żadnych legitymacji, a poza tym są spokojni. Moje najwyższe zasady brzmią...

– Znam prawa komputerowe, przestań o nich gadać! Zajmij się tymi łazęgami! Płacę całą masę pieniędzy za to, że mieszkam w tej wytwornej Wieży i... – przerwał swoje przemówienie, w końcu nie musiał się usprawiedliwiać przed jakimś technosem. Miłość bliźniego w wykonaniu takiej bezdusznej istoty! Bez sensu. Dokąd to nas jeszcze zaprowadzi? Te łazęgi powinny zabrać się do pracy i wszystko byłoby uregulowane – mieliby wtedy zapewniony nocleg. Każdy, kto szukał pracy, mógł ją dostać. Tak było już zawsze.

Wysiadł na 65 piętrze Wieży Parkowej. Tu, na górze, wokół niego roztaczał się solidny luksus, który przynosił mu taką ulgę. Łagodne złote światło zabarwiało korytarz, nadając koloru tłumiącym kroki dywanom na podłodze i na ścianach. Drzwi wiodące do poszczególnych mieszkań były dyskretnie wpuszczone w ściany. Tanner był szczęśliwy, że nie spotkał po drodze grubej pani Steiger, która zazwyczaj dopadała go po skończeniu pracy, chcąc mu koniecznie opowiedzieć najnowsze plotki. Było to zrozumiałe, ponieważ jej foksterier słuchał co prawda cierpliwie machając ogonem, ale nie rozumiał nic z wyższych radości ludzkiego współżycia. A przede wszystkim, nie mógł jej służyć ze swojej strony żadnymi nowymi plotkami.

Odetchnął z ulgą, kiedy zamknęły się za nim bez szmeru drzwi do jego jednostki mieszkalnej. Zrobiło mu się lżej. Jednostka mieszkalna powitała go jasnym kobiecym głosem, który, jako wyposażenie specjalne, kazał sobie zamontować. Rozbłysło światło. Tanner pomyślał przez krótką chwilę o pani Steiger. Powinna pójść do diabła, stwierdził, krzywiąc się w uśmiechu. Tak. Siła była znowu razem z nim.

Dwa: odprężenie.

– Życzę miłego wieczoru, Philipie – powiedział Przyjaciel Ludzi. – Zrobiłeś dzisiaj całą masę rzeczy. Przeczytałeś wszystkie te ważne papiery na jutrzejszą konferencję. W twoim mózgu została zakonotowana cała ich zawartość. To jest naprawdę osiągnięcie. Możesz być z siebie dumny. Możesz być zadowolony. Również i prezydent, pan Köhler, będzie z ciebie zadowolony. Będziesz mógł jutro pójść wcześniej do domu. – Przyjaciel Ludzi zrobił krótką pauzę. – Przy okazji, czy mógłbym ci przypomnieć, że nadal mamy zaległą wizytę u Opiekunki. Na pewno pamiętasz o tym. Mówiłem ci to już wczoraj i przedwczoraj, ale wtedy najwyraźniej zignorowałeś moją dyskretną wskazówkę...

– I przed tygodniem, tak samo jak i przed dwoma tygodniami – tak, przypominam sobie. Ale nie mam czasu dla Opiekunki. Muszę pracować, ciężko pracować. Zostaw mnie więc w spokoju ze swoją Opiekunką – jak do tej pory udawało się nam żyć bez niej i tak będziemy robić nadal. Ta cała głupia gadanina o spokoju duszy! – Zaśmiał się pogardliwie.

– Philipie – próbował go przekonać dobrotliwym głosem Przyjaciel Ludzi.

– Nie chcę więcej o tym słyszeć! Zostaw mnie w spokoju!

– Masz rację – stwierdził z oporami Przyjaciel Ludzi. – Naturalnie, będę respektował twoje życzenie. – Po krótkiej przerwie zadał znowu pytanie: – Czy zostawisz swój laser dzisiaj tam, gdzie się teraz znajduje – w twojej aktówce?

Tanner nadstawił uszu. Stwierdził, że głos Przyjaciela Ludzi brzmiał dzisiaj bardziej nalegająco niż zazwyczaj, znalazł w nim odcień, który oznajmiał drżącą obawę, wibrowanie, którego jeszcze nigdy nie słyszał w jego przyjemnym głosie.

Ale również i tego wieczoru nie myślał o tym, aby pójść za radą Przyjaciela Ludzi. Z westchnieniem odłożył na bok przyniesione ze sobą akta. Zasłużył sobie dzisiaj na wolny od pracy wieczór i odrobinę odprężenia. W końcu na świecie istnieje nie tylko praca. Z drugiej strony – nie mógł sobie wyobrazić życia bez pracy, bez kariery, sukcesu i pieniędzy, władzy i wpływów.

Tanner wstał płynnym ruchem i wyciągnął laser z aktówki. Z czułością pogłaskał broń trzymaną w prawej ręce, podziwiając jej szlachetne wykonanie, twarde błyski metalu, kiedy padało na nią złociste światło z antycznej, porcelanowej lampy. Czuł się teraz bardzo dobrze. Zawsze, kiedy bawił się laserem czuł się dobrze, wszystko inne było tak dalekie.

– Wszystko inne, Philipie? – zameldował się zaniepokojny Przyjaciel Ludzi. – Co oznacza „wszystko inne"? Philip, proszę cię...

Martin EISELE

Urodził się w 1954 roku, mieszka w Boll, w pobliżu Stuttgartu. Zajmuje się pisarstwem od siedmiu lat. Opublikował pod pseudonimem „Verfasser" wiele powieści, m.in. z zakresu weird fiction. Dwie, według niego najważniejsze powieści, ukazały się w antologiach Alpersa: „Das Grosse Ölkrieg" i „Metropolis brennt".

WS

Przyjaciel Ludzi trajkotał dalej, teraz już kobiecym, wypełnionym obawą głosem.

Tanner ignorował w dalszym ciągu Przyjaciela Ludzi i chodził w kółko po swojej jednostce mieszkalnej.

– Sir, czy mogę teraz przygotować panu kolację? – zapytała z kuchni Gospodyni marki Emma-Alpha.

– Nie, jeszcze nie.

– Życzy pan sobie użyć najpierw mnie? – poinformowała się Gospodyni.

– Tego też nie. – Uśmiechnął się szyderczo, ponieważ głos Emmy-Alphy był modulowany, tak pełen nadziei. – Dzisiaj mam zamiar zrobić coś... coś, co dobrze zrobi oczom i duchowi.

– Rozumiem, Sir.

Rzeczywiście, nie chciał być dzisiaj zaspokajany przez Emmę-Alphę. Czuł się zawsze lepiej, kiedy mógł odmówić jakiemuś technosowi. Czasami brakowało mu do tego siły. Było to przekleństwo kawalerskiego życia.

W tej chwili nie wiedział, co począć ze swoim wolnym czasem. Był to jego pierwszy wieczór od miesięcy, w którym nie wszystko było wypełnione i zaplanowane. Ileż to rzeczy zaniedbał w tym czasie? Swoje nieliczne przyjaźnie... Dawniej czasami szedł do restauracji z Joachimem. Dzisiaj nie miał już żadnych przyjaciół. Sukces w polityce doprowadził do samotności. Zbyt wielu było zazdrośników.

Zatrzymał się przed oknem, pozwalając swoim myślom swobodnie wędrować. Mieszkał w tej wspaniałej jednostce, na sześćdziesiątym piątym piętrze Parkowej Wieży Mieszkalnej. Osiemdziesiąt pięć metrów kwadratowych luksusowego mieszkania, wyposażenie drogie i pseudoskromne, żadnych długów. Wytworny adres w bezpośredniej bliskości miejskiego lasu, który zielenił się mgliście pod srebrzyście migocząca kopułą ochronną, przyrzekając odpoczynek po dniu powszednim. Mimo wszystko składał się jeszcze w czterdziestu pięciu procentach z prawdziwych drzew. Na zewnątrz przestał padać wreszcie ten przeklęty deszcz.

Tanner wpatrzył się marzycielsko w malowniczy zachód słońca na zewnątrz. Delikatne, czerwone zasłony przesuwały się po ciemniejącym niebie, a w oknach innych mieszkań tańczyły kolorowe cienie. Szarość dalekich chmur wyglądała jak poprawiona jaskrawą farbą. Ten przyjazny, spokojny nastrój przeniósł się na znajdujący się w dole las, na gorączkowość panującą w wąwozach ulic i na niego samego.

Odwrócił się, poszedł do sypialni i włożył laser pod poduszkę swojego pneumołóżka, a potem wrócił z powrotem do salonu.

Przyjaciel Ludzi milczał nadal konsekwentnie, ale to milczenie miało jakiś nieprzyjemny posmak.

Tanner usiadł w swoim wygodnym, wypchanym marsjańską trawą fotelu z wmontowaną w oparcie aparaturą do zdalnego sterowania wszystkimi ułatwiającymi życie robotami w jednostce mieszkalnej. Nie patrząc na aparaturę wyłączył wszystkie źródła światła. Następny przelotny nacisk na pola sensorów i fotel obrócił się płynnie dookoła swojej osi tak, że Tanner mógł znowu spoglądać przez okno.

– To rzeczywiście piękny zachód słońca – skomentował nieoczekiwanie Przyjaciel Ludzi i Tanner przytaknął pojednawczo głową. Przez długą chwilę spoglądał przez okno, wygodnie oparty, zastanawiając się nad tym, czy nie powinien zamówić towarzyszki... Nie zdecydował się jednak na to. Czy był szczęśliwy? Czy był zadowolony? Nie odpowiedział na obydwa pytania. Może obejrzeć później 3-D-Show? Mógłby kazać się w niego wintegrować. Gwarantowało to dużą rozrywkę.

Niepostrzeżenie w salonie zapadł mrok. Tanner włączył układ stereofoniczny. Z ukrytych głośników cicho szemrał III koncert fortepianowy Garganova. Cienkie łodyżki trawy z Andromedy na tapetach wyprostowały się i zaczęły swoje senne kołysanie do dźwięków tej pięknej muzyki. Czuł się jakby stał na bezludnym, pustym brzegu morza. Można było znowu marzyć. Osiągnąłem sukces, myślał, mam pieniądze, pracę chroniącą przed kryzysem. Czasy będą coraz lepsze. Słuchał koncertu fortepianowego Garganova aż do momentu, kiedy krwistoczerwona kula słoneczna zniknęła za horyzontem, a wieczorna mgła osnuła nieprzeniknioną siecią całe miasto. Przyjaciel Ludzi ma rację, pomyślał Tanner, mogę być trochę zarozumiały z powodu tego, co osiągnąłem. Mogę być pewny siebie.

– Nareszcie to zrozumiałeś. Fałszywa skromność tylko szkodzi.

Czy Tannerowi wydawało się, czy też rzeczywiście w głosie tym pojawiła się ulga? Wydawało się, jakby Przyjaciel Ludzi miał się zaraz uśmiechnąć, co oczywiście było całkowicie niemożliwe.

Ze zmarszczonym czołem Philip podniósł się z fotela. Nigdy nie będzie mógł zrozumieć Przyjaciela Ludzi. Rozkazał Emmie-Alphie, aby przygotowała dla niego kolację. Gospodyni zabrała się natychmiast do pracy. Nieco później Tanner spożył lekkostrawny posiłek, po którym przeniknął go nastrój pełen melancholii, jak gdyby jadł taką kolację po raz ostatni. Wypił pół butelki czerwonego wina 018, nacisnął sensory nocne i za oknami zniknął widok sylwetki miasta, nocy, mgły i samotnych świateł; szyby w oknach pociemniały, ukazując w końcu szereg wybranych surrealistycznych obrazów sennych McCortinsa. Tanner myślał o konferencji, która jutro go tak zmęczy, bawił się przez chwilę srebrnym widelcem i w końcu obejrzał 3-D-Show, nie każąc zamieniać się w biorącego w nim udział fantoma. Ale zamiast tego, zanim poszedł spać, użył jednak Emmy-Alphy. Później zrobił sobie zastrzyk Morfeusza i zasnął, upewniwszy się uprzednio, że jego laser znajduje się pod poduszką.

Trzy: przeciążenie – przesterowanie.

Obudził się jak zwykle, tak mu się przynajmniej początkowo wydawało. Przez zaciemnioną sypialnię szybowała łagodnie, coraz jednak głośniejsza serenada Santosa. Pneumołóżko wraz z wbudowanym w nie intensywnym budzikiem zaczęło się poruszać, wpadając falowymi ruchami w rytm melodii, okno rozjaśniło się, pozwalając zajrzeć do środka przyjaznemu, jasnemu porankowi. W kuchni pracowała już Emma-Alpha. Słychać było bulgotanie wody na kawę. Zaraz potem w powietrzu rozszedł się przyjemny zapach naparu.

Philip Tanner ciągle jeszcze myślał, że jest to taki sam poranek jak każdy inny. Myślał o dzisiejszej konferencji i czuł się niewyspany; powinien był jednak położyć się spać wcześniej.

– Dzień – dobry – Philipie... Późno... Jest już późno... – powiedział Przyjaciel Ludzi dziwnie urywanym głosem. Tanner przetarł oczy i chciał usiąść...

Nie potrafił jednak otworzyć oczu, powieki wydawały się być sklejone ze skórą twarzy, źrenice piekły go, jakby posypano je solą. Od tyłu głowy naciskała na nie jakaś straszliwa siła. Miał wrażenie, jakby jego mózg chciał się usamodzielnić i widział jedyne wyjście z zamknięcia czaszki przez oczodoły, a te były zamknięte przez powieki.

– Co się stało?... Czemu tak się dzieje? – wybełkotał Tanner rozdygotanym głosem.

Przyjaciel Ludzi odpowiedział mu bulgotem, a później wyrzęził: – Tyyy... muuuusisz wstaaać. Bądź pewny siebie. Bądź pewny siebie. Musisz być mocny. I dumny. Masz wszystkie powody do tego. Nieee zaaapomniiij o tyyym! Powinniśmy byli odwieeedzić Opiekunkę. Móóó-

wiłem ci o tym. Ciąąągle mówiłem... Nieee jestem jeszcze w porządku... jeszcze w porządku...

Tanner przewracał się z boku na bok. Ciągle jeszcze nie mógł otworzyć oczu. Jego ręka na oślep macała po pościeli i trafiła w końcu pod poduszkę, znalazła laser i objęła go w zwierzęcej rozpaczy.

Spadł z łóżka i wydało mu się, jakby wypadł z tego świata. Uderzenie spowodowało ostry ból, który przeszył całe ciało... Ból, który natychmiast zamienił się w olbrzymią łapę bijącą go z piekielną siłą po mózgu. Przyjaciel Ludzi... Wypielęgnowana twarz Tannera skrzywiła się w grymasie przerażenia, tracąc wszystkie cechy człowieczeństwa; szok psychiczny coś w nim zdruzgotał, słyszał nieludzkie wrzaski i jakimś cudem pojął, że był to głos Przyjaciela Ludzi, który tak straszliwie krzyczał...

– Próbowałem, Philipie – rozlewał się jego głos w myślach Tannera. – Naprawdę. Chciałem być doskonały. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy... Byłeś mocniejszy ode mnie. Przynajmniej, jeśli idzie o twój strach... i o twój upór. Przeczułeś prawdziwą rzeczywistość. Byłeś na to wystarczająco silny. Ale nie będziesz mógł jej znieść. Żaden człowiek nie może jej znieść. Powinniśmy byli pójść do Opiekunki. Ona mogła naprawić moje uszkodzenie. Tak jest napisane w instrukcji. Znasz przecież instrukcję. Dlaczego jej nie przestrzegałeś? Dlaczego pozwoliłeś, aby do tego doszło?

Tanner po omacku czołgał się po podłodze, czuł wyraźnie w swojej ręce laser i warstwę potu, która utworzyła się pomiędzy uchwytem broni a skórą. Nie mógł strzelać, gdyż... jego największym wrogiem był on sam. On sam! Jego myśli pędziły jedna przez drugą, rozpadały się, aż przestały być w końcu myślami. Wspomnienie rzeczywistości było zbyt okropne.

– Twój strach... Próbowałem zrobić wszystko, abyś zachował swoje iluzje – paplał dalej histerycznie Przyjaciel Ludzi. – Dałem z siebie naprawdę wszystko. Zachowując te skomplikowane wizje. Cały świat... TWÓJ świat, Philipie. To było niemożliwe... Przesterowanie. Jestem przeciążony. Jestem przeciążooony... Ja...

Teraz zaczął krzyczeć także i Tanner; było to okrutne, piskliwe wycie. Nigdy nie sądził, że ludzkie struny głosowe potrafią wydać z siebie coś takiego. Czołgał się dalej. Bez celu. Jego wolna ręka zaczęła trzeć oczy tak długo, aż dało się podnieść powieki. Obraz zaczął się pomału wyostrzać... Jego otoczenie było przeżartym przez brud korytarzem, z którego wysokich ścian obłaziły wilgotne tapety; wszędzie wokół była pleśń i woda, kapiąca grubymi kroplami na podłogę. Tuż przed nim znajdowała się słonawa, śmierdząca kałuża. Wokół panował półmrok i zimno. Zaczął marznąć. Trzy metry przed nim leżała na podłodze rozlewająca się masa, powyginane ciało – pani Steiger. Była martwa. Musiała tu leżeć już od dawna. Jej czaszka była zgruchotana straszliwym ciosem. A jej foksterier? Gdzie był jej pies?

Pseudorzeczywistość Tannera została rozerwana na strzępy, Przyjaciel Ludzi umarł, w pozornej rzeczywistości powstała głęboka rysa i teraz mógł zobaczyć prawdę... To otoczenie – było prawdziwą rzeczywistością!

Skowycząc, Tanner pełzł wzdłuż śmierdzącego korytarza i wiedział – o święty komputerze, wiedział o tym! – że żyje tutaj już od miesięcy, od lat... Od czasu Wielkiego Błysku, od dnia, w którym prezydent w bunkrze rządowym nakazał rozdzielić pomiędzy pozostałych przy życiu prominentów Przyjaciół Ludzi... aby nie musieli znosić straszliwej rzeczywistości! Aby mogli przeżyć swój czas w głębinach bunkra nie wpadając przy tym w szaleństwo!

– Możesz być dumny, Philipie – zaskrzypiał Przyjaciel Ludzi w jego czaszce swoim oszalałym głosem. – Dumny z tego, czego dokonałeś... Wy wszyscy – wszyscy ludzie – możecie być dumni... z teeego, czego dla siebie dokonaliście. My, Przyjaciele Ludzi, zachowujemy to dla was – ukazując waszemu rozumowi – aby nie widział tego, co widzą wasze oczy... Pokazujemy wam to, co chcecie zobaczyć.... Jesteście za słabi... Nie możecie znieść tej potworności, a jedynie jej przyjemną stronę... Luksus. Dobrobyt. Władzę. Wpływy. Pieniądzepieniądzepieniądze. Zdrowie. Życie. Żadnych czarnych owrzodzeń. – Skowyczący śmiech zakończył tę przemowę. Przyjaciel Ludzi oszalał. – Nie mam więcej siły – wydyszał. – Żadnej siły więcej. Moja Opiekunka... – Zadźwięczał żałosny szloch i głos Przyjaciela Ludzi zatrząsł zarażonym ciałem Tannera. Jego ręce, które jak i całe ciało, pokryte były czarnymi wrzodami, drgały konwulsyjnie.

Teraz zrozumiał wszystko, naprawdę wszystko. Umarł przed wieloma miesiącami, nie żył już od lat. Te czarne wrzody nie wystąpiły w ciągu jednej nocy. Wykształcały się powoli i nie można było ich zatrzymać. Ludzie poza bunkrem umarli natychmiast. Przeżył ich o parę lat. To tutaj, było ostatnim stadium – po nim przychodziła już tylko śmierć...

Śmierć!

– Zawiodłeś! – zawył Tanner rozrywając sobie przy tym kąciki ust. Pęknięcie rozgałęziło się, zamieniając w nacięcie biegnące na ukos przez cały policzek. – Cholernie zawiodłeś! Miałeś mnie chronić! Nie wolno ci było na to pozwolić... na prawdziwe wspomnienia, prawdziwą rzeczywistość... Nie na tak krótko przed śmiercią!

– Jeszcze nie umierasz, Philipie! Jesteś bardzo twardy. Masz przed sobą jeszcze dużo czasu. Nabierz pewności siebie. Bądź...

– Przestań! Do diabła, przestań! Zrób coś... Pomóż mi! Proszę... Okaż łaskę! – Zaszlochał zrozpaczony. Przyjaciel Ludzi milczał. Prawa ręka Tannera obejmowała jeszcze ciągle laser. Ale teraz zobaczył pełen przerażenia, że nie była to żadna broń, tylko psia kość, z której zwisało jeszcze parę rozkładających się strzępów mięsa. To były jego rezerwy pożywienia. Tanner zachichotał. Pełznąc posuwał się dalej po mokrej, zarosłej brudem podłodze, czując, że za chwilę będzie musiał zatrzymać się i odpocząć do momentu zregenerowania sił.

– Świadomość samego siebie, Philipie – zarzęził Przyjaciel Ludzi. – Tylko bez... fałszywej... skromności...! Osiągnąłeś sukces! Skutecznie nie dopuściłeś do tego, abyśmy poszli do Opiekunki. Skutecznie... Prezydent będzie z ciebie zadowolony... Nabierz pewności siebie... bądź...

Przyjaciel Ludzi odtworzył cały swój program, szalone stwierdzenia, strzępy mów, śmiechy, płacz, krzyki, pouczenia, pocieszenia, kpiny. Tanner słysząc to roześmiał się grzmiąco. Ból znajdował się już wszędzie, stawał się coraz większy im szybciej następował rozpad Przyjaciela Ludzi. Wbijał się w jego ciało ognistymi szponami. I nagle Przyjaciel Ludzi umarł. Był to szybki koniec.

Tanner jednak wbijał nadal swoje brudne, okaleczone palce w podłogę i pełzł dalej: żywy trup, który nagle zobaczył swój cel.

Byli nim jego towarzysze niedoli. Ci, którzy podobnie do niego gnieździli się na dole, w katakumbach rządowego bunkra i tak samo znali i widzieli prawdziwą rzeczywistość, bojąc się Jeszcze-Normalnych i ukrywając przed nimi. Jak długo funkcjonowali Przyjaciele Ludzi Jeszcze-Normalnych, byli oni ich wrogami. Jeszcze-Normalni byli głodni. Jeszcze-Normalni wyruszali na polowania.

Tanner śmiał się tak długo, aż po pomarszczonych, pokrytych strupami policzkach popłynęły łzy. Tak, znalazł swój cel, wielki cel. Musiał dotrzeć tam, gdzie mógłby być teraz mile widziany. Musiał dotrzeć do swoich braci. Do swoich braci.

Przełożył **Wawrzyniec Sawicki**

★

– Gerry – powiedział cicho Pandit Singh. – Gerry, jest tu ktoś, z kim powinieneś się zobaczyć.

– *Cześć, Rudi, wiedziałem, że tu jesteś. Poczekaj, zaraz do ciebie przyjdę.*

Cicha sugestia pod adresem widzów, że powinni już wyjść i był wolny. Mógł pójść i uścisnąć rękę Rudiemu. Była z nim Clara, z którą też serdecznie się przywitał.

– *Co słychać?*

– *Świetnie! Teraz często będziemy się widywali. W przyszłym miesiącu rozpoczynam w Ulan Bator kurs dla obserwatorów terapeutycznych.*

– *Wspaniale!*

– Cześć, Gerry – powiedział Rudi nieświadom tej wymiany myśli. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Byłeś cudowny.

– Wiem – odpowiedział Howson uśmiechając się. Tak bardzo odmieniło go nowe potwierdzenie własnej wartości, że Rudi ledwie go poznawał. – Kiedy zamierzasz przyłączyć się do mojego showbusinessu?

– Za kilka tygodni daję pierwszy koncert. Przyjechałem głównie po to, żeby cię na niego zaprosić i upewnić się, czy przyjedziesz. Jeżeli nie możesz, przesunę termin. Musisz być obecny przy moim debiucie.

– Moje gratulacje! Możesz być pewien, że przyjadę.

Rudi zerknął z ukosa na Pandita Singha. Na policzki wystąpił mu lekki rumieniec.

– Gerry, rozmawiałem o tobie z doktorem Singhiem i dowiedziałem się sporo o twoim... no... o twojej niepełnosprawności. Nie znam się za bardzo ani na medycynie, ani na telepatii, ale zdaje mi się, że wpadłem na pewien pomysł, który nie jest wcale taki głupi, jak na początku myślałem. Eeee... jeżeli dobrze zrozumiałem, problem polega na tym, że pewna część twojego mózgu, która powinna nadzorować naprawy ciała i utrzymywać je w należytym stanie, została zajęta przez twój organ telepatyczny.

– Mniej więcej – przytaknął Howson. Przyjrzał się badawczo twarzy Rudiego, ale widoczne na niej napięcie powstrzymało słowa cisnące mu się już na usta. W jego umyśle rodziło się nieokreślone przeczucie.

– Przechodząc więc do sedna sprawy... jeżeli jesteś w stanie przenieść praktycznie wszystko z umysłu innej osoby do własnego, to czy nie mógłbyś przeprowadzić tego typu pożyczki potrzebnej ci części mojego umysłu, żeby uzupełnić to, czego ci brakuje? – to ostatnie zdanie Rudi wyrzucił z siebie gwałtownie i patrzył teraz z nadzieją i podnieceniem na Howsona. – Widzisz, zawdzięczam ci wszystko, włącznie z życiem i chciałbym w zamian uczynić również coś dla ciebie.

Świat wokół Howsona wirował. Wpatrywał się z napięciem w Pandita Singha, pytając bez słów czy taki zabieg jest możliwy.

– Nie miałem jeszcze czasu tego przemyśleć – odezwał się Singh – ale nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy spróbować. Może się okazać, że twoje ciało zacznie mieć tendencję do upodabniania się do ciała pana Allefa, ale podzielam nadzieję, że będziemy w stanie cię zoperować i dać ci szansę odzyskania zdrowia. Może się również okazać, że urośniesz. Ostrzegłem pana Allefa, że kuracja ta będzie wymagała pójścia na stosowny okres czasu do szpitala, bez możliwości zajmowania się czymkolwiek innym oraz znoszenia takiego samego bólu, jakby operacja przeprowadzana była na nim samym i to bez żadnej gwarancji powodzenia...

– Proszę, pozwól mi.

Howson zamknął oczy. Nie mógł nie zgodzić się na propozycję Rudiego, ale nawet kiedy wykrztusił słowa podziękowania, czuł że są niepotrzebne. To, czy jego nadzieje ziszczą się, czy nie, nie miało większego znaczenia. Bo w momencie, kiedy Rudi uczynił swoją propozycję, on, Gerald Howson, stał się w pełni człowiekiem.

KONIEC

XIX

– Dobra walka – odezwał się mężczyzna z laską tonem sugerującym, że widział już co najmniej tuzin takich. Hao Sen nie odpowiedział, zbyt gwałtownie biło mu serce. Wszystkie jego plany spełzły na niczym, był zupełnie bezbronny.

Jedyną szansą, jaka mu pozostawała było utrzymanie wrażenia, że jego pojawienie się stanowiło jedynie efekt powstania wtórnej osobowości schizoidalnej w ogólnej fabule fantazji. Splunął pod nogi, zatarł ręce i podszedł do smoka, żeby wyciągnąć miecz z jego brzucha.

Jedno spojrzenie powiedziało mu, że broń jest bezużyteczna. Rękojeść wygięła się pod kątem prostym w stosunku do klingi. Klnąc, zamachnął się, żeby odrzucić go od siebie.

– Wstrzymaj się! – krzyknął rozkazującym tonem mężczyzna ze stopni świątyni. – Miecz, który pozbawił życia smoka nie jest bronią, której powinno się tak łatwo pozbyć. Podaj mi go.

Hao Sen posłuchał z ociąganiem. Mężczyzna wziął od niego miecz i obejrzał go dokładnie. Potem, mrucząc pod nosem słowa, których Hao Sen nie mógł dosłyszeć – przypuszczalnie zaklęcia – uformował kółko z kciuka i palca wskazującego i przesunął nim wzdłuż swojej laski. Nie rozwierając kółka odłożył laskę w zgięcie ramienia i chwycił miecz za rękojeść, po czym przesunął złożonymi w kółko palcami wzdłuż jego klingi.

Powlekająca ostrze smocza posoka ścięła się i odpadła płatami pozostawiając jasny metal. Kiedy mężczyzna osiągnął miejsce, w którym miecz był zgięty, ten zadrgał, a potem wyprostował się gwałtownie, wydając przy tym śpiewny dźwięk.

– Jestem czarownikiem Chu Lao – powiedział wysoki mężczyzna. – Masz tu swój miecz.

W sekundę później zniknął.

★

Hao Sen rozważał ponuro fakty, z jakimi się zetknął. Pogłębiały tylko jego przygnębienie.

Stawało się jasne, że mimo tak starannych przygotowań przyjął jedno założenie, które w ostatecznym rozrachunku mogło się okazać fatalne w skutkach. Przyjął mianowicie, że ma do czynienia z przeciwnikiem podobnym do poprzednich pacjentów. Ten jednak takim nie był. Miał przeciwko sobie człowieka, który zdolny był przedsięwziąć w trakcie opracowywania swoich fantazji takie same środki ostrożności, jak w każdym innym obszarze swojej działalności. Wystarczającym ostrzeżeniem powinna była być plama pleśni na boku smoka. Taki szczegół był niemal nie do pomyślenia, chyba że stanowił wynik oddziaływania Hao Sena na otoczenie, albo też smok był wtórną osobowością schizoidalną.

Sam często stosował ten trik i zamierzał zastosować go znowu, kiedy tworzył wyobrażenie wielbłądzicy o imieniu Gwiezdny Promień. I czy to w wyniku domysłu, czy przewidywania, od razu wytrącono mu tę broń z ręki.

A więc smok był wtórną osobowością schizoidalną z własną, „rzeczywistą" osobowością. A władcą Miasta Tygrysa nie był Cesarz pławiący się w przepychu i pochlebstwach. Był nim czarownik Chu Lao.

Czarownik! Wzdrygnął się. Nic dziwnego, że już przy pierwszym zetknięciu się z tą fantazją poczuł tchnienie magii!

To prawda, pamiętał poprzednie przypadki, w których w obraz urojonego świata wplątana była magia. Ale wtedy stwierdzał, że były to jedynie naprędce poskładane dziecinne wyobrażenia, którym brak było spójności. Magia praktykowana przez Chu Lao była konsekwentna, rygorystyczna, rządząca się dokładnie wypracowanymi prawami. Będzie tak sztywna i nieelastyczna, jak nauka. I Chu Lao zna te prawa, Hao Sen zaś nie.

Zarzucił całkowicie swoje pierwotne plany. W tej sytuacji nie miało sensu subtelne podkopywanie podstaw iluzji, czyhanie na okazję do przejęcia nad nią kontroli, co dawniej stanowiło jego ulubioną technikę. Wykorzystać środki walki ukute przez przeciwnika i walczyć na wybranym przezeń gruncie – to była pewna droga do wyczerpania i klęski. Pogrążony w ponurych myślach, obejrzał swój miecz naprawiony przez czarownika.

Za wszelką cenę musi uniknąć porażki. Poddać się raz, znaczyłoby to samo, co uwierzyć w możliwość przegranej.

Musi jednak wpasować się jakoś w scenariusz ułożony przez swego przeciwnika. Zbyt drastyczne naruszenie podstawowego wątku stworzyłoby szansę przerwania sprzężenia umysłów, a wtedy mógłby się znaleźć w sytuacji człowieka, który wędrując po świecie swojej własnej fantazji, łudzi się, że odniósł sukces, chociaż pokonana armia składałaby się z samych marionetek...

Podjął decyzję. Jedyną szansę stwarzała teraz tylko brutalna siła. Niech więc to będzie siła.

*

Schodzili z gór zdecydowanie, karnymi szeregami. Nie barbarzyńską hałastrą, czego można by się spodziewać po zbójcach, ale jak armia spojona dyscypliną. Byli jeszcze o kilka mil od murów Miasta Tygrysa, gdy odblask wieczornego słońca odbity od ich tarcz i hełmów zwrócił uwagę straży miejskiej i od razu na blankach rozpoczęła się nerwowa krzątanina.

Hao Sen, dosiadający swojej wielbłądzicy, jechał na czele i uśmiechał się pod wąsem. Wzdłuż majestatycznej szyi Gwiezdnego Promienia sterczała wsparta o podpórkę długa włócznia zakończona straszliwym grotem, miecz obijał mu się miarowo o udo.

Niech się podenerwują! Niewiele im to przyniesie dobrego. To, co chował w zanadrzu, wystarczało, by wstrząsnąć każdym z mieszkańców Miasta Tygrysa, włączając w to aroganckiego Chu Lao.

Zbójcy schodzili ze wzgórz już ponad godzinę. Marsz odbywał się w ciszy, jeżeli nie liczyć dźwięku gongów, które dyktowały tempo. Nie podeszli do murów bliżej niż na odległość strzału z łuku, ale posuwali się po okręgu i otoczyli miasto szczelnym pierścieniem. Juczne zwierzęta obładowane chrustem, wozy z obleżniczymi i wielkimi zapasami żywności wskazywały tylko na jedno – byli zdecydowani oblegać miasto, dopóki Cesarz nie zdoła wyposażyć swej armii i zapewnić odpowiedniego furażu na planowaną wyprawę przeciwko nim.

Hao Sen z zadowoleniem przyglądał się swemu dziełu. Wybrał dla siebie stosunkowo nie rzucające się w oczy stanowisko dowódcy wielbłądziej jazdy, domniemany zaś herszt zbójców pławił się we wszelkich luksusach, jakie mogła mu zapewnić taka właśnie horda. Jechał w ustawionej na czterokołowym wozie ciągnionym przez zaprzęg wołów, ogromnej jurcie podróżnej, przyozdobionej przepięknymi futrami i kawałkami poplamionego, tureckiego dywanu. Wokół wozu trwał nieustanny ruch, słychać było gwar głosów, pokrzykiwań oficerów, gońców i niewolników.

Armia zatrzymała się. Na murach miasta widać było dowódców sił obronnych. Po chwili wszyscy zebrali się na machikułach nad bramą główną, naprzeciw której zajął stanowisko wóz herszta.

Pod bramę podjechał herold z formalnym żądaniem poddania miasta bez oporu. Odpowiedź była odmowna i pełna godności. Poparł ją grad strzał i herold śpiesznie wycofał się w kierunku swoich linii.

Nieźle. Hao Sen obserwował obrońców miasta chowających się za blankami przed strzałami, które w odpowiedzi wypuścili z łuków zbójcy. Potem zapanował spokój przerywany jedynie sporadycznymi strzałami, podczas gdy gońcy znosili informacje o umocnieniach obronnych.

Wynikało z nich, że jedynym czułym punktem jest brama główna. Łucznicy zmusili więc obrońców do schowania głów, a w tym czasie, w kierunku zamykających ją drewnianych wrót, powleczono pęki chrustu i beczki ze smołą. Kilku ludzi padło, ale praca była już na dobre zaawansowana, kiedy niespodziewanie poniechano jej. Atakujący wycofali się, a obrońcy oceniali ze zdziwieniem sytuację. Wychy-

Zwróciła się w myślach o pomoc do Howsona, który wtłoczył natychmiast, bezpośrednio do umysłu Rudiego wizję przyszłości.

Sala – ogromna, pogrążona w ciemnościach. W jej końcu, nad miejscem dla orkiestry, jarzą się światła. Słychać odgłosy strojenia instrumentów i przyciszone głosy widzów. Rozlegają się pierwsze akordy kompozycji Rudiego. Ciemności rozpierzchają się za sprawą ogromnej kopii zbiornika Jaya, w którym powstają żywe, ciekłe, obrazowe odpowiedniki tonów muzycznych. Czuje się reakcję publiczności. Jest niemal namacalna, a kompozytor karmi się uznaniem, z jakim spotyka się jego dzieło.

Przerwał i spojrzał na Rudiego, który leżał na wznak z zamkniętymi oczami i z dłońmi splecionymi na kołdrze. Howson wstał i skinął na przyjaciół. Wycofali się cicho z pokoju, pozostawiając Rudiego ze wspaniałą wizją swych spełnionych ambicji.

*

Kiedy wieczorem, tego samego dnia, siedzieli w mieszkaniu Jaya i Charmy i celebrowali sukces lampką wina, Charma spojrzała w pewnej chwili na Howsona i zapytała.

– A co z tobą? Co ci z tego wszystkiego przyjdzie? To trochę nie w porządku, żebyś nic na tym nie skorzystał.

– Ja? – Howson zachichotał. – Ja mam już właściwie wszystko. Sam fakt, że jest tak już od wielu lat, nie umniejsza mojego zadowolenia. Widzicie... Rudi dał, że tak powiem swój pierwszy publiczny występ. Wydaje mi się, że mogę pójść w jego ślady i dać swój...

I nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Jak mógł być dotąd tak ślepy? Jak mógł nie zdawać sobie sprawy, że rozwiązanie jego problemu leży właśnie tutaj, pod samym nosem?!

On – Gerry Howson – dysponował taką mocą telepatyczną, jakiej nie posiadał nikt nigdy dotąd, nawet Ilsa Kronstadt. Dlaczego miał wikłać się w tworzenie grupy katapatycznej, by uniemożliwić zewnętrznemu światu przerwanie sprawiającej przyjemność fantazji? Wystarczy, jeżeli skoncentruje się tak, jak ludzie, kiedy odtwarzają wspaniałe role, albo interpretują wielką muzykę.

Mógł to zrobić.

Podjął opowiadanie prostej historii fantastycznej, bajki z wrażeniami wzrokowymi, dźwiękowymi, zapachami, wrażeniami dotykowymi, emocjami – wszystko to wydobywał z nieprzebranego magazynu nierealnych i realnych wspomnień, w jaki wyposażyła go bliska znajomość tylu umysłów. Oczywiście, była to próba. Pewnego dnia zademonstruje coś znacznie lepszego. Ale na razie wystarczy.

Clara, Charma i Jay powracali z wolna do rzeczywistości. Oczy im błyszczały i wiedział już, że wygrał.

A teraz?

Może podróż dookoła świata, celem dodania do swej znajomości snów, koszmarów i wyobrażeń innych ludzi, wiedzy o rzeczywistości, czerpania trochę tu, trochę tam, ze świadomości Azjatów, Europejczyków, Amerykanów, Australijczyków... Cały świat stał teraz przed nim otworem.

Uśmiechnął się i nalał sobie wina.

XXX

Stadion był, jak zwykle, wypełniony po brzegi. Rzadka okazja, kiedy można było posłuchać „głośno myślącego" Geralda Howsona sprawiała, że jego występy gromadziły komplet publiczności. Nigdy bowiem nie dopuszczał, by jego występy kolidowały z pracą zawodową w centrum terapeutycznym w Ułan Bator. Ale jeżeli tylko nadarzała się sposobność, zawiadamiał wybrane miasto, dysponujące odpowiednio dużym stadionem lub salą, a ludzie gotowi byli przebyć tysiące mil, byle go zobaczyć. W ciągu dwóch lat stał się sławny na wszystkich kontynentach.

Tego wieczora występował przed największą, jak dotychczas, widownią – pięciotysięczną. Tłum opuszczał teraz w zadumie stadion, a Howson odbierał – i starał się ignorować – nieuchronną falę gratulacji od poszczególnych słuchaczy. Jak zwykle musiał zaprzeczać, że jest wyczerpany po takim wysiłku. Nigdy nie czuł się tak szczęśliwy i zrelaksowany, jak po tych rzadkich wystąpieniach publicznych.

Ilso, Ilso! Gdybyś na to wpadła, nie umierałabyś obarczona takim poczuciem niespełnionego obowiązku.

lubić. W sprzyjających warunkach jest zdolny do stworzenia czegoś, co może stać się nową formą wyrazu artystycznego. To nie jest sprawa na jedną noc – wymaga dużego nakładu pracy i pieniędzy. Teraz jednak potrzeba mu głównie nadziei. A wydaje mi się, że wiem, jak możemy ją w nim rozbudzić.

★

– *Rudi!*

Rudiego przeniesiono do pojedynczej, dźwiękoszczelnej sali, w której oprócz niego znajdowali się teraz Jay, Charma, Clara, pielęgniarka i oczywiście Howson. Howson ponowił delikatnie swój kontakt z Rudim.

– *Rudi, myśl o swojej muzyce.*

Fala wyimaginowanego dźwięku wlała się w obolałą świadomość Rudiego, jakby otwarto tamę. Howson walczył o zapanowanie nad nią i odpowiednie jej ukierunkowanie. Gdy rezultaty wydały mu się zadowalające, skinął na Clarę.

Zbiornik, który przydźwigało tutaj czterech mężczyzn, rozświetlił się. Clara, ze skupioną twarzą naciskała przełączniki, a tymczasem Howson zasugerował Rudiemu otworzenie oczu. Usłuchał, zobaczył...

Jay i Charma oczywiście nie mogli słyszeć muzyki, która pulsowała i szalała w umyśle Rudiego, ale słyszeli ją Howson i Clara, a to wystarczało.

Na eksperymentowaniu, modyfikacjach i treningu upłynął im cały tydzień, po tym czasie szybkość reakcji zbiornika była fenomenalna, a Jay skonstruował naprędce nową konsoletę, która czyniła urządzenie tak uniwersalnym i tak prostym w obsłudze, jak instrument klawiszowy. A Clara...

Howson zastanawiał się często w ciągu tego tygodnia, czy dysponowała ona wrodzonymi zdolnościami, czy też to on był takim świetnym instruktorem telepatii. Teraz odczytywała fantastyczne projekcje umysłu Rudiego, przesiewała je, wyciągała ich podstawowe znaczenie i przetwarzała na obrazy wizualne z chwilą, gdy tylko pojawiały się w jego umyśle.

Na twarzy Rudiego wpatrzonego w zbiornik malowało się pełne zachwytu osłupienie. Jay i Charma, chociaż nie słyszeli muzyki interpretowanej przez Clarę, byli niemal tak samo wstrząśnięci. A Howson nie posiadał się z radości.

W zbiorniku wyrastały góry, zniekształcone, jakby oglądane od dołu, pururowo-błękitne i przytłaczające. Przy ich szczytach gromadziły się mgły, a gdy w wyobraźni Rudiego odległa i melancholijna linia rogu rozrastała się w kataklizm orkiestralnych dźwięków i setki niemuzycznych odgłosów, w dolinę waliła lawina otoczona białymi odpryskami śniegu. Zbiornik zaszedł mgłą – z prowadzącego doń kabla sieciowego uniosła się smużka dymu i Jay z okrzykiem rzucił się ratować swoje dzieło.

Pokaz dobiegł końca.

★

Z wiarą, że awaria nie zniweczyła zachwytu, jaki okazywał Rudi, Howson odwrócił się w stronę łóżka. Jego nadzieje ziściły się. Rudi usiłował usiąść. Jego twarz promieniała.

Howson uspokajającym głosem przerwał gwałtowny potok podziękowań.

– Nie musisz mi dziękować – powiedział uśmiechając się znacząco. – Wiem, że jesteś zadowolony! Popełniłeś głupstwo poddając się, gdy sukces był w zasięgu ręki.

– Ależ skąd! – zaprotestował Rudi. – Gdyby nie ty... i Clara, oczywiście... Ale... ale, co to, do licha za sukces, skoro jestem zdany na twoją pomoc?

– Na moją pomoc? – Howson był szczerze zdumiony. – Aha, ty chyba podejrzewasz, że przekazywałem twoje wyobrażenia Clarze! – wyjaśnił w kilku słowach sytuację. Na twarzy Rudiego odmalowała się wyraźna lecz chwilowa ulga, po chwili zwrócił się też do Clary:

– Claro, a co ty o tym sądzisz? Nie będziesz przecież chciała w nieskończoność występować w roli mojego interpretatora!

– Przez jakiś czas mogę nim być – powiedziała nieśmiało. – Ale to nie jest jedyny sposób, w jaki można to robić. Gerry mówi, że to, czego możemy dokonać we dwójkę, roznamiętni ludzi wystarczająco, żeby zrozumieli wreszcie, o co ci chodzi i żeby pozwolili ci pracować z orkiestrą. A obsługi tego urządzenia możesz się sam nauczyć. Jay tak je uprościł, że opanowanie gry zajęło mi zaledwie parę godzin. A w perspektywie...

lali się ostrożnie spoza żółtoczarnych tarcz, żeby zobaczyć co wpłynęło na zmianę zamiarów zbójców.

Odpowiedź szybko stała się oczywista. Niebo chmurzyło się gwałtownie i spadło już kilka kropli deszczu. Żaden ogień wystarczająco gwałtowny, żeby mógł wyrządzić szkodę bramie, nie przetrwałby ulewy, na którą się zanosiło.

Hao Sen patrzył spod zmrużonych powiek na bramę. Na pewno był tam... tak, rzeczywiście! Był tam czarownik Chu Lao odziany w ciemną opończę, która niemal zlewała się ze znajdującą się za nim kamienną ścianą. Patrzył na nadciągające chmury. Wzywał swoją magię na obronę miasta i na razie wydawało się, że uzyskał przewagę.

Na ustach Hao Sena pojawił się wilczy uśmiech i atakujący przystąpili do akcji.

Zerwano futra oraz krzykliwe zasłony z „wozu herszta" i okazało się, że zakrywają one tylko lekką, bambusową klatkę, w której było akurat tyle miejsca, żeby jeden człowiek mógł do niej wejść, odczekać chwilę, niby to rozmawiając z wodzem, odwrócić się i wyjść. Poza tym cały wóz był jedną wielką machiną zapalającą, pełną hubki, beczek smoły i oleju.

Teraz poganiano ze wszystkich sił jedyną nie wyprzężoną parę wołów. Przestraszone zwierzęta zaryczały i naparły na uprząż. Wóz ruszył z miejsca. Gdy przejechał już dziesięć jardów, doskoczyli doń ludzie z mieczami i odcięli woły. Pojazd dalej potoczył się sam po pochyłości, z turkotem drewnianych kół zbliżając się ku bramie.

Hao Sen czekał w napięciu. Obrońcy widząc, co się święci, usiłowali w panice opuścić stanowiska nad bramą.

Jeszcze dziesięć jardów...

W ślad za wozem poszybowały ze świstem płonące strzały – druga i trzecia spadły prosto na nasycone olejem szmaty ułożone za łatwopalnym stosem i na dwadzieścia stóp w górę buchnęły płomienie uwieńczone czarnymi językami smolistego dymu. Wóz z trzaskiem pękających desek wyrżnął w bramę i od razu rozpętało się tam piekło.

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Czyżby Chu Lao dał się zaskoczyć?

★

Nawyraźniej nie, ponieważ zaledwie po kilku minutach z nieba lunęły potoki wody. Gdy dym i płomienie zniknęły, oczom oblegających ukazała się szeroka wyrwa w bramie. Na szczycie wzgórza przygotowywano już następny wóz zapalający, gdy nagle bramę otwarto i obrońcy miasta zaatakowali.

Tak nielogiczne działanie zaskoczyło Hao Sena. Najlepszą strategią Miasta Tygrysa było przetrzymanie pierwszego impetu napastników – tak przynajmniej sądził. Przez chwilę miał zamiar zmienić własne plany. Potem, widząc straż miejską – zarówno jazdę jak i piechotę – która wrzeszcząc i wywijając mieczami wylewała się przez bramę, zdał sobie sprawę, że nie ma czasu na zastanawianie się nad lepszymi wariantami działania.

Rozgorzała walka wręcz, stopniowo ogarniając przestrzeń wokoło całego miasta. Była to walka na śmierć i życie. W pewnej chwili Hao Sen dostrzegł wielką, jedwabną chorągiew wynoszoną przed bramę i zdał dowództwo młodszemu oficerowi, którego podejrzewał o to, że jest jednym z jego sobowtórów schizoidalnych. Na chorągwi widniał wyhaftowany tygrys, musiała więc należeć do Cesarza.

– *Nie! Chwileczkę!*

Nagły przebłysk intuicji, oślepiający jak błyskawica, rozjaśnił ponury nastrój ogarniający umysł Hao Sena. Chorągiew z tygrysem nie może być cesarska – symbolem cesarskim jest smok, najpotężniejsze ze wszystkich zwierząt. Tygrys więc był zarezerwowany dla Chu Lao, czarownika, ponieważ to było jego miasto – Miasto Tygrysa – i magia działała tu według sztywno ustalonych reguł, czego świadectwem było naprawienie miecza przez Chu Lao i słowa czarownika, że broń, która zabiła smoka jest warta zatrzymania.

Tygrys zaś był, po smoku, najsilniejszym zwierzęciem. Hao Sen ponaglał Gwiezdny Promień usiłując przebić się do miejsca, gdzie zatknięto chorągiew z tygrysem.

Wokół niej trwała zacięta walka, więc upłynęło sporo czasu, zanim zdołał się przedrzeć do miejsca, z którego mógł zobaczyć, czy Chu Lao wyszedł w pole, by obserwować przebieg bitwy. Trzy razy musiał przebić swą włócznią urojonego żołnierza i za trzecim razem wypadła mu z dłoni. Zaszokowany tym

zdarzeniem, świadczącym o tym, że jest bardziej zmęczony niż przypuszczał, opanował się i dobył miecz.

W tym samym momencie dostrzegł przy chorągwi czarownika. Tamtem też go zauważył. Strażnicy natychmiast uformowali szyk, żeby zagrodzić mu drogę. W nadziei, że uwaga Chu Lao jest rozproszona, przechylił się w siodle na bok, a Gwiezdny Promień stanął dęba wściekle wierzgając przednimi nogami.

Strażnicy rozpierzchli się na boki.

Wielbłądzica zapewniła jednak tylko chwilową przewagę. Orzymała cios mieczem przez przednie nogi w momencie, gdy dotykała nimi ziemi. Hao Sen, nie zwracając uwagi na rzeżenie konającego zwierzęcia rzucił się pieszo przed siebię, zataczając mieczem śmiercionośne kręgi. Dwa razy rozległ się zgrzyt ciosów ześlizgujących się po jego hełmie, dwa razy poczuł, jak ostrze jego miecza grzęźnie, a potem uwalnia się w sposób oznaczający, że przeszło na wylot przez czyjeś ciało. Przez jeden szalony moment obrąbane ramię zdawało się usiłować pochwycić go za brodę.

W chwilę potem przebił się przez pierścień broniących i znalazł się w kręgu zaczarowanej ziemi otaczającej czarownika.

– Chu Lao! – krzyknął. – Chu Lao!

Czarownik wpatrywał się weń pełnym zdumienia wzrokiem – zresztą nie było to tylko zdumienie. W jego oczach czaiło się... rozbawienie...

Hao Sen wrzeszczał.

– Chu Lao, wyzywam twoje miasto!

Na całym polu bitwy ludzie zdawali się tracić serce do walki. Jak gdyby wiedziony przeczuciem, Chu Lao zadrżał.

– To miasto jest Miastem Tygrysa! I tygrys jest twoim symbolem. Ale tygrys nie jest tak potężny jak smok!

Nie wiadomo jak to się stało, ale tam gdzie wyrastało miasto czaił się teraz do skoku zielonooki, pręgowany kot. Pomrukiwał z wściekłością, wysuwał pazury i był wielki ponad wszelkie wyobrażenie.

– Mój tygrys! – krzyknął Chu Lao. – Tak, to mój tygrys!

– A ten miecz pił smoczą krew! – krzyknął Hao Sen. – Ten miecz jest moim smokiem!

Zatoczył klingą koło nad głową i cisnął ją migoczącą w powietrze – wirując przeobrażała się, a kiedy spadła, była smokiem opartym na czterech gigantycznych, szponiastych łapach. Smok uniósł swój ozdobiony grzebieniem łeb i machnął monstrualnym ogonem. Jego otwarta paszcza wyryczała wyzwanie tygrysowi. Potem cofnął się. Machnął łapą i jego szpony wydarły krwawe pasma na skórze tygrysa. Ugryzł i rzeki krwi zbroczyły ziemię. Na próżno tygrys wczepił się pazurami w jego nieprzebijalne łuski. Nie miał najmniejszych szans. W parę chwil później runął na ziemię z głuchym tąpnięciem, które wstrząsnęło światem. Wszystko rozpadło się na kawałki, a razem ze wszystkim rozpadł się Hao Sen.

Przez chwilę widział jeszcze walczące armie, skrwawioną ziemię, poległych, konających, a potem...

*

A potem wszystko znikło i był znowu Howsonem, nie Hao Senem, pełnym nieokreślonego przerażenia sposobem, w jaki odniósł zwycięstwo.

XX

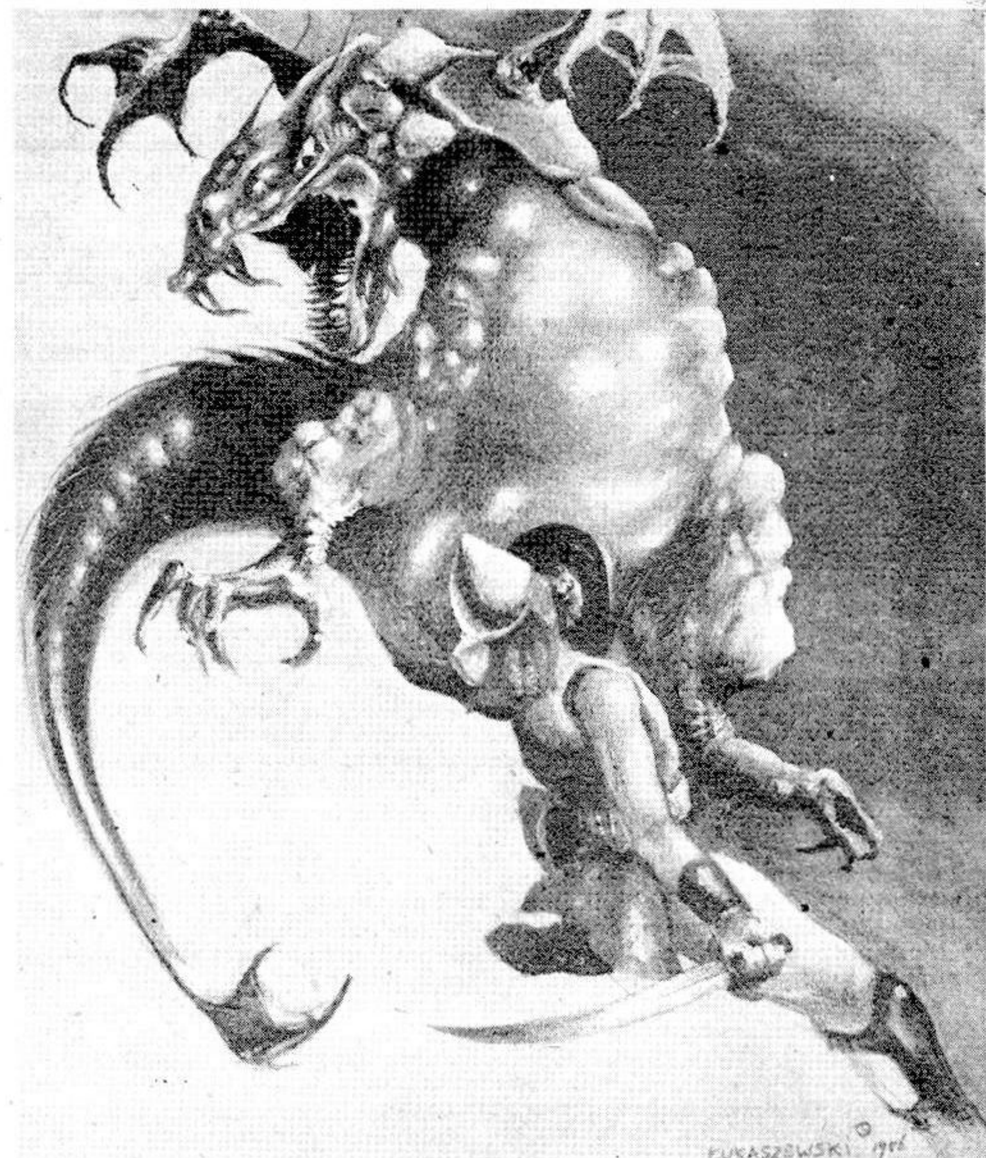
Howson stał w nogach łóżka, w którym na okres rekonwalescencji położono Choonga i czekał aż telepata się ocknie. Nie mógł odpędzić od siebie dręczących go myśli.

– Panna Moreno chyba wiedziała. W każdym razie wyjechała, zanim odpocząłem po tej wyczerpującej sesji... I Pan pewnie wie, ale po tylu latach współpracy mogę mu zaufać.

Ale Pandith Singh nie domyślał się nawet straszliwej prawdy, jaka dotarła do Howsona. Chodził promieniejąc ojcowską dumą i wszyscy pracownicy ONZ z Lockspeiserem i Ho na czele czuli się zawstydzeni, że początkowo wątpili w Howsona, Howson zaś odczuwał tylko tępy ból.

Jego tryumf okazał się pozorny. Cała sprawa została ustawiona dla niego jak kręgle, jemu zaś wręczono nieograniczoną liczbę kul.

A tutaj leżał ten, który tak z niego zadrwił – szczęśliwie żonaty i zdrowy psychicznie Choong. Cały



– To pomysłowe – powiedział Howson – ale zbyt ograniczone, jak na środek wyrazu dla naprawdę ambitnych zamierzeń. Czy mógłbyś poświęcić trochę czasu na dokonanie pewnych modyfikacji tego urządzenia?

Widząc wahanie na twarzy Jaya, ciągnął dalej.

– Słuchaj, to wyrwie cię z impasu w stosunkach z Rudim, podzielam twoje zdanie – ten chłopak da się

– Mniej więcej. On niezbyt ceni samego Jaya, a to niezupełnie to samo.
– Hmmm! – Howson potarł dłonią brodę. – Trudności, jakie napotyka ktoś, kto próbuje połączyć muzykę z wrażeniami wizualnymi polegają na tym, że aparatura jest droga, skomplikowana i przeważnie nie daje pożądanych wyników. Taki ktoś potrzebuje instrumentu tak prostego i uniwersalnego jak fortepian, łączącego w sobie cechy organów barwnych, z możliwościami oferowanymi przez nieograniczoną filmotekę.
Clara popatrzyła na niego zaintrygowana.
– Czy wiesz, że usłyszałam to, nieomal słowo w słowo od Charmy, kiedy stosunki między Jayem i Rudim źle się układały?
– Nic dziwnego. Są to prawdopodobnie słowa samego Rudiego. – Howson zapatrzył się przed siebie. – Claro, zadzwońmy do Horne'ów. Muszę dowiedzieć się paru rzeczy, zanim przystąpię do leczenia.

XXIX

Jay i Charma mieszkali w dwupokojowym mieszkaniu, na ostatnim piętrze starej kamienicy, niedaleko Alei Głównej. W powietrzu unosiły się chmury kurzu, ponieważ w okolicy prowadzono roboty rozbiórkowe.
Charma poczęstowała ich kawą, po czym Howson wyjaśnił, kim jest zastanawiając się przez cały czas, jaka będzie ich reakcja.
– A to ci heca! – powiedział Jay, kiedy Howson skończył. Jego jasnoniebieskie oczy zaokrągliły się ze zdumienia. – Zaskoczył mnie pan! Kiedy sobie pomyślę, gdzie byłby teraz biedny Rudi, gdyby nie pan! Dziękuję, doktorze Howson. Myślę, że wart był ocalenia. Ten chłopak da się lubić, co nie zmienia faktu, że czasami gra mi na nerwach.
– Proszę mówić mi Gerry – powiedział Howson. – Wpadłem, żeby zobaczyć nad czym pracowaliście z Rudim.
– Nie ma sprawy. Nie wydaje mi się, żebyśmy obaj byli uszczęśliwieni naszą współpracą, ale niech pan sam to oceni. Charma, kochanie, zrób miejsce na fortepianie i wyjmij to urządzenie, na które wczoraj patrzyliśmy. Ja wszystko powłączam.
Pod jedną ze ścian zagraconego pokoiku stał fortepian. Howson nie zauważył go do tej pory, bo instrument zawalony był różnego rodzaju sprzętem – elektrycznym, ale nie tylko. Kiedy Charma uprzątnęła to wszystko, zauważył, że nie jest to taki zwyczajny fortepian. Wyposażony był w dwie dodatkowe klawiatury – jedna sterowała symulatorem organów, druga zespołem krążków taśmy magnetofonowej, z których każdy posiadał własną głowicę odtwarzającą.
– To do efektów specjalnych – wyjaśniał Jay chodząc po pokoju i włączając przełączniki. Potem uniósł drewniane wieko dużego, szklanego pojemnika przypominającego akwarium, na dnie którego opalizowała słabo kałuża świecącego płynu. Wzdłuż wszystkich ścianek zbiornika biegły rzędy kolorowych reflektorów skierowanych w dół.
– Gasimy światło – powiedział Jay zajmując miejsce za konsoletą. Charma zaciągnęła zasłony i w pokoju zaległa ciemność. W blasku niesamowitej, zielonkawej poświaty wydzielanej przez świecącą ciecz, Howson widział jak Charma siada przy fortepianie.
– Patrzcie na zbiornik – powiedział Jay. – No, kochanie... Raz, dwa, trzy.
Kilka postępujących po sobie w nieregularnych odstępach pasaży po klawiaturze fortepianu, kończących się dźwiękiem dzwonków wywoływanych naciśnięciem jednego z klawiszy specjalnych i w szklanym zbiorniku zaczęły się wyłaniać wielobarwne twory o nieregularnych kształtach, reagujące niezdecydowanie i przypadkowo na muzykę. W przeciągu kilku sekund formy te nabrały bardziej zdecydowanych kształtów zmieniających się wraz z kolejnymi akordami.
Wpatrującemu się uważnie w zbiornik Howsonowi wydawało się, że dostrzega płytkie, zniekształcone podobieństwo do pewnych wyobrażeń widzianych w umyśle Rudiego, ale jakież było to ubogie w porównaniu z żywymi, daleko idącymi skojarzeniami, które tam spotkał.
Muzyka ucichła.
– Tyle osiągnęliśmy – powiedział bez entuzjazmu Jay. – Wpuść trochę światła, kochanie.
I gdy Charma rozsuwała zasłony, spojrzał na Howsona unosząc pytająco brew.

świat wydał się Howsonowi tak rażąco niesprawiedliwy, że nie wiedział jak długo zdoła go jeszcze znosić.
Choong poruszył się i Howson odniósł wrażenie, że w pokoju zapalono gigantyczny reflektor – wszystko nabrało wyraźniejszych, trójwymiarowych kształtów. To budziła się jego percepcja. Tylko inny telepata mógł zauważyć tę różnicę.
Choong otworzył oczy. Nastąpił moment dezorientacji, potem:
– *Ja chyba cię znam...?*
– Tak znamy się. Jestem Gerald Howson – celowo użył słów. Zamaskował w ten sposób przepełniającą go wściekłość. – Zrobiłeś ze mnie głupca, tak? Dobrze, chcę tylko wiedzieć, dlaczego?
Znowu zapadło milczenie, podczas którego Choong porządkował myśli z szybkością wprawiającą w podziw nawet gotującego się ze złości Howsona.
– A więc to ty zajmowałeś się moim... hmmm.... przypadkiem – powiedział Choong uśmiechając się z przymusem. – Przepraszam. Nie sądziłem, że trzeba będzie angażować właśnie ciebie. Należało powierzyć mnie zdolnemu nowicjuszowi. Wydawało mi się, że dałem jasno do zrozumienia, iż nie uciekam i dam się bez oporu sprowadzić z powrotem.
Howson zakrztusił się, próbując odpowiedzieć. Kiedy wreszcie dobył z siebie głos, był on tak przepełniony furią, że zamiast słów użył projekcji telepatycznej.
– *Jak mogłeś być tak nieodpowiedzialny i samolubny? Czy nic cię nie obchodzą zmartwienia i kłopoty, których stałeś się sprawcą? Czy cię nie obchodzi krzywda, którą wyrządziłeś mnie? A co z czasem, jaki dla ciebie straciłem? Z czasem, który mogłem poświęcić komuś znajdującemu się w rzeczywistej potrzebie?*
Choong wydał stłumiony okrzyk i przyłożył rękę do czoła. Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i zajrzała przez nie pielęgniarka, pytając, co się stało. Przychodząc do siebie Choong odprawił ją machnięciem ręki. Usłuchała zerkając podejrzliwie na Howsona.
– Ależ potęgą dysponujesz – wykrztusił Choong. – Czy nie sprawi ci różnicy, jeżeli będziemy rozmawiali normalnie? Po kuracji wstrząsowej, jaką mi ostatnio zaaplikowałeś, mój mózg jest... jakby to określić?... obolały.
Howson zachował ponure milczenie.
– Czy naprawdę nie zorientowaliście się, że nie będę stawiał oporu? – zapytał z naciskiem w głosie Choong. – Tak, widzę, że nie, aż do ostatniej chwili! Wybacz, że tak mówię, ale bawiło mnie to. Musiałeś być pewien, że jedyną przyczyną, dla której telepata zawiązuje grupę katapatyczną, jest ucieczka przed rzeczywistością. Nigdy nie pomyślałeś, że można wykorzystywać ten talent dla własnej przyjemności?
– Nie musisz mnie pocieszać – mruknął Howson. – Sam wiem, że bez twojej współpracy nigdy bym cię z tego nie wyciągnął.
– Nie, chyba mnie nie zrozumiałeś. – Choong uruchomił mechanizm unoszący podgłówek łóżka i uniósł się do pozycji, z której mógł lepiej widzieć Howsona. – Niech to diabli, Howson, nie możesz winić człowieka obdarzonego dobrymi warunkami fizycznymi za to, że bawi się w sport. Wydaje mi się jednak, że nie potrafisz dopuścić do siebie myśli o wykorzystywaniu telepatii dla własnej przyjemności. Dlaczego? Masz fantastyczny talent! I wcale nie jestem taki pewien, czy nie ściągnąłbyś mnie z powrotem wtedy, gdybym się opierał. Ten ostatni, zaskakujący pomysł był genialny. Czy nie czerpałeś nigdy przyjemności ze swego daru? Na przykład moja żona i ja nawiązujemy zwykle kontakt myślowy przed udaniem się na spoczynek. Śnię bardziej żywo niż ona i lubię, kiedy dzieli ze mną moje marzenia senne.
– Nie jestem żonaty – powiedział sztywno Howson. Choong wejrzał ukradkowo w odsłonięty przez chwilę jego umysł. Kiedy znowu się odezwał ton jego głosu uległ zmianie.
– Przepraszam, to było nietaktem z mojej strony. Ale...
– Ja... – Howson poczuł dziwny dreszcz zaintrygowania. Dlaczego ni z tego ni z owego miałby się tłumaczyć przed tym człowiekiem, który wpędził go w tak dziwny stan ducha? A jednak coś go do tego skłaniało. Z wahaniem ciągnął dalej. – Robiłem już to. Z pewną głuchoniemą dziewczyną.
– No więc właśnie! Zresztą musisz lubić swoją pracę. Chociażby dlatego, że dysponowanie mocnym,

prężnym charakterem zdolnym do wielkiego wysiłku fizycznego poprawia samopoczucie.

– Ja, ... tak, lubię swoją pracę. Czasami jednak boję się zajmować dłużej leczeniem, niż to konieczne, żeby nie przeciągać struny – Howson oblizał wargi.

– To brzmi niepokojąco – powiedział z namysłem Choong. – Wydaje mi się, że gdybyś pozwolił sobie na czerpanie większej przyjemności ze swego talentu, nie kusiłoby cię do ...ee... do zapożyczania wątków z fantazji innych ludzi.

– Co sugerujesz? – zapytał z naciskiem Howson. – Żebym sam zawiązał grupę katapatyczną. Gdzież bym śmiał? Nawet jeżeli zaakceptowałem twój obojętny stosunek do tego zjawiska! – *Vargas i kurz na jego powiekach...* Nie miałbym wielu powodów, które skłaniałyby mnie do powrotu do rzeczywistości, prawda? A kto sprowadziłby mnie z powrotem? Rozgryzłem wszystkie triki i słabe punkty. A poza tym co stałoby się z moją wiarą we własne siły, gdyby mimo wszystko komuś udało się ściągnąć mnie z powrotem?

Do pokoju znowu zajrzała pielęgniarka.

– Doktorze Howson, wiadomość od doktor van Osterbeck. Nie może pan niweczyć owoców swojej pracy, przemęczając doktora Choonga.

Howson wykonał nieokreślony gest i odwrócił się, żeby odejść. Choong zawołał za nim.

– To, że ucieczka od rzeczywistości, która odpowiada mnie, nie odpowiada tobie, Howson, nie oznacza jeszcze, że nie istnieje taki jej rodzaj, który byś zaakceptował. Jesteś jedyną w swoim rodzaju indywidualnością. Poszukaj na to swojej własnej recepty, ona musi istnieć!

★

Howson nie był całkowicie pewien, czy Choong wypowiedział te słowa na głos, czy też wtłoczył je w jego umysł telepatycznie z wprawą psychiatry pierwszej klasy zaszczepiającego pacjentowi sugestię. Pacjentowi... zabawne! Jeszcze kilka dni temu to Howson był tutaj lekarzem. Teraz role zdawały się odwrócić.

Z tym, że w rzeczywistości Choong nigdy nie był pacjentem Howsona w zwykłym znaczeniu tego słowa.

Howson polecił już osobistemu asystentowi spakować bagaże, ale stojąc teraz przed gabinetem Pandita Singha uświadomił sobie, iż się waha. Czy potrafi wyjaśnić, co czuje, czego chce? A szczerze mówiąc, czy sam wiedział czego chce?

Zebrał się na odwagę i wszedł. W porównaniu z dylematem, przed którym teraz stał, wszystko wydawało mu się mało znaczące.

Singh nie podniósł głowy znad piętrzącego się przed nim stosu papierów i tylko wskazał ręką fotel.

– Siadaj, Gerry. Zaraz skończę. Aaa... tutaj! – złożył zamaszysty podpis na pierwszym z wierzchu dokumencie i odłożył go na bok. Wyprostowując się w fotelu, powiedział:

– Zgadzam się z tobą, Gerry. Potrzebujesz odpoczynku.

Nie po raz pierwszy i nie po raz setny Howson stwierdził, że zaczyna poważnie podejrzewać, iż Singh posiada niewykształcony zmysł telepatyczny. Rumieniąc się powiedział:

– Co...?

– Och, Gerry, daj spokój! – Singh wybuchnął wesołym śmiechem. – Poinformowano mnie, że się pakujesz. Gdy to usłyszałem, obliczyłem sobie, że ostatni raz odpoczywałeś przed sześcioma laty. To częściowo moja wina, przywykłem zdawać się na ciebie. Ale po tym sukcesie z przypadkiem Choonga nie wyglądałeś nawet w przybliżeniu na tak zadowolonego, jak należało i stąd wydedukowałem, że jesteś już przemęczony. Rad jestem, że podzielasz moją opinię.

Howson milczał dłuższą chwilę, potem odezwał się.

– Pan, przykro mi, ale jesteś w błędzie.

– Ty chyba nie...? – w zaskoczonym umyśle Singha zrodziło się nagle podejrzenie, że Howson chce odejść na zawsze.

– Och, nie! – rozdrażniony Howson skasował to błędne przypuszczenie telepatycznym zabiegiem korekcyjnym i ciągnął głośno dalej:

– Przypadek Choonga nie zakończył się moim sukcesem, Pan. On chciał być sprowadzony z powro-

– Nic ci nie jest? – spytała z napięciem Clara zaglądając przez ramię pielęgniarki trzymającej mokry ręcznik. – Coś... coś cię przestraszyło...?

– Jak długo to trwało? – zapytał ochryple Howson.

– Prawie trzy godziny – odparła chirurg spoglądając na zegarek.

– Myślałem, że dłużej, ale dobrze zrobiłyście, budząc mnie. – Howson podniósł się niepewnie z krzesła i zrobił parę kroków, żeby zmniejszyć uczucie mrowienia w stopach. Spojrzał na Clarę.

– *Co z tego zrozumiałaś?*

– *Nie bardzo wiem... było w tym dużo strachu.*

– *Twojego* – Howson zmarszczył czoło. Coś nie dawało mu spokoju – coś, co na wpół wyczuł w chaosie wyobraźni Rudiego. Odezwał się głośno do lekarki.

– Dziękuję, że pozwoliła mi się pani z nim zobaczyć. Mam nadzieję, że go nie zmęczyłem. Czy byłaby pani tak dobra i sprawdziła teraz, jak to zniósł. Chciałbym wiedzieć, kiedy, według pani, będzie go można poddać pełnej terapii.

Lekarka zbadała Rudiego szybko i dokładnie.

– Puls w porządku, ciśnienie niezłe, oddech prawidłowy... – podniosła powiekę i zaświeciła latarką w źrenicę. – Tak, doktorze Howson, wygląda na to, że dobrze to zniósł. Będzie wystarczająco silny, żeby mógł się pan nim zająć za... – powiedzmy za tydzień, albo dziesięć dni.

Howson stłumił grymas niezadowolenia. Chciał wziąć się za bary z fascynującym umysłem Rudiego możliwie jak najprędzej. Jak wytrzyma przez cały tydzień po intrygującym rzucie oka na skarby kryjące się w tym umysłowym sezamie?

No cóż, trzeba będzie poczekać.

Znaleźli z Clarą restaurację w pobliżu szpitala i siedzieli długo nad posiłkiem i kilkoma filiżankami kawy. Howson porządkował swoje wspomnienia z umysłu Rudiego i przekazywał je, jasne i ułożone, do sprawdzenia Clarze. Ale przedłużający się wysiłek umysłowy zaczynał przytępiać jej percepcje, przeszli więc w końcu do słów.

– Biedny Rudi – powiedziała Clara mieszając w zamyśleniu pustkę w filiżance. – Nic dziwnego, że był tak sfrustrowany... Jak mógł mieć nadzieję, że nawiąże kontakt ze swoją widownią?

– Och, on zdaje sobie sprawę, że nikt nie będzie dzielił z nim do końca jego odczuć. W pewnym sensie jedyną i idealną dla niego widownią jest telepata. Ale byłby też usatysfakcjonowany, gdyby potrafił tworzyć obiektywnie zrozumiałe kopie swoich obrazów myślowych, do których widzowie mogliby dodawać własne skojarzenia. Nie może pogodzić się z faktem, że praktycznie nikt poza nim nie jest w stanie dokonać sztuki kojarzenia myślowego na tak wielką skalę i właściwie nikt nigdy nie rozumiał, o co mu właściwie chodzi.

– Dopiero ty? – zasugerowała Clara.

– Dopiero ja. Przełóżmy to na konkrety. Wspomniałaś o jego tarciach z władzami uniwersyteckimi. Przypuszczam, że pracował nad jakiegoś rodzaju eksperymentalną kompozycją, ale nie był to rodzaj muzyki, jakiego oczekiwały od niego władze. Mam rację?

Clara skinęła głową.

– W tym co tworzył, było coś niesamowitego! Ale z tym mogli się jeszcze pogodzić. Główną przyczyną zatargu stało się to, że Rudi zwerbował do pomocy Jaya Horne'a. Zaczął, jak powiedzieli, przeszkadzać Jayowi w jego własnej pracy, która jest daleko bardziej przystępna i ostrzegali go, żeby nie zawracał mu głowy. To dolało oliwy do ognia i doprowadziło do wstrzymania stypendium. Tak przynajmniej mówiła mi Charma. Znam ją dłużej niż Jaya.

– Rozumiem. A więc wszystko sprowadza się do jednego – Rudi opracowuje eksperymentalną kompozycję, której logika opiera się na jego własnych skojarzeniach, a nie na dźwiękach orkiestralnych. Byłby usatysfakcjonowany, gdyby choć część słuchaczy, choć trochę zrozumiała jego dzieło. Jednak do widowni docierają tylko dźwięki, przez co cały cel kompozycji traci swój sens. Widząc to, rezygnuje ze wszystkich skojarzeń zmysłowych, jakich sam doświadcza i zwraca się o pomoc do Jaya, wychodząc z założenia, że lepiej wesprzeć swoją kompozycję prostymi obrazami złożonymi z barw i kształtów, niż w ogóle odłożyć ją do szuflady. Prawda? Niezbyt jasno rozumiem charakter pracy Jaya, ale Rudi dał mi do zrozumienia, że niezbyt sobie ceni jej wyniki.

przyczyny powierzchowne, takie jak chroniczny brak pieniedzy i skoncentrował się nad składnikiem, który w całej tej gorzkiej retrospekcji przyczyn, które skłoniły Rudiego do targnięcia się na swoje życie, grał rolę pierwszoplanową – do jego pracy.

XXVIII

– *Rudi!*

– *Tak?* – świadomy znak zapytania zmieszany ze zgodą i chęcią współpracy.

– *Opowiedz mi o swojej pracy.* – Howson przystąpił do wyszukiwania sensu i zaprowadzenia porządku w czymś, co nie było w pełni jasne nawet dla samego Rudiego.

Z leżącej u podstaw pasji tworzenia wyłaniały się, jedna po drugiej, przyczyny dla których pasja ta nie mogła znaleźć ujścia w pisarstwie, malarstwie, rzeźbie czy jakiejkolwiek innej dziedzinie sztuki, w której twórca jest odseparowany od swego audytorium. Rudiego nigdy nie zadowoliłoby stworzenie dzieła, który w całej tej gorzkiej retrospekcji przyczyn, które skłoniły Rudiego do targnięcia się na swoje życie. Podziw innych podsycał i odnawiał jego pasję twórczą, tak jak na grę aktora wpływa „dobra widownia", która powoduje, że wznosi się on wtedy na nowe wyżyny interpretacji.

Jednak sztuka aktorska również nie odpowiadała Rudiemu, bo była sztuką objaśniającą. Taki też był balet, taka była niemal każda inna dziedzina sztuki, w której artysta ma bezpośredni kontakt z widownią, tak upragniony przez Rudiego.

Najbardziej pociągała go muzyka. I...

I Howson odniósł nagle wrażenie, że znajduje się na szczycie oszałamiającej swą wielkością góry, z której spada i wali głową naprzód w ogromną, niezbadaną dżunglę przeplatających się wrażeń zmysłowych.

Umysł Rudiego Allefa odbiegał od przeciętności niemal tak samo daleko, jak umysł Howsona, tyle, że w inny sposób. Howson stykał się już z umysłami, którym dźwięki muzyczne kojarzyły się z kolorami lub obrazami – ale w porównaniu z tym, na co natrafił teraz, były to wszystko skojarzenia dziecinnie proste.

Jak pływak walczący z prądem wartkiej rzeki, Howson szukał rozpaczliwie jakiegoś punktu zaczepienia w tym ryczącym potoku skojarzeń. Pojawiły się obrazy: głos (aksamit) drapiące pazurki kotka (purpura) dojrzały owoc – syrena statku (mgła) stal (żółtawa szarość) chłód (niebezpieczeństwo) uczucie zagubienia i pustki – akord C-dur wydobyty z fortepianu (dzieciństwo) drzewo (czerń i biel przetykane jasnym złotem) nienawiść (coś płonącego) ucisk w skroniach (wstyd) sztywność w nadgarstkach (płynność) okrągłość...

Nie było temu końca. Howson cofnął się nieco i spróbował jeszcze raz.

*

Szedł przez las paproci wysokich na sto stóp, wśród których pasły się gigantyczne zwierzęta. Był tak zmęczony, jakby miał za sobą długą drogę, a z nieba lał się żar. Przybył nad brzeg błękitnej rzeki i stał się lodową krą kołysaną łagodnymi falami, stapiającą się powoli z otaczającą ją wodą. Był wodą spadającą w przepaść, ból uderzeń o skały w tym długim spadaniu był w jakiś sposób satysfakcjonujący i wywoływał uczucie spełnienia, bo znowu stał na twardym gruncie, obserwując siebie samego spadającego w dół pod postacią wody i rozpryskującego się w białą mgiełkę, ale twardy grunt zaczynał się kruszyć, gdyż woda podmywała skałę od dołu i rozpryskujące się kropelki mieszały się z bezmiarem i czernią, a dużo niżej uczucie ciepła i czerwieni, niewidzialnych, ale wyczuwalnych (podczerwieni?) jak gdyby on sam był pozbawionym powietrza światem o czerwonym słońcu, pełzającym nad horyzontem, żeby po chwili przeistoczyć się w coś płochliwego, czworonożnego, zagubionego w bezkresnej, czarnej równinie, której średnica wynosiła zaledwie kilka stóp i wokół której giganci, obojętni na wszystko, krzątali się wokół własnych spraw z basowym stąpaniem i basowymi głosami...

Howson uświadomił sobie teraz, że przez cały czas słucha orkiestry.

Czuł się już bardzo zmęczony. Ktoś klepał go delikatnie po policzkach ręcznikiem zwilżonym w lodowatej wodzie.

Otworzył oczy i stwierdził, że wciąż siedzi na krześle obok łóżka Rudiego.

tem. Gdyby mi nie pomógł, albo przynajmniej nie udawał tylko, że się opiera, zostałbym pokonany.

– Gerry, ja nic z tego nie rozumiem!

– Nie? Ja z początku też nic nie rozumiałem – przyznał cierpko Howson. – A Pak chyba, ci nie powiedział, bo prosiłem go, żeby tego nie robił, dopóki sam nie oswoję się z tą myślą. Posłuchaj więc! Wszyscy telepaci, których wcześniej wyprowadzałem ze świata marzeń, byli osobowościami nieadekwatnymi, za jakie ich zresztą uważaliśmy, załamani przez problemy, z jakimi stykali się w świecie rzeczywistym. Z nimi potrafiłem sobie poradzić. Choong, w pełni panujący nad swymi zdolnościami w wymyślonym przez siebie świecie i działający pod wpływem chwilowego kaprysu, mógł mnie zniszczyć jak natrętną muchę.

Nie uczynił tego. Zachował tyle zdrowego rozsądku, żeby rozumieć potrzebę wprowadzenia pewnego zabezpieczenia przed zbytnią fascynacją swoją władzą absolutną, a zabezpieczeniem tym miała być pomoc udzielona temu, kto po niego przyjdzie. Ustanowił więc zestaw łatwych do odgadnięcia reguł. Zaskoczyłem go, kiedy odkryłem to nagle podczas ostatniego spotkania i... no nic, nie wnikajmy w szczegóły. Wystarczy powiedzieć, że było to jedyne posunięcie, z jakiego jestem zadowolony, ale nie czerpię z tego satysfakcji, ponieważ było ono wynikiem chwilowego natchnienia, nie zaś planowania i przewidywania. Pan, on zachwiał moją pewność siebie! Muszę się przyznać do czegoś, co ukrywałem przed tobą od lat. Zazdroszczę ludziom, którzy potrafią uciec od rzeczywistości! Dlaczegóż sam nie miałbym tak postąpić? Spójrz na mnie! Ta zazdrość mnie przeraża. Nie znam nikogo, kto zdołałby mnie wyrwać z mego urojonego świata! O ile nie wezmę się w garść, jestem skłonny wejść w świat któregoś z pacjentów i tak dobrze się tam poczuć, by już nigdy z niego nie chcieć wrócić. Nie mam odwagi zrobić tego w ten sposób, w jaki zrobił to Choong. Ale mogę też nie znaleźć w sobie dość silnej woli, aby dobrowolnie przerwać wycieczkę w jakąś szczególnie atrakcyjną fantazję.

Singh spuścił wzrok i wpatrywał się w blat swego biurka. Po chwili odezwał się.

– O ile dobrze zrozumiałem, zastanawiasz się, jak sobie pomóc?

– Ja... ja nie jestem pewien – na twarz i dłonie Howsona wystąpiły kropelki potu. – Na razie postanowiłem na jakiś czas wyjechać. Sam. Nie z kimś, kto zająłby się mną, gdybym się przypadkowo skaleczył, albo obronił, gdyby przedrzeźniały mnie dzieci, jak zwykłem podróżować w pierwszych latach pobytu tutaj, ale sam. Być może nie mogę uprawiać wspinaczki w górach Kaukazu, być może nie mogę uprawiać surfingu na Bondi Beach, ale... do cholery, Pan, lepiej czy gorzej dawałem sobie radę przez dwadzieścia lat, zanim mnie znaleziono i sprowadzono tutaj. Jeżeli potrafię przypomnieć sobie, jak to robiłem, być może trafię na trop odpowiedzi na moje problemy.

– Rozumiem – Singh obracał pióro w swoich krótkich, zwinnych palcach. – Nie zamierzasz chyba popełniać takiego głupstwa, jak odstawienie protrombiny?

– Skąd! Niezależność ma swoje granice. Ale uzależnienie też je ma. Chcę, na swój użytek, ustalić jakiś kompromis między nimi i to wszystko.

– Jakie są więc twoje plany na teraz?

– Wezwę taksówkę, pojadę na lotnisko i wsiądę do jakiegoś samolotu. Wrócę za... chyba za parę miesięcy. Dopilnujesz, żebym otrzymał pieniądze?

– Oczywiście.

– No więc... – Howson nie mógł znaleźć odpowiednich słów. – No dobrze, to by było wszystko, prawda?

– Chyba tak – Singh wstał i obszedł biurko wyciągając rękę. – Powodzenia, Gerry. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

I nagle nie patrzył już na Howsona. Stał przed mężczyzną o oliwkowej cerze i obfitej, czarnej brodzie, wyższym od niego, odzianym w osobliwy, barbarzyński strój sporządzony głównie ze skóry nabijanej ćwiekami z pośniedziałego brązu. U pasa zwisał mu ogromny miecz. Był muskularny i przystojny, tryskał zdrowiem i zadowoleniem.

Obcy zaczął się zmieniać. Topniał w oczach, kurczył się i w końcu znowu miał pięć stóp wzrostu, stracił brodę i zdeformował się nieco – znowu stał się Geraldem Howsonem.

– O to mi właśnie chodzi – powiedział Gerald cienkim głosem. – Nie przyniosłoby mi to nic dobrego. Do widzenia, Pan. I dziękuję.

XXI

Na lotnisku zasięgnął informacji o lotach do miasta, w którym się urodził. Wspomnienie, że tam był kiedyś jego dom, napełniło go dziwnym uczuciem. Dom! Ile to czasu już upłynęło do chwili, kiedy ostatni raz pomyślał o nim? Przez wiele lat słowo „dom" oznaczało jego apartament w centrum terapeutycznym ze wszytkimi znajdującymi się tam urządzeniami przystosowanymi specjalnie do jego potrzeb, włącznie z wyposażeniem łazienki – tak, że normalnej wielkości fotel, przeznaczony dla gości, wydawał się nie pasować do reszty.

Jednak jakaś jego cząstka nigdy nie pogodziła się z takim przesunięciem perspektywy. Może ta podróż miała na celu odnalezienie tego, co zostawił za sobą?

Czy ludzie będą go pamiętali i poznawali? Nie zmienił się zbytnio, ale był teraz dobrze ubrany, a nie obszarpany jak wtedy, dobrze odżywiony, a nie wygłodzony i wychudzony. Być może była to wystarczająca zmiana, żeby dawni znajomi musieli wysilać pamięć w poszukiwaniu na wpół zatartych wspomnień.

Gdy taksówka toczyła się znajomymi ulicami w kierunku dzielnicy, w której spędził większą część dzieciństwa, zaczęło go opanowywać dziwne, uderzające do głowy podniecenie. Wiedziony nagłym impulsem, kazał taksówkarzowi zatrzymać się i wysiadł. Większość walizek zostawił w przechowalni bagażu na lotnisku, zatrzymując przy sobie tylko lekki neseser, który mógł bez trudu unieść. Zapragnął przebyć ten etap podróży powoli, piechotą, aby napływ starych skojarzeń miał czas wniknąć w jego umysł.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, było zniknięcie jego starego domu.

Stał na rogu ulicy i patrzył na niebotyczny blok mieszkalny, który zajął miejsce obdrapanej kamienicy. Mijający go przechodnie byli tacy jak niegdyś, ulicą przejeżdżały takie same autobusy i takie same stare samochody, ale kamienicy nie było.

Nagły przypływ nostalgii zaskoczył go. Nigdy się nie spodziewał, że może żałować zniknięcia miejsca, w którym zaznał tak mało dobrego. Przełożył neseser do drugiej ręki i pokuśtykał dalej. Po chwili uświadomił sobie, że ludzie oglądają się za nim, jakiś malec wykrzyknął pod jego adresem przezwisko i wybuchnął śmiechem. Wiedział teraz, dlaczego ludzie tak postępują i nie czuł do chłopca urazy.

O ile nie zawodziła go pamięć, dwa czy trzy bloki dalej na północ, mieścił się bar, w którym pracował jako pomywacz podczas choroby matki. Żeby tam dotrzeć, trzeba było przejść obok szkoły, do której uczęszczał. Skręcił w tym kierunku i idąc, czynił w myśli porównania.

Atmosfera była inna od tej, którą pamiętał z dawnych lat. Czuł coś, co można było nazwać spokojem kontrastującym z do przesady nowoczesnym Ułan Bator, pełnym obcych ze wszystkich stron świata. Może był to ostateczny wynik kryzysu, w którego cieniu się urodził? Najbliższe określenie, jakie udawało mu się znaleźć, by nazwać te odczucia brzmiało „ustatkowanie się". Nie dostrzegł jednak wyraźnych oznak żalu za przeszłością.

Doszedł do wniosku, że ta atmosfera odpowiada mu i zaczynał już żałować, iż nie wrócił tu wcześniej.

*

Bar był tam gdzie niegdyś, ale zmienił się jego wystrój i rozkład pomieszczeń. Sprawiał wrażenie lepiej prosperującego niż dawniej. Przy kontuarze stały wysokie stołki, ale Howson podszedł do stolika, co wywołało grymas niezadowolenia na twarzy próżnującego barmana, doszedł jednak do wniosku, że wspięcie się na stołek może przekraczać jego możliwości.

– Co ma być? – zawołał barman zza kontuaru.

Howson był głodny po podróży.

– Mały stek, frytki i puszka piwa – odparł.

Oczekując na przybycie z kuchni zamówionego dania, barman przyglądał się z zaciekawieniem gościowi. Howson wiedział, dlaczego, ale czekał, aż tamten sam go zapyta.

– Masz, mały – powiedział dość przyjaźnie młodzieniec stawiając przed Howsonem talerz i szklankę. – Ej... zdaje się, że już cię gdzieś widziałem... dawno temu. Czy się mylę?

Pielęgniarka rozsunęła parawan, przepuściła gości i zasunęła go z powrotem. Obok łóżka stało krzesło przygotowane dla Howsona. Wspiął się na nie niezgrabnie, bo miało normalne wymiary i wejrzał w umysł Rudiego.

Jednocześnie zapytał głośno lekarkę:

– W jakim stanie się znajdował, gdy go pani operowała?

– W bardzo złym – odparła mniej więcej czterdziestoletnia kobieta chirurg. – Zmarłby, gdyby nie pierwsza pomoc, której mu państwo udzielili. Dobrze też się stało, że pan tam był, doktorze Howson – chociaż nie wiedziałam, że teleterapeuci przechodzą pełne przeszkolenie medyczne.

– Nigdy nie przechodziłem takiego przeszkolenia – odparł Howson i powtórzył – Nigdy dotąd nie zabandażowałem nawet palca.

Gdy znaczenie tych słów dotarło do jej świadomości, poczuł jak wzbiera w niej niechęć. *Ten mały kuternoga nie tylko posiada niezwykłą moc. Może wykonywać za mnie moją pracę bez przygotowania, bez trudu i chwalić się swym sukcesem...*

– To niezbyt uczciwa myśl – rzekł łagodnie Howson. – Przykro mi, ale to nie tak.

Clara, która ze zdziwieniem przysłuchiwała się rozmowie, wtrąciła niespodziewanie. – Szkoda, że pani nie widziała, ile go to kosztowało! Ten ból, który musiał...

Clara! Proste, myślowe ostrzeżenie, przerwało jej gwałtowną replikę.

– W porządku – powiedział głośno. – Czy mogę teraz prosić o ciszę?

*

– Rudi...

Postać w łóżku poruszyła się nieznacznie. Była to jedyna reakcja. Ale w umyśle tworzyła się odpowiedź.

– Czego chcesz? Czego się wtrącasz ty sukinsynu?

– Ocaliłem ci życie, Rudi.

– Po co? Żebym teraz tak cierpiał? Skazałeś mnie na ten ból wtrącając się i powstrzymując mnie od tego, co chciałem zrobić.

Howson wziął głęboki oddech.

– Wiem, Rudi. Pamiętaj o tym, że czuję ten ból tak samo dotkliwie, jak ty. Jestem w pełni świadom, na co cię naraziłem. Teraz muszę ci to wynagrodzić. Mogę ci dać uczucie szczęścia, satysfakcji, cokolwiek zechcesz. Miałbym wyrzuty sumienia, gdybym tego nie zrobił.

Zaangażował w to całą siłę swego umysłu. Za zwerbalizowaną projekcją, gładko, automatycznie, przemycił Howson odbicie cierpienia Rudiego przefiltrowane przez własny umysł, naznaczone jego własną osobowością.

Zatliła się słaba iskierka niedowierzania.

– Ale przecież ty mnie właściwie nie znasz. Jesteśmy obcymi ludźmi i jeszcze dzisiaj mogą nas rozdzielić tysiące mil.

– Dla nas nie ma ludzi obcych.

*

Rudi zamrugał powiekami, otworzył oczy i ujrzał nad sobą bezmyślną twarz, pod maską której skrywał się przenikliwy umysł.

– Dlaczego to zrobiłeś, Rudi?

Obraz złożony z braku satysfakcji z pracy, jaką przyszło mu wykonywać, z przyjęcia z jakim się spotykała, z niemożliwości wytłumaczenia ludziom, co właściwie robi. Plus kłopoty finansowe związane ze wstrzymaniem stypendium i osobiste problemy emocjonalne. A jego zgubę przypieczętowała maska, którą przywdział, żeby zabezpieczyć się przed dociekliwością świata. Ludzie, którzy nie potrafili jej przeniknąć, a więc nie mieli pojęcia o wirze rozpaczy szalejącym w jego mózgu, byli nietaktowni, niedelikatni i nie zdając sobie z tego sprawy rozdrapywali wciąż na nowo stare rany.

Nadszedł w końcu moment, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo pragnie zapomnienia i wtedy chwycił za nóż.

Ale Howson potrafił zajrzeć pod tę maskę, a zatem unikał nietaktu i niedelikatności. Rozumiał rozterki Rudiego i potrafił mu pomóc, doradzić. Niecierpliwym, myślowym gestem odrzucił od razu wszystkie

YANS – WIĘZIEŃ WIECZNOŚCI (9)

ROSIŃSKI ● DUCHATEAU














SZYBCIEJ! NADLATUJĄ!


TU JUŻ NIE BĘDĄ NAS ŚCIGAĆ... BOJĄ SIĘ BAGIENNYCH PUŁAPEK...


TA LIANA... ZERWAŁEM JĄ Z DRZEWA... KAŻDY Z NAS CHWYCI MOCNO SWOJĄ TOWARZYSZKĘ A MY DWAJ PRZYWIĄŻMY SIĘ, KAŻDY DO JEDNEGO KOŃCA LIANY!
ZGODA!

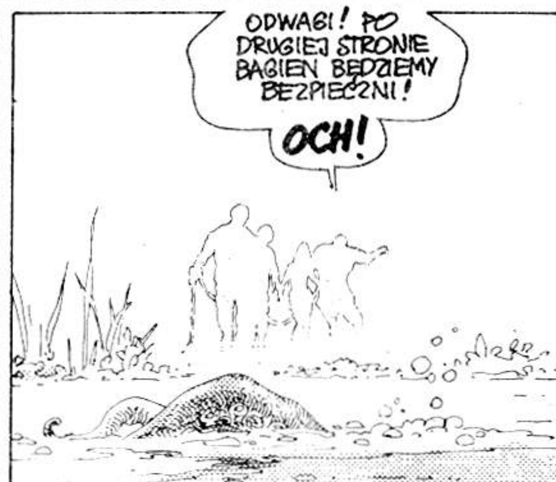











ODWAGI! PO DRUGIEJ STRONIE BAGIEN BĘDZIEMY BEZPIECZNI!
OCH!

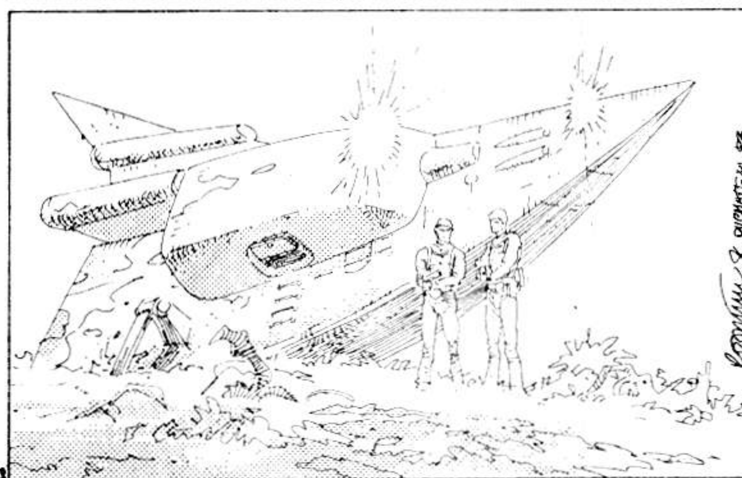





DZIĘKUJĘ.




MGŁA POWOLI USTĘPUJE. NIEDŁUGO BĘDZIEMY...
OCH, PATRZCIE, TAM SIĘ COŚ BŁYSZCZY!


DUCHATEAU 83


LUDZIE VALSARY'EGO! YANS! UCIEKAJMY!

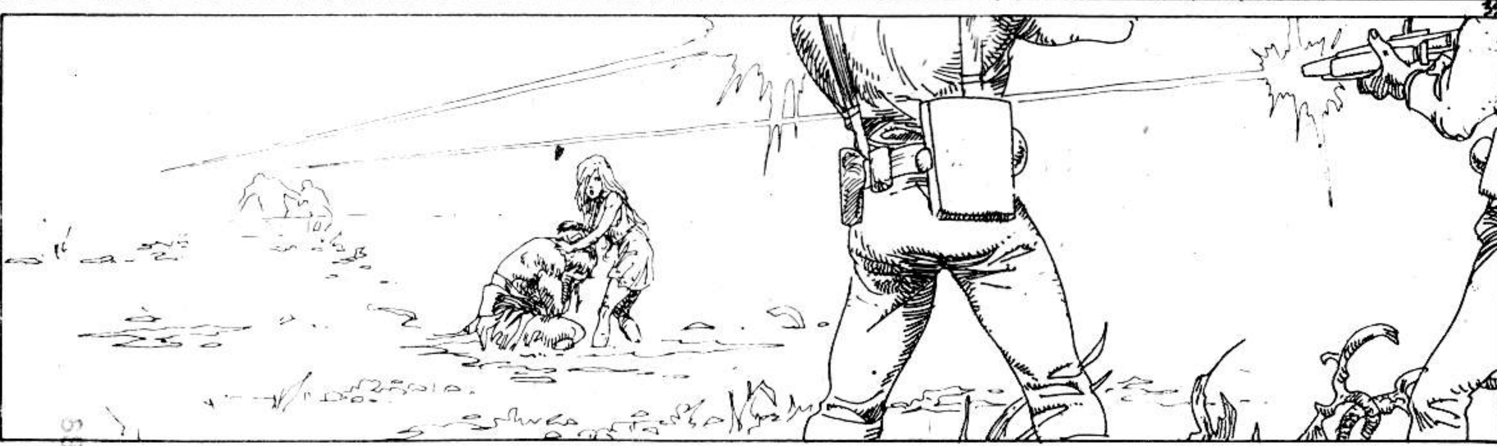

YANS, STÓJ! WYBACZ, ALE KAŻDY ŻYJE DLA SIEBIE! JEDYNĄ SZANSĄ DLA MNIE I KORDELII JEST WYDANIE WAS W ICH RĘCE!
NIE, RABNIX!


WIĘC TA LIANA BYŁA KAJDANAMI?
ŻAŁUJĘ, YANS! TO SĄ SILNI I POTĘŻNI WŁADCY! MY SIĘ NIE LICZYMY! NIC NIE ZNACZYMY! NIC!




HAAAAH!


SZYBKO! ORCHIDEO!



Większość recepcyjnych, których znam, pracuje w charakterze diagnostyków psychiatrycznych i obserwatorów terapeutycznych. Wielu zajmuje się odkrywaniem nowych talentów. Jeszcze inni specjalizują się w zażegnywaniu kryzysów politycznych. Jesteśmy na tyle unikalni, że mamy możliwość przebierania w rozmaitych ofertach.

Roześmiała się nerwowo.

– To zabawne słyszeć, jak mówisz „my" i wiedzieć, że masz również mnie na myśli. Wracając do tematu – to co mówisz, jest dość pocieszające.

– Nie mówię tego, żeby cię pocieszyć. Po prostu informuję cię o istniejących możliwościach wykorzystania twoich zdolności – Howson westchnął. – Nie zamierzam jednak twierdzić, że telepata nie może mieć swoich własnych problemów. Jeżeli chodzi o mnie, to oczywiście miałaś wczoraj rację.

Wstała i zaczęła sprzątać po śniadaniu. Po dłuższym milczeniu powiedziała.

– Co z Rudim, Gerry? Czy zdołałeś stwierdzić, co go do tego skłoniło?

– Nie. Trzeba się nauczyć, by bez wyraźnej potrzeby nie naruszać prywatności czyjegoś umysłu. Trzeba, bo inaczej życie straciłoby cały swój urok. A zresztą, kiedy go ratowaliśmy, nie mogłem marnować na to czasu. Ty miałaś lepszą sposobność, żeby się tego dowiedzieć.

Uczyniła bezradny gest.

– Mogę tylko powiedzieć, że... że, żył w zakłamaniu – to może brzmi górnolotnie, ale dokładnie oddaje sytuację. Nawet dobrze mu to wychodziło, ale... – zakończyła to zdanie machnięciem ręki. – Gerry, a właściwie co ty tutaj robisz? Jesteś przecież z Ułan Bator, prawda?

– Tak, mieszkam tam teraz. Ale tu się urodziłem.

– Odwiedzasz starych znajomych?

– Dwoje już odwiedziłem. Skończyło się klęską. Nie, raczej szukam nowych, niż odwiedzam starych znajomych. To częściowo urlop, a częściowo podróż w pogoni za samookreśleniem... pewnego dnia zrozumiesz o co mi chodzi.

Zrozumiała aluzję.

– No a wracając do mnie, co teraz powinnam zrobić? – uśmiechnęła się blado.

– Oficjalnie, powinnaś wstąpić do lokalnego oddziału Światowej Organizacji Zdrowia i poddać się testom specjalistycznym. Potem wyślą cię do Ułan Bator, do Canberry, albo może do Hongkongu na specjalne przeszkolenie. Ale osobiście radziłbym ci poczekać jeszcze ze zgłoszeniem się i oswoić się z myślą o czekającej cię przyszłości. A teraz zrób coś dla mnie. Zejdź do telefonu i zadzwoń do szpitala, do którego zabrali Rudiego. Jest prawdopodobnie wciąż pod działaniem środków znieczulających. Spytaj, czy możemy... przepraszam... jesteś wolna dzisiaj przed południem?

Skinęła głową.

– Spytaj więc czy możemy, oczywiście, jeżeli chcesz ze mną tam pójść, go odwiedzić. Powiedz im, że nazywam się Gerald Howson i jestem lekarzem z Ułan Bator. Nie powinni stawiać przeszkód.

– Po co więc uprzedzać ich telefonicznie?

– Chcę im dać czas na to, żeby uświadomili sobie, że jestem kulawym karłem, a nie jakimś tam supermanem – powiedział spokojnie. – Wtedy mniej boli.

Clara przygryzała wargę.

– To było nietaktowne z mojej strony – powiedziała.

– Tak – odparł Howson i wstał. – Pójdę się umyć, a ty tymczasem zadzwoń.

XXVII

Rudi Allef leżał w szpitalnym łóżku zaopatrzonym w rusztowanie, które podtrzymywało w górze kołdrę, żeby nie stykała się z brzuchem chorego. Odzyskał już przytomność, ale świadom był głównie bólu. Środki znieczulające, jakie mu zaaplikowano, zredukowały ból do poziomu porównywalnego z ćmieniem zęba i pozwoliły Rudiemu rozumować w miarę logicznie.

Kiedy przyszedł Howson, Rudi leżał nieruchomo z mocno zaciśniętymi powiekami.

Howsonowi towarzyszyły chirurg, która operowała Rudiego, pielęgniarka oddziałowa i oczywiście Clara. Weszli do sali. Wokół łóżka, na którym leżał Rudi z gumową rurką przymocowaną plastrem do ramienia, rozstawiony był parawan. Dobiegała końca transfuzja – ostatnia z mających uzupełnić utratę krwi.

Miał jakieś dwanaście lat, kiedy Howson wyjeżdżał, całkiem możliwie, że go pamięta.

– Mogłeś już mnie kiedyś widzieć – przyznał ostrożnie Howson. – Czy ten lokal dalej prowadzi Charlie Birberger?

– Mhmmm. Znasz go?

– Znałem – Howson zawahał się. – Jeżeli jest na miejscu, to może miałby ochotę ze mną pogawędzić?

– Zapytam – powiedział uprzejmie barman.

Z zaplecza dobiegła go wymiana pokrzykiwań i po chwili sam Birberger, starszy, grubszy, ale pod innymi względami nie zmieniony, wszedł, mrugając powiekami, do sali. Dostrzegł Howsona i stanął jak wryty. W jego umyśle wirował kalejdoskop zdziwienia i zaskoczenia.

Szybko jednak przyszedł do siebie i kołyszącym krokiem ruszył przez salę. Na jego twarzy pojawił się jowialny uśmiech.

– Na Boga! Chłopak Sary Howson! No nie, po tym wszystkim, co o tobie usłyszeliśmy, nigdy bym się nie spodziewał, że cię tu kiedyś jeszcze zobaczę. Nieźle się urządziłeś, co?

– Nieźle – przyznał Howson. – Nie usiądzie pan?

– Co? A tak! – Birberger odsunął krzesło daleko od stolika i ostrożnie powierzył mu swoje cielsko. Oparł się obydwoma łokciami o blat i pochylił do przodu.

– Wiesz, czasami czytamy o tobie w gazetach. Musisz odwalać kawał dobrej roboty. Trzeba przyznać, że nigdy się nie spodziewałem, że zajdziesz tak wysoko! Eee... Sporo czasu upłynęło, odkąd wyjechałeś, co? Dziesięć lat!

– Jedenaście – sprostował spokojnie Howson.

– Aż tyle? No, no! – paplał dalej Birberger. W jego grzmiącym, głosie pojawiło się leciutkie drżenie i Howson ze zdumieniem zrozumiał nagle, że ten człowiek się go boi.

– Eeee... Masz tu jakiś interes do załatwienia? – sondował niezręcznie Birberger – czy po prostu chcesz odwiedzić stare śmiecie?

– Raczej odwiedzić starych przyjaciół – skorygował Howson.

Pociągnął łyk piwa.

– Pan jest pierwszy, kogo spotkałem po powrocie.

– Och, miło mi słyszeć, że zaliczasz mnie do starych przyjaciół – powiedział Birberger promieniejąc. – Wiesz, często wspominam czasy, kiedy pozwalałem ci tu pomagać. Pamiętam, że miałeś niezły apetyt, jak na... – może chciał powiedzieć „jak na karła", ale ugryzł się w język i dokończył zmieniając – ...eee... jak na młodego faceta.

Wyprostował się na krześle.

– A wiesz, przyjemnie sobie teraz pomyśleć, że od czasu do czasu mogłem ci podać pomocną dłoń. Z chorą matką i w ogóle...

Howson obserwował różowe filtry opadające na pamięć Birbergera. Stłumił uśmiech cisnący mu się na usta. Charlie Birberger był impulsywnym pracodawcą, z którym trudno było znaleźć wspólny język, lubiącym łajać bezlitośnie swoich pracowników – a szczególnie Gerry Howsona.

No nic, nieważne. Skinął głową, niby to przyznając mu rację i początkowy niepokój Birbergera zbladł jeszcze bardziej.

– Zaraz, zaraz, coś ci powiem! – wykrzyknął grubas. – Mam jeszcze wszystkie wycinki gazet z okresu, jak cię znaleźli. Zaraz ci je pokażę. Zaczekaj!

Dźwignął się z krzesła i zniknął na zapleczu. Po kilku minutach powrócił z zakurzonym albumem i siadając próbował bez powodzenia zdmuchnąć kurz pokrywający jego okładki.

– Zobacz! – powiedział otwierając album i obracając go tak, żeby Howson mógł sobie przeczytać znajdujące się w nim pożółkłe wycinki.

Howson odłożył nóż i widelec i z zaciekawieniem przerzucał kartki albumu. Nie wiedział, że odkrycie telepaty wywołało w mieście taką sensację. Znajdowały się tu artykuły z pierwszych stron ważniejszych gazet miejscowych, niektóre z fotografiami Danny Waldemara i innych pracowników ONZ biorących udział w akcji.

Doszedł do ostatniej strony i miał już oddać z podziękowaniem album, kiedy coś go zastanowiło.

Ostatni artykuł zdawał się nie mieć żadnego związku z resztą. Był to pojedynczy akapit informujący o ślubie panny Mary Hall z panem Stephenem Williamsem, opatrzony datą dwa lata późniejszą, niż cała reszta.

– A to – powiedział, wskazując wycinek palcem – czy to ma jakiś związek ze mną?

Birberger wyciągnął szyję, żeby lepiej przyjrzeć się artykułowi. Zmarszczył brwi.

– Zaraz, co u....? Jeżeli jest tu, to na pewno ma jakiś związek. Musi mieć coś wspólnego z... O Boże, tak, przypominam sobie! – spojrzał zdumiony na Howsona. – Nie znasz tego nazwiska? Myślałem, że kto jak kto, ale ty...!

Nic nie rozumiejąc, Howson również spojrzał na Birbergera. I nagle pojął.

Zamknął oczy. Cios był niemal fizycznie odczuwalny. Odezwał się matowym głosem.

– Nie, nie... nigdy nie znałem jej nazwiska. Była, widzi pan, głuchoniema, nie mogła mi więc go powiedzieć. A po odzyskaniu głosu i słuchu odwiedziła mnie tylko kilka razy.

– Nigdy do ciebie nie napisała? – Birberger przerzucał wstecz kartki albumu. – Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłeś? To naprawdę dziwne. O, mam tutaj. – „Samolotem z Ułan Bator przyleciała dzisiaj osiemnastoletnia Mary Hall, głuchoniema dziewczyna, zaprzyjaźniona z telepatą-nowicjuszem, Geraldem Howsonem. Reporterom oczekującym na lotnisku powiedziała, że operacja mająca na celu przywrócenie jej głosu i słuchu zakończyła się sukcesem i wszystko, czego teraz pragnie, to prowadzenie spokojnego, normalnego życia." Patrz!

Za pierwszym razem musiał przeoczyć tę wzmiankę. Tak sobie to tłumaczył, chociaż gazetowa fotografia była dość wyraźna. Stała na niej w drzwiach samolotu – elegancko ubrana, zadbana, z makijażem i modnie ułożonymi włosami, ale rozpoznawał w niej dziewczynę, którą znał.

– Czy jest jakiś sposób na zdobycie jej adresu? – zapytał mimowolnie.

– Przyniosę książkę telefoniczną – odpowiedział knajpiarz aż nazbyt ochoczo, jakby pragnął, żeby Howson już sobie poszedł.

Howson znalazł w książce telefonicznej kilku Williamsów, ale tylko jednego Stephena Williamsa. Spojrzał na adres.

– West Walnut – przeczytał. – Gdzie to jest?

– To nowa dzielnica. Powstała chyba już po twoim wyjeździe. Dojedziesz tam bezpośrednio dziewiętnastką – Birberger nie czynił już wysiłków, aby ukryć swe pragnienie ujrzenia wreszcie pleców nieoczekiwanego gościa.

Howson, przygnębiony, zastosował się do tego życzenia, zapłacił za posiłek oraz piwo i podniósł neseser. Birberger odprowadził go do drzwi i ściskając na pożegnanie dłoń Howsona potraktował go z taką ostrożnością, jakby miał do czynienia z czymś kruchym i unikalnym. A jego zaproszenie do ponownych odwiedzin zabrzmiało blado.

Wiedziony nagłym impulsem Howson zapytał go:

– Niech pan powie, panie Birberger, ale szczerze! Jak pan sobie wyobraża moją pracę?

Zaskoczony grubas improwizował.

– No więc, jesteś... jesteś kimś, kto zagląda w umysły wariatów i patrzy, co im jest. I leczy ich. Tak?

– Tak – odburknął trochę szorstko Howson. – Niech się pan jednak nie obawia, nie zaglądałem w pański umysł. Mimo wszystko nie jest pan wariatem, prawda?

Gdy Howson oddalał się utykając w kierunku przystanku autobusu linii dziewiętnaście, w głowie Birbergera kiełkowały wątpliwości.

*

Dziwne są reakcje ludzi przy zetknięciu z telepatą...

Howson zastanawiał się nad tym siedząc z przodu autobusu, na pojedynczym siedzeniu obok kierowcy. Nie rozważał tego problemu od lat. W centrum Światowej Organizacji Zdrowia był od niego izolowany, ponieważ telepaci stanowili tam całkowicie akceptowaną część regularnego personelu.

Od czasu do czasu, chociaż nie tak często, jak by tego pragnął, w centrum pojawiali się uczniowie, w których szkoleniu pomagał. Każdy z nich był jedyny w swoim rodzaju i w konsekwencji każdy inaczej reagował dowiadując się o swoim talencie. Niektórzy cieszyli się jak dzieci nowo znalezioną zabawką,

jego głowa spoczywała wygodnie na poduszce. Ale nie było to jego łóżko w Ułan Bator.

Otrząsnął się z resztek snu, przewrócił na bok i zobaczył owiniętą w pled Clare, drzemiącą w jednym ze stojących w pokoju foteli.

Wyczuła, że się obudził, zamrugała powiekami i otworzyła oczy. Przez parę chwil nie odzywała się, a potem na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Dobrze ci się spało? – spytała banalnie. – Tak twardo zasnąłeś, że nawet nie czułeś, jak kładę cię do łóżka.

– Co takiego?

– Czy spodziewałeś się, że położę cię na podłodze? – wstała, odwinęła się z koca i przeciągnęła, była ubrana tak samo jak podczas przyjęcia.

– Mogłem się przecież przespać na krześle!

– Och, nie wygłupiaj się! – powiedziała niemal ze złością. – Zasłużyłeś na łóżko bardziej niż ja. Zjesz coś?

Howson usiadł na łóżku. Stwierdził, że zdjęła mu buty i marynarkę, ale poza tym jest całkowicie ubrany, odrzucił więc kołdrę i spuścił nogi na podłogę.

– A wiesz, że chyba tak.

Przyniosła z kuchni płatki owsiane, kawę i otworzyła puszkę soku owocowego. Siedzieli na krawędzi nie posłanego łóżka trzymając tace na kolanach.

– Ciekawa jestem – odezwała się pierwsza Clara – jak ci się udało sprzedać wszystkim tę naiwną historyjkę o wypadku?

Howson odchrząknął.

– Jeżeli istnieje coś, co telepata projekcyjny na pewno potrafi, to jest to łganie. Potrafię bez wielkiego trudu wmówić przeciętnemu człowiekowi, że słońce wzeszło o północy. Powinienem właściwie zaszczepić tę samą wersję wypadków w umysłach twoich pozostałych gości, zamiast kazać im się wynosić. Wtedy nasze zeznania pokrywałyby się. Ale bałem się, że ich obecność będzie mnie rozpraszała... A zresztą, diabli z tym. Żaden z nich nie był właściwie naocznym świadkiem.

Odstawił na bok miseczkę, z której jadł.

– Już wcześniej powinienem był cię o to spytać. Jak się czujesz, wiedząc, że sama jesteś telepatką?

W zielonych oczach Clary pojawił się cień niezdecydowania.

– Mówiłeś poważnie? Wczoraj wieczorem po wyjściu policji, starałam się odczytać jakieś twoje myśli i nic się nie stało. Pomyślałam więc sobie, że oszukiwałeś mnie, żeby podnieść na duchu, czy coś w tym rodzaju – zakończyła niepewnie.

– Byłaś prawdopodobnie zbyt wyczerpana. Oczywiście, mówiłem poważnie. Powiedz mi, skąd wiedziałaś co zrobił Rudi?

– No... krzyknął!

– Nie wydał dźwięku. Mógłby być autentycznym samurajem. Gdyby krzyknął, wszyscy by go usłyszeli. O tym co się wydarzyło za zatrzaśniętymi drzwiami kuchni, wiedzieliśmy tylko ty i ja, a to znaczy, że jesteś telepatką recepcyjną. Już wcześniej to podejrzewałem – jestem zdumiony, że sama tego nie zauważyłaś.

Skończyła jeść i zapaliła papierosa.

– Och, to wszystko jest takie... niepokojące! Widzisz, zawsze uważałam telepatów za ludzi... spoza nawiasu.

– Bo takimi są – powiedział z cichą zawziętością Howson. – Co zamierzasz począć ze swoim talentem?

– Nie mam pojęcia – wyglądała na trochę przestraszoną. – Nie wiem nawet, jak to powiedzieć rodzinie?

– Takich problemów nie miałem – przyznał Howson. – Czy są skłonni do uprzedzeń?

– Nie wiem. Nie było jeszcze tego rodzaju sytuacji – jakaś myśl kazała jej zmarszczyć brwi. – Słuchaj, a co w ogóle robią telepaci recepcyjni? Czy nie są ograniczeni w wyborze pracy?

– W porównaniu z projekcyjnymi raczej są – przyznał Howson – ale każdy telepata jest osobą bardzo szczególną i zapotrzebowanie na ich usługi jest ogromne. Mogę wymienić ci kilka standardowych zajęć.

ZACZYNAMY!

I nie zwlekając, Howson sięgnął w umierający umysł Rudiego przejmując jednocześnie kontrolę nad rękami Clary.

Na początku opierała się, ale dzielnie starała się przezwyciężyć swój instynktowny opór i po upływie jednej minuty zdołał skłonić ją do odciągnięcia w tył ramion chłopca, żeby mogli widzieć dziurę w jego brzuchu.

Ten widok wstrząsnął nią tak bardzo, że Howson stracił na chwilę kontrolę nad nią. Poświęcił kilka cennych sekund na uspokojenie dziewczyny, po czym wrócił do badania obrazu ciała Rudiego. Tak wiele jego nerwów meldowało uszkodzenie i ból, że początkowo Howson nie mógł rozróżnić poszczególnych sygnałów. Zmniejszył swoją czułość, ale w wyniku tego obraz całości rozmazał się w niewyraźną plamę.

Usiadł na krześle, żeby się skoncentrować. Potem zaczął od początku.

Tym razem odniósł wrażenie, że nerwy meldują swą agonię bezpośrednio jemu, jakby to jego ciało leżało na podłodze rozprute i konające. Ale żaden z tych meldunków nie mógł dotrzeć do Clary, bo to uczyniłoby ją niezdolną do udzielenia mu pomocy. Musiał sam zaabsorbować ból i opanować go w sobie.

Teraz dobrze. Co najpierw? Zatamować krwotok, zanim zniknie całkowicie aktywność mózgu. Czym by tu...? Spinki? Spinki do włosów? Powinna mieć coś takiego.

Clara miała kilka w miseczce, która stała o stopę od jej ramienia. Pochwyciła je i zaczęła gorączkowo spinać otwarte końcówki głównych naczyń krwionośnych. Tempo zanikania pracy mózgu spadło i pozostało na stałym, słabym poziomie.

W porządku. Teraz wepchnąć wnętrzności z powrotem do jamy brzusznej.

Umazane we krwi dłonie Clary ujęły szaroniebieskie jelita i wsunęły je ostrożnie na miejsce. Wepchnęły potem oddarte krezki i rozmieściły z grubsza tam, gdzie powinny się znajdować. Z każdą zakończoną czynnością przychodziło zmniejszenie liczby bombardujących umysł Howsona meldunków o bólu i uszkodzeniach. Kiedy Clara uporała się z wkładaniem wnętrzności, mógł już otworzyć oczy. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że ma je zamknięte.

– Zwykłą nitkę i igłę. – Powiedział ochryple. Przyniosła je. Zostawiała krwawe odciski dłoni na stole, na klamce do drzwi, wszędzie. – Zaszyj ścianki żołądka – polecił i zrobiła to, niezdarnie z chirurgicznego punktu widzenia, ale wystarczająco dobrze. – Teraz skórę. Teraz umyj ręce, obmyj skórę, przebierz się w czyste ubranie...

Umysł Rudiego rozjarzył się niespodziewanie, odzyskując na chwilę świadomość. Howson zacisnął zęby i zepchnął jego jaźń z powrotem w stan omdlenia. Brutalny zabieg, ale osobowość Rudiego doznała już tylu upokorzeń, że jeszcze jedno nie robiło różnicy.

Liczyło się tylko to, że tlił się maleńki promyczek życia. Tak będzie już aż do transfuzji, wtedy będą mogli prawidłowo pousuwać uszkodzenia. Na razie Howson zrobił wszystko, co mógł – oddalił groźbę śmierci.

Trwało to dokładnie pięć minut.

Zaraz przyjedzie karetka i pojawi się policja z pytaniami. Nie mógł sobie przypomnieć, czy próba samobójstwa była nadal traktowana jako przestępstwo.

Powróciła Clara, która poszła odnieść na miejsce igłę, a teraz stała, wpatrując się tępo w wynik swojej pracy.

– Dlaczego chciał się zabić? – spytała na wpół ze złością i Howson potrząsnął głową. Czuł się tak zmęczony, jakby przebył pieszo tysiąc mil, ale nie chciał się poddać wyczerpaniu.

– On nie próbował się zabić – powiedział znużonym tonem. – To był wypadek. Doszło do niego w głupi sposób, ale nie miało cech próby samobójczej. Po prostu żart, który posunął się za daleko.

Zrozumiała do czego zmierza i pokiwała głową na znak, że nie musi tego bliżej wyjaśniać. Musiał to jednak wytłumaczyć, gdy zjawiła się policja, a po tym wszystkim był tak potwornie zmęczony, że siadł na pierwszym z brzegu krześle i zasnął.

★

Po przebudzeniu, przez dłuższy czas nie mógł się zorientować, gdzie jest. Leżał w pościeli na wznak, a

inni przypominali ludzi z nazistowskich Niemiec, którzy odkryli nagle, że w ich żyłach płynie żydowska krew i udają, że nic się nie stało.

Łatwiej było akceptować ten dar takim, jakim był on sam. Lata umiejętnie ukierunkowywanej propagandy przyniosły wreszcie jakiś efekt. Ale telepatów było tak niewielu, że z ledwością można ich było nazwać grupą mniejszościową i bardziej to niż urabianie opinii publicznej stanowiło o ich bezpieczeństwie – przynajmniej zdaniem Howsona. Tylko maleńki ułamek populacji stykał się z ludźmi obdarzonymi tym zmysłem, w rezultacie, chociaż wiele osób miało swoje własne opinie na ten temat („Nie wątpię, że wykonują pożyteczną pracę, ale nie chciałbym, żeby ktoś szperał w moim umyśle – to przecież karygodne pogwałcenie wolności osobistej!"), niewielu było takich, którzy wyrobili sobie trwały pogląd w tej sprawie.

– West Walnut, chłopcze! – zawołał do niego kierowca hamując. Starał się panować nad swym uprzedzeniem do ułomnego pasażera i za to Howson obdarzył go projekcją ciepłej fali wdzięczności. Rozjaśniła ona, jak paradny pokaz ogni sztucznych, umysł mężczyzny, który gwizdał wesoło odjeżdżając z przystanku.

Howson zaśmiał się gorzko. Byłoby wspaniale, gdyby zawsze przychodziło mu to z taką łatwością.

XXII

Nowe osiedle było czyste, przestronne, miłe dla oka i składało się z małych domków rozsianych pośród jasnozielonych trawników. Alejkami biegały ze śmiechem dzieci wracające ze szkoły. Pomyślał z bólem o ciasnych, szpetnych ulicach swojego dzieciństwa i stłumił bezsensowną zazdrość. Przyspieszając kroku, na ile to było możliwe, podążył w kierunku domu Williamsów.

Tak, to tu. Na skrzynce pocztowej widniało nazwisko: S. WILLIAMS. Wyciągnął rękę i nacisnął przycisk dzwonka.

Po chwili drzwi uchyliły się, ale przytrzymywał je łańcuch. Przez szparę wyjrzała dziewczynka. Miała mniej więcej osiem lat.

– Pan do kogo? – spytała trwożliwie.

– Czy zastałem panią Williams?

– Mamusi nie ma w domu – powiedziała dziewczynka swoim najbardziej dorosłym i poważnym głosem. – Strasznie mi przykro.

– Czy szybko wróci? Jestem jej znajomym z dawnych lat i chciałem...

– Kto przyszedł, Jill? – odezwał się ze środka chłopięcy głos.

– Jakiś pan do mamusi – wyjaśniła dziewczynka i tupot butów obwieścił, że jej brat zbiega po schodach. Po chwili, przez uchylone drzwi zerkała na gościa druga para oczu. Chłopiec był zaskoczony wyglądem Howsona i nie potrafił tego ukryć, ale był dobrze wychowany, bo otworzył drzwi szerzej i zaprosił Geralda, by wszedł i poczekał w środku.

– Mama wyszła do sąsiadki, pani Olling – powiedział. – Niedługo wróci.

Howson podziękował mu i utykając wszedł do pokoju. Zza pleców docierały doń odgłosy toczonej szeptem sprzeczki – Jill wyrzucała bratu, że nie powinien wpuszczać obcych do domu, on oponował pogardliwie, że Howson jest niższy od niego, a więc jak może być niebezpieczny.

Dzieci weszły za nim niepewnie do pokoju gościnnego i usiadły na sofie stojącej naprzeciwko fotela, który zajął. Nie wiedziały co powiedzieć, Howson zaś od wielu lat nie miał do czynienia z dziećmi. Czuł, że język ma niemal tak samo związany jak oni.

– Może wasza mama opowiadała wam o mnie? – zagaił. – Nazywam się Gerry, Gerry Howson. Przyjaźniliśmy się z waszą mamą, kiedy była... eee... zanim poznała waszego tatę. Ty jesteś Jill, tak? A..?

– Ja mam na imię Bobby – przedstawił się chłopiec. – Czy... czy pan mieszka gdzieś w okolicy, panie Howson?

– Nie, mieszkam w Ulan Bator. Jestem lekarzem i pracuję w wielkim szpitalu.

– Lekarzem! – nieufność Jill zaczęła topnieć. Podekscytowana, pochyliła się do przodu. – Oooch! Chcę zostać pielęgniarką, kiedy dorosnę.

– A ty, Bobby? Chciałbyś zostać lekarzem?

– Nie, to nie dla mnie – powiedział chłopiec z nutką lekceważenia. – Będę pilotem statku na Marsa, albo kapitanem łodzi podwodnej. – Potem zreflektował się i z powagą podpatrzoną u kogoś dorosłego, dodał. – Jestem jednak przekonany, że zawód lekarza jest bardzo interesujący.

– Panie Howson – wtrąciła się Jill. Na jej twarzyczce malowało się zaciekawienie. – Jeżeli jest pan lekarzem, to dlaczego ma pan chorą nogę? Nie może jej pan sobie wyleczyć?

– Jill! – krzyknął z oburzeniem Bobby. – Przecież wiesz, że nie wolno wygadywać takich rzeczy!

On staje się już dorosły, pomyślał z rozbawieniem Howson.

– Nic się nie stało – powiedział głośno. – Nie, Jill, nie mogę jej sobie wyleczyć. Taki już się urodziłem i teraz nie ma już na to rady. Poza tym, nie jestem takim zwyczajnym lekarzem. Ja... – przypomniał sob'e naiwny, niepewny opis jego pracy podany przez Birbergera i dokończył – Zaglądam w umysły ludzi chorych i patrzę, co im jest.

Dobre maniery Bobby'ego zniknęły pod wpływem zaskoczenia.

– Czy to znaczy, że jest pan lekarzem wariatów?

– Oj, oj, oj! – Howson uśmiechnął się lekko. – Nie wydaje mi się, żeby określenie „wariat" było zbyt uprzejme. Ludzie, którzy przychodzą do mojego szpitala są zupełnie tacy sami jak wszyscy. Potrzebują pomocy, bo życie stało się dla nich zbyt skomplikowane.

Dzieci nie kwestionowały tego, ale ich sceptycyzm był wyraźny. Howson westchnął.

– A może chcielibyście, żebym wam opowiedział o mojej pracy? – zasugerował. – Kiedyś opowiadałem waszej mamie różne historie i bardzo się jej podobały.

– Zależy, co to będzie za opowiadanie – powiedział ostrożnie Bobby. Jill, od chwili wyjścia na jaw rewelacji, że Howson jest „lekarzem wariatów", siedziała z szeroko otwartymi oczyma. Teraz odezwała się, żeby wesprzeć swego brata.

– Nie wydaje mi się, żeby podobały nam się opowiadania o wariatach – powiedziała z powątpiewaniem.

– Są bardzo ciekawe i podniecające – powiedział spokojnie Howson. – Moja praca jest naprawdę o wiele bardziej fascynująca niż praca kosmonauty, czy kapitana łodzi podwodnej. Bardzo ją lubię. – Zanim wypowiedział następne zdanie, znalazł jeszcze czas na uświadomienie sobie, jak prawdziwa jest ta deklaracja. – Przypuśćmy, że opowiem wam o pewnej osobie, która przyszła do mojego szpitala...

Ta metoda przypomniała mu się tak dokładnie, jakby stosował ją wczoraj, a nie przed jedenastu laty. Łagodnie zasugerował dzieciom, żeby zamknęły oczy, tak jak to robił dawno temu z głuchoniemą dziewczyną, której umysł był zamknięty na wszystko z wyjątkiem jasnych, prostych obrazów i bogatych wrażeń zmysłowych.

– *Najpierw...* – sala szpitalna: sprawność, zaufanie, życzliwość. Ładne pielęgniarki – Jill może stać się na chwilę jedną z nich – uspakajające pacjenta, na którego twarzy maluje się wdzięczność.

teraz... – wejrzenie w umysł pacjenta. Koszmar – ale nie koszmar z dziecięcych snów, który mógłby je zbytnio przerazić. Raczej koszmar dorosłego człowieka – zbyt złożony, aby rozpoznały jego naturę z powierzchownych obserwacji.

a potem... – ostre, dobrze zdefiniowane obrazy – pacjent biegnący korytarzami własnego umysłu, ścigany przez potwory zrodzone z jego własnej podświadomości. Biegnie po pomoc i nie znajduje jej, dopóki obecność lekarza nie zasugeruje mu bezpieczeństwa i komfortu. Wtedy nękające go lęki przyczajają się i zaopatrują w broń, którą może stworzyć tylko wyobraźnia. Pacjent z pomocą lekarza odstraszają te stwory, wypierają je, zapędzają w ślepy zaułek... i już ich nie ma.

Była to składanka z kilku przypadków, z jakimi miał do czynienia jako nowicjusz – prostych, dynamicznych i podniecających, ale niezbyt przerażających. Skończywszy, Howson przerwał kontakt i zasugerował dzieciom, żeby otworzyły oczy.

– O rany! – westchnął Bobby ze znacznie większym respektem. – Nie wiedziałem, że to jest tak!

Jill już miała potwierdzić jego opinię, kiedy spojrzawszy przez otwarte drzwi do przedpokoju zerwała się z sofy na równe nogi.

– Mamusia przyszła! – wykrzyknęła. – Mamusiu, ktoś do ciebie. Opowiada nam takie podniecające historie, jakie opowiadał tobie!

Mary Williams popchnęła drzwi otwierając je na całą szerokość i dostrzegła Howsona. Jej twarz –

Klnąc swoje oporne ciało, Howson dźwignął się na nogi. W drzwiach kuchni tłoczyło się już z pół tuzina wystraszonych ludzi. Gwar ich głosów zdradzał dezorientację, a umysły przesłaniała chmura szoku. To nie miało znaczenia. Howson wiedział doskonale, co się stało.

Ponad podniecony gwar wzbił się autorytatywny głos niedoszłego socjologa – Briana.

– Nie ruszać go! Dawać tu tego małego człowieka – to lekarz. I niech ktoś zadzwoni po karetkę. Clara, gdzie jest telefon?

– Na dole, na parterze – odparła dziewczyna drżącym, ale opanowanym głosem.

Tymczasem Howson wlókł się w kierunku kuchni. Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. *Tak, jestem lekarzem* – myślał. – *Znam się na urazach mózgu. Znam się na nieprzystosowaniu do życia w społeczeństwie i wewnętrznych psychozach. Ale na co się to, u diabła, przyda temu facetowi leżącemu na twardej kuchennej posadzce, z którego powoli uchodzi życie?*

Rozstąpili się, robiąc mu przejście i dopiero teraz ujrzał własnymi oczami to, co już było mu wiadome. Rudi fachowo popełnił harakiri (dlaczego? natrętny ślad wyjaśnienia unosił się tuż poza zasięgiem umysłu Howsona) posługując się w tym celu zwykłym rzeźnickim nożem z pobliskiej szuflady.

Teraz, kiedy stracił już przytomność, oślepiający sygnał bólu wysyłany przez jego mózg był dużo łatwiejszy do wytłumienia. Ale Howsonowi pozostawał jeszcze ból wywołany własną bezsilnością. Ci ludzie...ci ludzie! – u niego szukali rady i wskazówek...

Dobył z siebie głos.

– Czy ktoś wezwał karetkę?

Zapewnił go o tym chór potakujących głosów.

– Dobrze. Teraz wyjdźcie stąd i zamknijcie drzwi. Zachowujcie się jak najciszej, a jeszcze lepiej wynoście się do diabła z mieszkania...nie, policja może chcieć... a, diabli z policją! Idźcie do domu.

Clara chciała wyjść razem z innymi, ale Howson zmarszczył czoło i usłyszała go, chociaż nic nie powiedział. Trwożliwie zamknęła za sobą drzwi i podeszła do niego.

– Znasz się trochę na tym? – spytał ponuro.

– N...nie. Ale zrobię wszystko, co każesz. Czy jest jakaś nadzieja?

– Jeżeli nie zrobimy nic, żeby temu zapobiec, umrze za jakieś pięć minut – zaśmiał się bez wesołości Howson. – A najśmieszniejsze jest to, że ja nie jestem doktorem medycyny! Nigdy w życiu nie zabandażowałem nawet skaleczonego palca... nie licząc własnego.

XXVI

Pod koniec wiecznej ciszy, jaka zapanowała i trwała pełne trzy uderzenia serca, jego słowa dotarły wreszcie do jej świadomości i była zdolna do zareagowania. Pomyślała pełna rozpaczy: *O Boże – biedny, głupi Rudi!*

A głośno, bardziej gwałtownie powiedziała.

– To dlaczego mówiłeś, że jesteś lekarzem, skoro nim nie jesteś?

– Bo jestem, ale szczególnego rodzaju. A sprawy nie wyglądają jeszcze tak beznadziejnie, jak to sobie wyobrażasz. Czy wiesz, że jesteś telepatką recepcyjną?

– Czym? – ta informacja, która przyszła u szczytu szoku spowodowanego patrzeniem na Rudiego pławiącego się w kałuży własnej krwi i niestrawionych płynów, straciła cały swój sens. Howson wyczuł mur niezrozumienia i podświadomego oporu i przypuścił do niego szturm.

– Mówię, że możesz czytać ludzkie myśli. A tak się składa, że jestem lekarzem ze specjalnością teleterapeutyki. Zrozumiałaś? A więc posłuchaj. W tym pokoju jest tylko jedna osoba, która – być może – wie, czego potrzeba Rudiemu Allefowi, żeby powstrzymać jego agonię. Tą osobą jest sam Rudi Allef.

Usiłowała mu przerwać, ale nie zwracając na nią uwagi, ciągnął dalej, rezygnując ze słów, które ograniczały szybkość przekazu i tłocząc bezpośrednio do jej umysłu całe bloki stosownych pojęć.

Głęboko, w mózgu Rudiego, tak samo zresztą jak w mózgach wszystkich normalnych ludzi, znajduje się ośrodek nazywany obrazem ciała – jest w nim przechowywany główny plan służący ciału do przeprowadzania na sobie wszystkich głównych napraw. Dostanę się do niego. Będziesz musiała słuchać moich instrukcji i wykonywać je, bo moje dłonie są zbyt niezdarne i nie nadają się do delikatnej pracy. Staraj się teraz o niczym nie myśleć – zaczynamy.

– Ludzie tacy, jak obecny tu doktor Howson – perorował – są zawsze wyjątkami, gdziekolwiek chciałoby się ich zaszufladkować. Próba ich klasyfikacji przypomina przewidywanie kolejności rozpadu atomów podczas dezintegracji bryłki uranu. Wiadomo, że jeden z nich się rozerwie, ale nie wiadomo który. Wiemy też, że doktor Howson musi gdzieś pasować, ale nie możemy przewidzieć...

Brnął dalej w swe wywody, podczas gdy Howson uchwycił się jednego zdania i powtarzał je sobie w kółko:

Doktor Howson musi gdzieś pasować.

*

Było już późno gdy Clara znowu przysiadła się do niego. Gości ubyło. Niektórzy poszli już do domu, a pozostali postanowili najwidoczniej koczować na schodach.

– Och, ten Rudi! – zaczęła Clara tonem, w którym irytacja mieszała się z rezygnacją. – Siedzi przygnębiony w kuchni. Oczywiście nie widać tego po nim. Parodiuje zarozumiałych głupców z uczelni, a pół tuzina idiotów śmieje się z niego.

– Jeżeli twierdzi pani, że nie wygląda na przygnębionego, to skąd pani wie, że jest? – spytał otwarcie Howson. Potem przypomniał sobie, że istnieje taka możliwość i ugryzł się w język. – Przepraszam. Pewnie zna go pani bardzo dobrze.

– Jeżeli myśli pan, że jest moim... no dobrze, bądźmy kulturalni i powiedzmy „bliskim przyjacielem", to się pan myli – odparowała Clara zimnym, lekko karcącym tonem. – W gruncie rzeczy mało go znałam, właściwie z widzenia, dopóki niedawno nie wynikła ta sprawa ze wstrzymaniem mu stypendium.

Przerwała i wyglądała na zaintrygowaną.

– Może nie powinnam być tak...

Howson podzielał jej zaintrygowanie. Wiedział już to, na co Clarze otwierały się dopiero oczy. Chociaż nie wszystkie fakty tu pasowały, było to najbardziej oczywiste wyjaśnienie. A jeżeli się mylił, to co?

Z kuchni wyszedł Rudi w otoczeniu kilku osób śmiejących się serdecznie i poklepujących go po plecach. Howson przebiegł wzrokiem po tej śniadej, przystojnej twarzy. Nie, nie zdradzała przygnębienia, które widziała Clara.

Podczas gdy jego towarzysze zbierali się do wyjścia, redukując tym samym liczbę niedobitków przyjęcia do niecałego tuzina, Rudi łyknął sobie z piersiówki zdając się nie troszczyć o to, co zawiera i wszedł z powrotem do kuchni. Howson pomyślał, że pewnie wrócił tam po kogoś, kto jeszcze został. Rozejrzał się po pokoju starając się zignorować dziewczynę i mężczyznę, którzy w wyrażaniu wzajemnego zainteresowania sobą posunęli się daleko poza samą tylko konwersację.

– Jak już mówiłam – Clara zwróciła się do niego po odprowadzeniu gości do drzwi – robisz na mnie wrażenie człowieka z problemem. Tak, jestem tego pewna. Co gorsza, musiałam odrzucić wszystkie zwykłe, proste przyczyny, które mogłyby to spowodować. Nie możesz przecież być tak bardzo niepełnosprawny, skoro jesteś lekarzem. Mam rację?

Jej zielone oczy wpatrywały się weń badawczo. Howson, siląc się na niefrasobliwość, zapytał.

– Czy wszystkich swoich gości poddajesz drobiazgowemu śledztwu?

– Tylko niespodziewanych, którzy mnie intrygują – odpowiedziała nie dając się zbić z tropu. – Takich, na przykład, jak ty.

Howson na kilka sekund odłożył swoją odpowiedź. Uderzyła go pewna możliwość, która z pozoru wydawała mu się tak nieprawdopodobna, że dosłownie bał się ją sformułować, chociaż na własny użytek. Wciąż jeszcze ją rozważał, gdy nagle...

Wstrząs omal nie cisnął nim o podłogę. Jego natężenie oślepiło go całkowicie, szalał w jego czaszce jak pożar. Zanim jeszcze odzyskał pełną kontrolę nad swymi zmysłami, zdał sobie sprawę, że krzyczy:

– W kuchni! To Rudi!

Wszyscy obecni w pokoju odwrócili się, jak na komendę i spojrzeli na niego, a Howson uświadomił sobie, że zaległa martwa cisza.

Wszyscy obecni w pokoju, oprócz – teraz to do niego dotarło – Clary. Clara, biała na twarzy jak papier, otwierała już drzwi do kuchni. Nie mogłaby dopaść do nich tak szybko po jego ostrzegawczym okrzyku. Nie mogłaby. A to by znaczyło...

Krzyknęła.

raczej pospolita, taka jak ją pamiętał, ale wykazująca teraz więcej cech osobistych i umiejętnie umalowana – zastygła w zdumioną maskę. Ledwie rozchylając usta wykrztusiła:

– To miło z jego strony. Idźcie się teraz pobawić. Chcę porozmawiać z panem Howsonem na osobności.

Dzieci z ociąganiem podeszły do drzwi.

– Czy opowie nam pan kiedyś coś jeszcze? – rzuciła przez ramię Jill wychodząc z pokoju.

– Jeżeli chcecie – obiecał Howson uśmiechając się i kiedy dzieci wyszły dodał, zwracając się do Mary. – Masz dwójkę wspaniałych dzieciaków.

Puściła tę uwagę mimo uszu. Z wciąż lodowatą, pustą twarzą powiedziała:

– Tak, Gerry. A więc wróciłeś, żeby mnie dręczyć, tak?

Howson siedział przez kilka sekund jak oniemiały. Kiedy nie rozwijała dalej swojej zdumiewającej wypowiedzi, wstał.

– Wpadłem, żeby zobaczyć, jak ci się wiedzie – bąknął. – Jeżeli nazywasz to dręczeniem, pójdę sobie. Od razu!

Podniósł z podłogi neseser spodziewając się, że otworzy mu drzwi i z ulgą się go pozbędzie. Zamiast tego, wybuchnęła płaczem.

– Mary – wykrzyknął i uświadamiając sobie coś nagle, dodał szybko. – Popatrz, po raz pierwszy zwróciłem się do ciebie po imieniu. A przecież nieźle się znamy, prawda?

Opanowała szloch i gestem poprosiła go, żeby z powrotem usiadł.

– Przepraszam – zaczęła słabym głosem. To zdumiewające, jak bezbłędnie nauczyła się posługiwać swoimi sztucznymi strunami głosowymi. O ile ktoś nie dostrzegł ledwo widocznej blizny na jej krtani, stwierdzenie, że zostały tam wstawione ręką ludzką, było niemożliwe. – Zaskoczyłeś mnie trochę. To... to miło z twojej strony, że wpadłeś, Gerry.

– Ale co miałaś na myśli mówiąc, że przychodzę, by cię dręczyć?

– Czyż to nie oczywiste? – przesunęła się na miejsce, które przed chwilą zajmowała Jill i zatoczyła ręką łuk, wskazując otaczający ich pokój, dom, całe osiedle. – Co zastałeś wracając tu po tylu latach? Zwykłą kurę domową z dwójką zwykłych dzieci i dość przeciętnym facetem jako mężem. Gdziekolwiek się udasz, znajdziesz milion podobnych ludzi. Tylko...

Otarła oczy chusteczką i wyprostowała się, zakładając nogę na nogę.

– Tylko twój widok przypominał mi zawsze, kim miałam być... Dlatego przestałam cię odwiedzać.

– Chyba rozumiem – mruknął niepewnie Howson. W żołądku narastał mu zimny ciężar. – Nigdy bym nie podejrzewał, że coś cię gnębi. Wyglądałaś na taką szczęśliwą!

– Och, wydaje mi się, że wtedy sama tego nie podejrzewałam – patrzyła ponad jego głową na pastelowe ściany. – Uświadomiłam to sobie dopiero po powrocie do domu. Pamiętasz, jak w tych opowieściach, którymi mnie raczyłeś, byłam zawsze piękną i upragnioną, i słyszałam jak wszyscy – roześmiała się gardłowo. – No cóż, sprawdziło się tylko „jak wszyscy"! Myślałam, że mam to już za sobą... dopóki nie weszłam do tego pokoju i nie ujrzałam ciebie siedzącego tutaj. To przypomniało mi, że zamiast być księżniczką z bajki, jestem zwykłą Mary Williams, gospodynią domową w West Walnut i nigdy nie będę niczym innym.

Na chwilę zapadło milczenie. Howson nie wiedział, co odpowiedzieć.

– I oczywiście bardzo ci zazdrościłam – podjęła monotonnym głosem. – Kiedy ja musiałam wpaść znowu w te koleiny anonimowości, ty stałeś się ważną i sławną osobą...

– Podejrzewam, że mi nie uwierzysz – powiedział pojednawczo Howson – kiedy ci powiem, że czasami mam ochotę zrezygnować ze sławy, z pozycji, ze wszystkiego, za przywilej patrzenia innym ludziom prosto w oczy i chodzenia ulicami bez utykania.

– Tak, Gerry – powiedziała dziwnym głosem – chyba ci wierzę. Słyszałam, że nie byli w stanie nic zrobić... Mam na myśli twoją nogę. I resztę. Przepraszam.

Uderzyła ją nagle jakaś myśl i zesztywniała.

– Gerry, nie opowiadałeś chyba Jill i Bobby'emu tego rodzaju historii, co mnie? Nigdy bym ci nie wybaczyła, gdyby i oni musieli przeżywać takie same rozgoryczenie.

– Dużo się nauczyłem przez te jedenaście lat – powiedział Howson. – Nie masz się czego obawiać.

Opowiadałem im tylko o swojej pracy w Ułan Bator, a Jill i tak twierdzi, że chce zostać pielęgniarką. Nie wydaje mi się, żeby moje opowiadanie stało się przyczyną ich rozgoryczenia.

– W moim przypadku stało się – powiedziała w zadumie Mary. – Historie, które mi opowiadałeś, pamiętam wyraźniej niż tę wstrętną norę, w której mieszkaliśmy. Te opowieści były bardziej... bardziej sprecyzowane. Natomiast rzeczywistość wyblakła w mojej pamięci, pozostawiając tylko smugę szarości.

Howson nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w korytarzu rozległy się kroki i tupot biegnących dzieci. Słychać było głos witającego się z nimi czule mężczyzny.

– To Steve – powiedziała z przygnębieniem Mary. – Wolałabym....

Howson nie dosłyszał, co by wolała, bo w tym momencie Williams wkroczył do pokoju i zauważywszy w nim Howsona zatrzymał się zaskoczony.

– Och.. dzień dobry – wybąkał. Jego oczy zadawały żonie rozpaczliwe pytania.

– Steve, to jest... chyba powinnam tytułować cię doktorem, prawda Gerry?... to jest doktor Gerald Howson z Ułan Bator. Przyjaźniliśmy się, zanim cię poznałam.

Williamsowi nie udało się zamaskować, że uważa gust żony w doborze przyjaciół za szczególny, ale wyciągnął rekę i Howson wstał, żeby ją uścisnąć.

– Gerry jest psychiatrą – wyjaśniała dalej Mary, a Howson skinął głową, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego do tej pory nie powiedziała o nim mężowi.

– Niezupełnie. W rzeczywistości jestem teleterapeutą w zespole centrum terapeutycznego... azjatyckiego oddziału Światowej Organizacji Zdrowia.

– Telepatą? – ta informacja poważnie wstrząsnęła Williamsem. – No tak, tak... interesujące! Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego... *i prawdę mówiąc, nigdy tego nie pragnąłem* – dokończył w myślach.

Rozmowa urwała się. Mary usiłowała wypełnić ciszę mówiąc wesoło:

– Mam nadzieję, że zostaniesz u nas na kolacji, Gerry? – za tymi słowami odczytał błagalną prośbę – *Proszę cię, powiedz nie. Nigdy nie opowiadałam mu o tobie i chyba nie mogłabym znieść, gdybyś mi przypominał, przypominał mi...*

Howson wspaniale odegrał ceremonię spoglądania na zegarek.

– Byłbym zachwycony – skłamał – ale nie mam zbyt wiele czasu, a chcę jeszcze odwiedzić spore grono znajomych. Lepiej będzie, jeżeli odmówię.

Podniósł neseser i ruszył w kierunku wyjścia. W progu przystanął i obejrzał się.

– Przeproś w moim imieniu dzieci, że nie mogłem zostać i opowiedzieć im innej historii, dobrze? – powiedział. – I postaraj się nie czuć do mnie nienawiści.

– Obiecuję – odpowiedziała Mary z bladym uśmiechem.

– I postaraj się też nie litować nade mną! – dokończył okrutnie, odwracając się od niej plecami. Marzył teraz, aby być zdolnym do przebycia ścieżki prowadzącej od drzwi domku na ulicę biegiem, nie zaś kuśtykając po niej jak pokraczna kukła.

XXIII

Od lat pielęgnował w myśli tę nadzieję, nadzieję, że właśnie dzięki niemu ta głuchoniema dziewczyna zaznała w życiu czegoś lepszego, niż samo tylko cierpienie. Wierzył dotąd, że jeżeli nie gdzie indziej, to właśnie tu udało mu się kogoś uszczęśliwić.

Nie dopuszczał do siebie myśli kwestionujących to założenie. Dlaczego? Ponieważ podświadomie zdawał sobie sprawę, jaka jest prawda.

To spotkanie wstrząsnęło w posadach jego wiarą w siebie. Przez krótką chwilę, kiedy kuśtykał w kierunku drogi szybkiego ruchu, okrążającej West Walnut, miał już ochotę zrezygnować z kontynuowania swojej wyprawy, nie chcąc więcej stawać w obliczu takich rewelacji. Ale właśnie tego nie mógł zrobić. Bez względu na to, jak unikalnym uczynił go jego talent, pozostał przecież istotą ludzką i przybył tutaj, aby odnaleźć dopełnienie swego człowieczeństwa.

Westchnął, postawił neseser na trotuarze i rozejrzał się. W pobliżu zakręcała właśnie taksówka, z której wysiadł mężczyzna w czarnym garniturze, wracający do domu po pracy. Howson machnął ręką, zastanawiając się jednocześnie, jaki adres ma podać kierowcy.

– No tak, to cały Rudi! Brian jest tu prawie od godziny. Ale może sobie przypomni i pozna was ze sobą. Nie będziesz miał nic przeciwko temu? A może dasz sobie z tym spokój?

– Bawi mnie to – przyznał Howson.

Ktoś poklepał go w ramię i pochylił butelkę nad jego pustą szklanką. Howson nakrył ją szybko dłonią na znak, że nie pije, a potem odwrócił się i odstawił szklankę na stoliczek stojący obok sofy. Zamilkli na chwilę, a gwar przyjęcia i muzyka krążyły wokół nich jak wiatry obiegające oko cyklonu.

XXV

W końcu, widząc, że Clara nie przejawia zbytniej ochoty do kontynuowania rozmowy, Howson poruszył się i spojrzał na nią.

– A właściwie, to kim i czym jest Rudi? – zapytał. Z trójki poznanej w barze, najbardziej on go interesował. Chociaż nie sondował jego umysłu, to z zewnętrznych tylko obserwacji wywnioskował, że Rudi jest osobowością głębszą i bardziej dojrzałą niż jego przyjaciele.

– Rudi? – Clara wypuściła dym dziurkami od nosa. – Nazywa się Rudi Allef. Przyjechał tu na stypendium ONZ. Pracował – to znaczy wydaje mi się, że pracował – nad jakimś przełomowym dziełem, niestety nie był to temat, jakim miał się zajmować w ramach przyznanego mu stypendium. Dlatego musiał przerwać to, co do tej pory robił. Potem Jay i Charma Horne...

– Jay i Charma Horne? Rodzeństwo?

Clara spojrzała nań z zaciekawieniem.

– Skąd ten pomysł? Są małżeństwem.

– *Małżeństwem?*

– A cóż w tym dziwnego?

Howson opamiętał się i wzruszył ramionami. Nigdy nie wychodziło mu to dobrze ze względu na deformację pleców.

– Tak się kłócili, kiedy ich poznałem... Przepraszam, proszę mówić dalej.

– No więc... a tak. Zresztą nie pytałeś o Horne'ów, a o Rudiego. Rudi to... to chodzący problem.

– Dziwne, że pani to mówi – zauważył Howson. – Na pewno zna go pani lepiej niż ja, ale powiedziałbym raczej, że sprawia wrażenie osoby zrównoważonej i o spójnej osobowości.

– Na pewno sprawia takie wrażenie – Clara spojrzała na obiekt ich rozmowy siedzący na podłodze obok akordeonisty. – Może któregoś dnia, jeżeli wystarczająco długo wytrzyma z tą maską, dowiedzie sobie samemu, że tak właśnie jest. W przeciwnym razie czeka go poważne załamanie i przez długi, długi czas będzie utrapieniem dla innych i siebie.

Howson spojrzał na nią zdumiony, podejrzewając przez chwilę, że nie rozmawiają o tej samej osobie.

– Czy wykazuje jakieś początki załamania? – zapytał.

Otrząsnęła się lekko, jak gdyby powracając myślami do jakichś innych spraw.

– Och, gdybyś wiedział gdzie patrzeć... No, chyba powinnam zająć się gośćmi. Porozmawiamy później.

Wstała, ale zawahała się.

– Nie chcę być niegrzeczna – powiedziała – ale ty też mi wyglądasz na nielichy problem, prawda?

Howson spojrzał jej w oczy tak stanowczo, jak tylko potrafił.

– Twierdzisz, że jesteś dobra w dostrzeganiu problemów – odparł. – Zdecyduj sama.

– Należało mi się – przyznała i odwróciła się by zniknąć w tłumie gości.

★

Po tej rozmowie Howson uświadomił sobie, że nadal niewiele wie o Rudim Allefie.

W tym jednak momencie Rudi przypomniał sobie o bombie, jaką chciał podłożyć pod socjologiczną teorię Briana. Podniósł się z podłogi, wyciągnął Briana z towarzystwa, z którym tamten spierał się zawzięcie i przedstawił mu Howsona. Patrząc na kpiący uśmiech Rudiego, Howson stwierdził u siebie silniejszą niż kiedykolwiek pokusę szybkiego – tylko jednego! – wejrzenia w tę kształtną głowę.

Oparł się jej jednak i zmusił do skoncentrowania na rozmowie. Brian, który mu się wcale nie podobał, otrząsnął się szybko i przywołał w sukurs swoje stare dogmaty.

XXIV

Howson znajdował się w stanie podniecenia tak bardzo kontrastującym z jego dawną depresją, że aby pozostać w zgodzie z własnym sumieniem, musiał pokusić się o analizę własnych reakcji. W przeciwnym przypadku straciłby dużo z przyjemności podświadomie się martwiąc.

Co go tak podnieciło? Zanim taksówka zatrzymała się, znalazł robocze wyjaśnienie.

Nie miał dotąd do czynienia z tego rodzaju ludźmi, ale dziesięć minut spędzone z Rudim i jego przyjaciółmi napełniło go przekonaniem, że jest to coś, czego chce się uchwycić i że ma szansę, iż nie zostanie odtrącony.

Nie oponował, kiedy Rudi pomagał mu nieść neseser i podał rękę przy wsiadaniu do taksówki. Dziwnie nie przypominało mu to o jego ułomności. Nie tym razem, nie w tym towarzystwie.

Wspinając się wąską, skąpo oświetloną klatką schodową kamienicy, do której przyjechali, złapał się na tym, że zastanawia się, czy ludzie, którzy nie akceptują konwencjonalnego uprzedzenia do kalek, nie podzielają równie powszechnej niechęci do telepatów.

Po godzinie spędzonej na przyjęciu powrócił jednak obiektywizm, studząc falę początkowego entuzjazmu. Mieszkanie było bardzo małe – pokoik spełniający funkcję salonu, a zarazem sypialni, obok maleńka kuchenka i toaleta wspólna dla całego piętra, a wszystko to zatłoczone ludźmi. Nie było wśród nich Briana – człowieka, któremu miano go przedstawić, ale towarzystwo składało się w większości ze studentów uniwersytetu.

Przez kilka pierwszych minut pokazywano go wszystkim jako klucz, który ma zostać wrzucony w tryby machiny Briana. Potem jednak, po szeregu szybkich prezentacji, trójka która go przyprowadziła, wdała się w rozmowy, ze starymi znajomymi i pozostawiła Howsona własnemu losowi.

Zaczynał już czuć się zagubiony i niepotrzebny, kiedy zauważył, że ktoś zwolnił kilka cali kwadratowych stojącej pod ścianą sofy. Usiadł skwapliwie, ktoś przechodząc nalał mu drinka i potem, przez jakiś czas, nikt nie zwracał nań uwagi.

Nagle uświadomił sobie, że dziewczyna, która przed chwilą przysiadła się do niego, patrzy nań z wyrazem rozbawienia na twarzy. Była młoda i dość atrakcyjna, chociaż miała na sobie niebieski serdaczek, który straszliwie gryzł się z zielenią jej oczu.

– Dobry wieczór – zagadnęła z kpiącym formalizmem. – Poznajmy się. Jestem gospodynią.

Howson wyprostował się, na ile to było możliwe.

– Przepraszam – zaczął. – Rudi i Jay nalegali, żebym tu z nimi przyszedł...

– Och, jesteś mile widziany – powiedziała machając ręką. – To ja powinnam przeprosić za tak długie zaniedbywanie gościa. Nie miałam dotąd wolnej chwili. Dobrze się bawisz?

– Wspaniale, dziękuję.

– Tak myślałam obserwując twoją maskę niezaangażowania. Co robiłeś? Spijałeś atmosferę?

– Prawdę mówiąc zastanawiałem się nad ożywieniem i impulsywnością toczonych tutaj dyskusji.

– Beznadziejne, prawda? Na każdym takim przyjęciu ludzie wymyślają tuzin niezawodnych sposobów zbawienia świata i nigdy nie wprowadzają ich w czyn.

– Czy pani jest pisarką? – próbował zgadnąć Howson.

– Potencjalną. Ktoś panu powiedział?

– Nie, ale ma tu pani sporo twórczych, młodych ludzi.

Dziewczyna (będąc gospodynią musiała mieć na imię Clara) poczęstowała go papierosem. Odmówił, ale pożyczył od kogoś jarzący się niedopałek, aby mogła od niego odpalić.

– A ty? Co robisz? – spytała zaciągając się dymem.

– Jestem lekarzem – odparł Howson. – Prawdę mówiąc, Rudi przyciągnął mnie tu ze sobą, bo chciał mnie przedstawić komuś, kto stara się łączyć typy fizyczne z zawodami. Ma na imię Brian.

– Ach tak, Rudi wciąż próbuje go ośmieszyć. Wyobrażam już sobie, ile Brian musiał zastosować akrobatyki umysłowej, żeby dopasować cię do swojego wzorca.

– Nie wiem. Jeszcze mu mnie nie przedstawiono.

Samochód minął go nie zwalniając. Ogarnięty gniewem, Howson chciał już posłać za nim ogłuszający myślowy krzyk, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że kierowca wziął go za dziecko pozdrawiające machaniem ręki przejeżdżającą taksówkę i poprzestał na zasugerowaniu mężczyźnie, że popełnił on pomyłkę.

Taksówka zahamowała, zawróciła i podjechała do miejsca, w którym stał. Taksówkarz, otyły mężczyzna o wesołych oczach popatrzył na Howsona i powiedział wzruszając ramionami.

– Przepraszam, chłopcze. Chyba zamyśliłem się. W ten sposób tracę wiele kursów... Dokąd?

– Główna Aleja – powiedział Howson krótko i wgramolił się do środka.

*

Nazwa ta była teraz absurdalna. Proces upadku ulicy, który rozpoczął się wraz z przyjściem Howsona na świat i posunął już znacznie, kiedy Howson wyjeżdżał do Ułan Bator, dobiegł już końca. Ciąg czterech bloków mieszkalnych na północnym krańcu alei przeznaczono do rozbiórki i wymazano z planu miasta. Wieczorny wiatr popychał nie wymiecionymi rynsztokami papierowe kule i wzniecał tumany kurzu, a chodnikami snuło się kilku smętnych przechodniów.

Kino, w którym podjął swą pierwszą i brzemienną w skutki próbę zostania kimś ważnym, było jeszcze czynne, ale podupadło teraz i świeciło pustkami, a zaraz za nim stało coś zupełnie nowego – ładny, schludny, wysoki budynek. Na jednej z marmurowych kolumn wyznaczających główne wejście widniały duże litery z brązu. Mrużąc oczy, Howson przeczytał:

UNIWERSYTET CENTRALNY – WYDZIAŁ NAUK PODSTAWOWYCH I STOSOWANYCH

– Panie kierowco! – zawołał. – Proszę tu trochę zwolnić, dobrze?

Kierowca nacisnął nogą pedał hamulca i obejrzał się przez ramię.

– Wyróżnia się, prawda? – skomentował. – To dar Drake'a. Kilka lat temu oddał pod budowę uniwersytetu spory szmat ziemi. W przyszłości pomieści tysiąc studentów – sale zajęć, biura administracji, domy akademickie.

– Czy już działa? – spytał Howson.

– Jasne, od zeszłej jesieni. Rozlokowali studentów w wynajętych pokojach w całej dzielnicy, więc nie muszą czekać na ukończenie akademików.

– Czy dalej, po prawej stronie ulicy, jest jeszcze bar? – spytał Howson. – Ten, który prowadził facet nazwiskiem Horacy Hampton?

– Wąż? – kierowca zareagował na to pytanie odwróceniem głowy. – Panie, musiało tu pana długo nie być! Pamiętam Węża, ale tylko trochę! Zaraz... hmmm... jakieś dziesięć lat temu zwalili się do nas jacyś tepeci z ONZ-u, urządzili wielką obławę i wygarnęli ich wszystkich. Wąż dostał pięć lat i przymusową resocjalizację za współudział w morderstwie, a ostatnio obiło mi się o uszy, że podobno podjął pracę w jakiejś brygadzie ONZ i nieźle mu się powodzi.

Tepeci – TP – telepaci. Howson pokiwał głową. Nie przypominał sobie, żeby słyszał już kiedyś to przezwisko, a było przecież takie oczywiste. Co do losu Węża Hamptona, nic dziwnego, że nic nie wiedział. Mimo wszystko, było to miasto stojące na uboczu nowego świata. Marginalna akcja zaprowadzenia w nim prawa i porządku była niczym w porównaniu z szeroko zakrojonymi operacjami, które na co dzień przeprowadzali telepaci.

– Ale jego bar jeszcze istnieje – podjął kierowca. – O, już go widać. Nie wiem, kto go teraz prowadzi.

– Kawałek za nim jest hotel – powiedział Howson. – Proszę mnie tam wysadzić.

*

Załatwiwszy formalności meldunkowe i sprawę sprowadzenia z lotniska reszty swego bagażu, Howson spożył samotny posiłek i rozmyślał nad tym, co dotąd zobaczył. Czuł przygnębienie. Jak mógł się spodziewać, że powrót do miejsca, skąd wyjechał przed jedenastu laty, odbędzie się bezboleśnie? Założenie to wydało mu się teraz czymś aroganckim i wzbudziło w nim złość.

Był tu obcy. Powinien się z tym pogodzić.

Po posiłku wyszedł z hotelu i skierował swe kroki w stronę baru będącego niegdyś kwaterą główną Hamptona. Lokal prezentował się nędzniej niż przed laty i był gorzej oświetlony. Upstrzone przez muchy lustra, zniszczona podłoga. Czy na zapleczu były nadal pokoje – na przykład pokój błękitny, w

którym spędził z Lotsem te pełne niepokoju godziny? A w końcu, czy miało to teraz jakieś znaczenie? Postarał się przestawić swój umysł na myślenie nie o tym, co było, ale o tym, co jest obecnie. Podszedł do stolika w rogu sali, zamówił piwo i siedział sącząc je w przygnębieniu.

Między niego, a otaczający go świat wciskał się bez przerwy obraz twarzy Mary. Zanosiło się na to, że dużo czasu upłynie, zanim oswoi się z tym, z czego mu się zwierzyła. Hugh Choong spytał go na koniec – „Dlaczego dręczy cię poczucie winy, kiedy wykorzystujesz swój talent dla przyjemności?"

Teraz miał już gotową odpowiedź – „Bo kiedy raz to zrobiłem, czułem podświadomie, że przysparza to komuś cierpienia".

Biedna Mary... biedna księżniczka z bajki.

Przerwał z irytacją ten tok myśli. Taką samoanalizę można ciągnąć w nieskończoność i do niczego nie dojść. Bezsprzecznie odwalił do diabła i trochę dobrej roboty i odwali jej jeszcze więcej pod warunkiem jednak, że potrafi znowu uwierzyć w siebie.

Dokąd teraz? Co teraz?

Podniósł szklaneczkę, upił łyk piwa i odstawiając ją z powrotem uświadomił sobie, że przy sąsiednim stoliku toczy się głośna rozmowa. Grupka składająca się z dwóch mężczyzn – niedbale ubranych, z dwudniowym zarostem na twarzach – i nieładnej dziewczyny o jasnych włosach, w raczej niegustownej sukience, pogrążona była w ożywionej dyskusji. Właściwie prowadzili ją jeden mężczyzna i dziewczyna – drugi chłopak zdawał się im przysłuchiwać z niejakim rozbawieniem.

– Czy ty już nic nie rozumiesz? – grzmiała dziewczyna waląc otwartą dłonią w blat tak, że podskoczyły wszystkie trzy stojące na nim szklanki. – Ignorujesz lekcje całego minionego stulecia, żeby przedstawić w nowym opakowaniu rzeczy, które już zrobiono i to dwadzieścia razy lepiej niż zdołasz je zrobić ty!

– Musisz być ślepa, głucha i tępa, żeby wygadywać takie bzdury! – wrzeszczał jej oponent. – Jedną z twych najcholerniejszych wad, a masz ich całe mnóstwo, jest to, że dokonujesz dzikich i pustych uogólnień! Nikt obdarzony źdźbłem inteligencji...

– Przepraszam was – wtrącił drugi z chłopaków. – Wrócę kiedy zrobi się tu trochę ciszej.

– A idź w diabły! – warknęła za nim dziewczyna, a on zabrawszy swoją szklankę ruszył w kierunku stolika, przy którym siedział Howson. Gerald sprężył się instynktownie w sobie, ale nieznajomy jakby w ogóle nie zwrócił uwagi na jego powierzchowność.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że troszeczkę tu sobie posiedzę? Nie mogę dojść do słowa, dopóki tamci się nie uspokoją, a ponieważ żadne z nich tak naprawdę nie wie o czym rozmawia... Papierosa?

Howson miał już odmówić – palenie tytoniu, nawet tego nie zawierającego nikotyny, było zakazane w centrum terapeutycznym – gdy uświadomił sobie, że młody człowiek jest dla niego uprzejmy. Nie mógł wiedzieć, że Howson jest kimś ważnym, a jednak zwracał się do niego z szacunkiem.

Przyjął więc papierosa i podziękował.

– O co im chodzi? – zagadnął schylając się po ogień.

– Charma – odparł młodzieniec nie wyjmując papierosa z ust – upiera się, że Jay wykonuje pracę nie wymagającą kompetencji i nie dającą satysfakcji. Ma rację. Myli się jednak całkowicie utrzymując, że on jedynie powtarza coś, co zostało już sto razy zrobione. Jay ma zupełnie oryginalny pomysł, ale po prostu nie jest na tyle dobry, żeby go zrealizować. Myśli natomiast, że jest. A więc... nie zgadzają się.

– Oni tak często?

– Tak jest, cholera, bez przerwy! – powiedział młodzieniec smutnym głosem.

– A co to za praca?

– O, to trudno zdefiniować w paru słowach. To, co robi można chyba nazwać ciekłymi mobilami. Charma mówi na to mokre ognie i chociaż wydaje mi się, że coś w tym jest, to Jay nie jest zachwycony tą nazwą. Główny problem w tym, że aby rozpracować to co robi, Jay musiałby być zarówno chemikiem i hydrodynamikiem, jak i facetem z żyłką do efektów świetlnych, a on nie jest żadnym z nich. W rezultacie nie potrafi wykorzystać autentycznych możliwości, jakie oferuje mu technika.

Ma około dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech lat – ocenił Howson swego nowego znajomego. Chłopak był średniego wzrostu, dość przystojny, miał rozczochrane, czarne włosy i nosił okulary o grubych

szkłach. Na sobie miał wyblakłą koszulę rozchełstaną na piersiach, trochę wytarte na kolanach ciemne spodnie i sandały. Na jego przegubie połyskiwał olbrzymi zegarek. Z kieszonki koszulki sterczał futerał na pióro i ołówek.

– Jesteście studentami? – spytał Howson przypominając sobie, że znajduje się w pobliżu nowego budynku uniwersyteckiego.

– Już nie, już nie. Nie tak dawno temu przestały nas satysfakcjonować normy akademickie, a ponieważ ci, którzy je ustanawiają, byli również niezbyt zadowoleni z nas, postanowiliśmy wspólnie przestać grać sobie nawzajem na nerwach. Napije się pan jeszcze?

– Nie, ja postawię – powiedział Howson i skinął na kelnera. Zapłacił pierwszym z wierzchu z pliku banknotów wyjętym z kieszeni, co sprawiło, że jego towarzysz gwizdnął w parodii zaskoczenia.

– Zawsze sprawiało mi przyjemność, kiedy stawiali mi bogaci – powiedział poważnie. – Mam wtedy wrażenie, że wnoszę jednak swój skromny udział we wtórny podział dochodu narodowego.

– Proszę to samo dla tamtych dwojga – powiedział Howson do kelnera wskazując Jaya i Chandrę. – A czym się pan zajmuje? – zwrócił się znowu do swojego nowego znajomego.

– Komponuję. Kiepsko mi to wychodzi. A pan?

– Jestem lekarzem – odparł Howson po chwili wahania.

– Naprawdę? Nigdy bym nie zgadł. Powinniśmy przedstawić pana Brianowi – znajomemu, początkującemu socjologowi, który jest fantastycznym deterministą. Stara się od dłuższego czasu udowodnić, że zawody i zajęcia można skorelować z typami fizycznymi. Niech pan spojrzy, udało się panu ich uspokoić! – wykręcił się na krześle i spojrzał na Jaya i Chandrę.

Howson poszedł za jego przykładem. Charma trzymała w ręku świeżo napełnioną szklankę i uśmiechała się do niego.

– To pan? – krzyknęła. – Dzięki! – i wychyliła ją łapczywie. Po tych wrzaskach musiało jej zaschnąć w gardle.

– Rudi! – zawołał Jay pokazując na zegarek. – U Clary już się chyba zaczęło. Może byśmy wpadli?

– Dobry pomysł – powiedział towarzysz Howsona. – Słuchaj, ten facet jest lekarzem. Powinniśmy przedstawić go Brianowi i popatrzeć, jak rzednie mu mina, nie?

– Nigdy by ci nie uwierzył – powiedziała Charma. Osuszyła już swoją szklankę.

– A nawet gdyby uwierzył – dopowiedział Jay – to i tak ma w swojej teorii więcej specjalnych wyjątków niż potwierdzających ją przypadków.

– A więc powinniśmy mu tego dowieść – zaproponował Rudi. – Będzie dzisiaj u Clary?

– Czy słyszałeś, żeby ten człowiek opuścił jakąś popijawę? – zapytała Charma.

– OK! – Rudi odwrócił się do Howsona. – Znaczy się, jeżeli nie ma pan nic innego do roboty. Przepraszam, zdaje się, że snuję plany za pana... hmmm...?

– Gerry – przedstawił się Howson. – No cóż, w gruncie rzeczy...

W gruncie rzeczy byłbym zachwycony idąc na to przyjęcie. Gdybym pragnął nauczyć się współżyć z ludźmi, chciałbym zacząć z takimi jak ci – obrazoburczymi, wolnymi od przesądów i uprzedzeń, akceptującymi mnie chociażby dlatego, że odbiegam od przeciętności.

– Jeden gość więcej nie zrobi Clarze różnicy – nalegał Rudi, źle odbierając jego wahanie. – Weźmiemy dwa kartony piwa i wszystko będzie OK.

– W takim razie – powiedział Howson wstając – pójdę z chęcią.

Zatrzymał się w progu i czekając aż Jay i Rudi przecisną się z wielkimi kartonami piwa przez wąskie drzwi, zapytał:

– Bierzemy taksówkę?

Jay ryknął śmiechem zamykając łokciem drzwi.

– Jay, jesteś mało spostrzegawczym sukinsynem – upomniał go Rudi. – Zakładasz, że każdy podziela twoją pasję do łażenia piechotą tylko dlatego, że masz długie nogi i tryskasz witaminami. Dowiedz się, że tak się składa, iż ja, będąc w przeciwieństwie do ciebie spostrzegawczym, wiem, że obecny tutaj Gerry ma harmonię pieniędzy wystarczająco dużą, żeby nam postawić taksówkę. Charma, wyskocz na jezdnię i podciągnij spódnicę.

FANTASTYKA EKSTRAWAGANCKA

Gdzie kończy się fantastyka tradycyjna, a zaczyna poszukująca, niezwykła, ekstrawagancka? Trudno to określić. Wiadomo natomiast na pewno, że o tę pierwszą upomni się większość czytelników spragnionych doznań znanych i powtarzalnych, spragnionych wartkiej akcji. Odwrotnie z cięższą czasem w lekturze fantastyką ekstrawagancką – wybierają ją krytycy i redaktorzy, których denerwuje gdy gatunek stoi w miejscu. Nasze gusta są więc rozbieżne. Czy nie możemy się spotkać?

Trzeba próbować. Zestaw siedmiu opowiadanek, które Państwu dziś prezentuję, nie jest pod tym względem bez szans. Teksty Grzegorza Babuli, Eugeniusza Dębskiego, Hotlyss-Hotlanda i Romana Wysogląda wyłamują się nieco z konwencji klasycznej, ale pozostają czytelne, zawierają elementy humoru i tradycyjnej przygody. Jest to już eksperyment, ale na małą jeszcze skalę, i ekstrawagancja, tyle że bez przesady.

Za najbliższego konwencji wypadnie uznać młodego autora z Warszawy, GRZEGORZA BABULĘ. Prezentowany u nas przed paroma miesiącami w zestawie *short stories*, dał się szerzej poznać dzięki czwartemu numerowi „Almanachu Literackiego Iskier", poświęconemu w całości fantastyce. Pokazał się tam Babula jako autor nietypowy, ciekawie łączący fantastyczność z codziennością, z kolorytem lokalnym, miejskim czy wręcz ludowym. My przedstawiamy go krótką humoreską kontaktową rozgrywającą się w nietypowej scenerii.

EUGENIUSZ DĘBSKI z Wrocławia, autor tomu opowiadań „Najważniejszy dzień 111 394 roku" (tekst tytułowy zbioru prezentowaliśmy w „Fantastyce" nr 5/84), proponuje dziś państwu opowiadanie, jeśli nie sadystyczne, to na pewno okrutne, napisane w stylu zbliżonym do modnej w kręgach młodej SF tonacji punk. Oto na naszych łamach znana dotychczas raczej z fanzinów konwencja punk – ze wszystkim co w niej dobre i złe.

HOTLYSS-HOTLAND to pseudonim młodego autora z Zawodzia-Katowic o inicjałach J.S. Kolega J.S. przysyła nam od roku dowcipne liściki dołączając do nich interesujące językowo purnonsensowe miniaturki literackie, kojarzące się z teatrzykiem „Zielona Gęś" Gałczyńskiego. Z kilkunastu tekstów wybieramy dla państwa cztery – najzręczniejsze i najciekawsze.

Do tego zestawu dołączam niefrasobliwą humoreskę, kpiącego z codzienności ROMANA WYSOGLĄDA z Krakowa.

Całość (proszę spróbować) czyta się. Pamiętając, że teksty poszukujące nie zdobywają uznania w plebiscytach, obiecuję mimo wszystko, za jakiś czas, znów poeksperymentować z wytrzymałością gatunku i – Państwa oczywiście. Dziś czynię to przecież bardzo łagodnie. Takie rozbijanie, czy może raczej poszerzanie granic nie może fantastyce zaszkodzić. Nawet przeciwnie.

(mp)

Grzegorz Babula

R.I.P.

– Ależ oczywiście, proszę pana! To dla nas wielki zaszczyt, że pan raczył wybrać nasz, że tak powiem ośrodek. – Zarządca był pucołowaty, okrąglutki i cały promieniał życzliwością. Bez przerwy poprawiał zsuwające mu się na czubek nosa okulary. Raziła mnie jego zawodowa uprzejmość. Przymilne uśmiechy były chyba nie na miejscu.

– A więc, o ile dobrze zrozumiałem... – jego ruchliwe ręce wędrowały od okularów do garnituru, na którym wygładzał niedostrzegalne fałdki. Nie spuszczałem z nich oczu. – Szanowny pan chciałby skonfrontować pogłoski o naszym zakładzie z jego faktycznym stanem i w zależności od wyników tej, że tak powiem, konfrontacji, skorzystać z naszych usług.

– Chcę go po prostu obejrzeć – przerwałem zniecierpliwiony. – Nie myślę decydować się na byle co!

– Ależ tak, niewątpliwie! W pełni rozumiem szanownego pana. – Zupełnie nie był zmieszany. Drobnym, damskim kroczkiem podbiegł do mnie i ująwszy mnie pod łokieć skierował ku drzwiom. – Postaram się zadośćuczynić pańskiemu życzeniu. To mój, że tak powiem, obowiązek.

Przeszliśmy krótki korytarzyk o ścianach wyłożonych drewnem sandałowym. Wylot zamykały potężne wrota, oczywiście czarne, zaopatrzone w masywną, bogato cyzelowaną klamkę. Pod naciskiem dłoni mojego przewodnika klamka ustąpiła i jedno skrzydło drzwi uchyliło się bezszelestnie. On perorował dalej.

– Jak pan zapewne słyszał, nasz zakład jest przeznaczony dla bardzo szerokiej publiczności, że tak powiem, dla P.T. Publiczności. Cieszy się znakomitą renomą, w związku z czym klienci zjeżdżają się z kilku galaktyk, towarzystwo mamy tu doborowe i czuje się w obowiązku pana uprzedzić, że może się pan spodziewać pewnych, że tak powiem, niespodzianek.

– Nie życzę sobie żadnych niespodzianek – warknąłem.

– Źle się wyraziłem, raczy pan wybaczyć. A zresztą sam pan zobaczy. Otóż i nasz cmentarz! – Ostatnim słowom towarzyszył szeroki gest ręki, mający mi ukazać wspaniałość otoczenia. Rzeczywiście było tu ładnie. Ponieważ budynek zarządu, przez który wchodziło się na cmentarz, znajdował się na wzniesieniu, mogłem objąć oczami całą panoramę. Przed nami rozciągał się rozległy park, okryty świeżą zielenią, gęsto poprzecinany szerokimi alejami. Spomiędzy drzew przezierały kontury grobowców zbudowanych z oliwkowego marmuru i niewyraźne zarysy dziwnych konstrukcji, których przeznaczenia trudno się było domyślić.

– Pan pozwoli, że będę pańskim przewodnikiem – dobiegł mnie usłużny głos zarządcy.

Ruszyliśmy w alejki. Rozglądałem się ciekawie dookoła, nieuważnie słuchając wyjaśnień major-grabarza.

– Tak więc, jak już wspominałem, spoczywają tutaj przedstawiciele prawie wszystkich ras rozumnych. Nasza firma stara się zaspokoić wszelkie życzenia klientów dotyczące formy pochówku. A życzenia bywają rozmaite. Jak to się mówi: jeden lubi ogórki, drugi... – Wybuchnął nerwowym chichotem, lecz zaraz umilkł, skarcony moim surowym spojrzeniem. Ale znów się nie zmieszał. Był wytrawnym, zaprawionym w bojach urzędnikiem i byle drobiazg nie mógł go wzruszyć.

Zatrzymałem się przy niedużej tabliczce, zawieszonej na dwóch metalowych słupkach. Odczytałem głośno napis.

KURU MAPURU
wysechł 7-5-4596
Pokój Jego Oparom!

– Co to jest? – zdziwiłem się.

– To taka rasa z Aldebarana. Myślące płyny. Ciecz turlająca się w kulistych kroplach. Przyjechał do nas, złapał grypę, dostał wysokiej gorączki i wysechł. – Mój cicerone rozłożył ręce w geście wyrażającym całkowitą bezradność.

– I on tu leży?

– Nie, no skąd. Przecież wyparował! Tu jest tylko tabliczka. Tak sobie zażyczyli krewni. Żeby szanowny pan wiedział, jaka to była męka w porozumiewaniu się z nimi. Ten ich koszmarny bulgot!

Złapał się za głowę i kręcił nią, jakby zamierzał ją sobie urwać. Spojrzałem na niego z niesmakiem. Był zbyt teatralny, żebym mógł traktować go poważnie. Zrobiłem kilka kroków do przodu, by przystanąć przy gigantycznej płycie z piaskowca. Wyryte na niej litery głosiły.

MHUZTR IOPTZU URJOB NER
żył lat 22000
Przechodniu!
Przeklnij okrutny świat,
który pozwala umierać
w tak młodym wieku!

Zarządca nie czekając na moje pytanie, pośpieszył z tłumaczeniem.

– Proszę się nie dziwić. To ich specyficzna miara czasu. Planeta, na której żyją, wiruje wokół słońca z oszałamiającą prędkoś-

cią. W związku z tym rok jest krótszy. Tak naprawdę miał tylko trzy tysiące i pół roku.

Pozostawiłem jego wyjaśnienie bez komentarza. Myślałby kto! Chodząca encyklopedia!

Cicho zgrzytał żwir pod stopami. W gałęziach drzew uwijały się ptaki, napełniając powietrze dźwięcznym świergotem. Słońce chylące się już ku zachodowi opromieniało cmentarz ciepłym blaskiem. Szliśmy powoli świeżo wygracowaną alejką, mijając dziesiątki grobów zatopionych w roślinności. Zaczęło mnie wypełniać uczucie głębokiego spokoju. Ten elegijny nastrój zakłócił niespodziewanie dziwny odgłos, nie pasujący do tego miejsca. Nie potrafiłem sobie uzmysłowić jego przyczyn, póki nie dotarliśmy do końca alejki. Po jej prawej stronie poczesne miejsce zajmowała zagadkowa budowla. Była to jakby altanka, której dach opierał się na czterech betonowych kolumnach. Do stropu, za pomocą długich, chyba trzymetrowych łańcuchów, było przymocowane metalowe pudło. Ze świstem przecinało powietrze, kołysząc się w stuosiemdziesięciostopniowych (uff, co za wyraz) wychyleniach. Ten właśnie świst naruszał spokój cmentarza. Zarządca, widząc mój pytający wzrok, skwapliwie wyrzucił z siebie informacje.

– Rodzina zażyczyła sobie warunków, jakie panują na ojczystej planecie. A oni mają tam zmienną, pulsującą grawitację. W rytm przelewania się płynnego jądra. A jak ja mam mu to tutaj zapewnić? Więc niech się biedak chociaż pohuśta!

Spojrzałem bystro na zarządcę, szukając na jego obliczu śladów żartu. Ale nie. Nie dał się złapać. Był zupełnie poważny.

Gdy skręciliśmy w poprzeczną alejkę, uwagę moją przyciągnęła oszklona klatka, stojąca na kamiennym podwyższeniu. Jej kanty były wzmocnione złoconymi listwami. Przypominała akwarium, z którego wypuszczono wodę. W środku, z kąta w kąt, wałęsał się humanoidalny stwór bez odzieży, za to gęsto porośnięty siwymi kudłami. Skołtuniony zarost pokrywał mu nawet twarz, nie pozwalając dostrzec rysów. Nie zainteresował się nami, chociaż z pewnością zauważył naszą obecność.

– A to kto? Krewny któregoś ze zmarłych? – spytałem, zniżając głos. Szyba akwarium wydała mi się cienka. Mógł nas usłyszeć.

– Ależ skąd! – zaprotestował z oburzeniem drepczący za mną zarządca. Konfidencjonalnym szeptem dyszał mi do ucha nowe rewelacje. – To jest proszę szanownego pana, sam szacowny nieboszczyk. U nich, to jest na samym skraju Drogi Mlecznej, naturalnym stanem jest śmierć. Leżą pokotem na całej planecie i że tak powiem, nie żyją. Jakaś ekspedycja badawcza trafiła tam przypadkiem i wzięła jednego do zbadania. Bo to, proszę pana, niby nie żyją – a żaden nie zepsuty. Nawet nie nadpleśnieli! Przywieźli więc go tutaj i masz! Zmartwychwstał! To znaczy, według siebie, umarł. I kazał się pochować.

– Odżywiacie go jakoś? – zaciekawiłem się.

– Nie. Ani trochę. Nie potrzebuje tego. Funkcjonuje, że tak powiem, bez paliwa. Zagadka!!! – dramatycznie zgłośnił szept. – Są rzeczy na niebie i ziemi, o których...

– Tak, tak – przerwałem mu niegrzecznie. – Znam to.

Postąpiwszy parę kroków naprzód, pogrążyłem się w zadumie, spoglądając na żywego trupa. Zarządca miał rację. Są rzeczy... i tak dalej. Pomyślałem, jak mało wiem o świecie. Ciągle pogrążony w pracy, nie zdawałem sobie sprawy, że istnieją podobne dziwadła; inteligentne ciecze, młodzieniaszkowie, liczący kilka tysięcy wiosen, że grzebie się zmarłych do tego stopnia niekonwencjonalnych, iż ich groby przypominają wszystko, tylko nie miejsce ostatniego spoczynku.

– Przepraszam najmocniej – dobiegł mnie głos zarządcy, który zbliżył się do mnie niepostrzeżenie. – A pan szanowny kogo chciałby u nas pochować? Chciałbym z góry zapewnić, że oferujemy absolutnie pełną gamę czynności funebralnych, jak pan chyba raczył zauważyć. O kogóż więc chodzi?

– O przyjaciela. Utlenił się przedwczoraj. Od dawna zresztą cierpiał na postępującą korozję. – Ukradkiem wytarłem kroplę smaru, która zakręciła mi się w obiektywie. – W dodatku to ciągłe pociąganie z prądnicy, od kiedy opuściła go ukochana maszyna cyfrowa. To wszystko go w końcu wykończyło.

Mój przewodnik ze współczuciem pokiwał głową.

– A pogrzeb ma być zupełnie tradycyjny. Kremacja w reaktorze termojądrowym, urna kadmowa z ołowianą inkrustacją, prochy złożone w betonowym bunkrze zbrojonym płytami z wolframu. Rozmiar standardowy – trzydzieści metrów na piętnaście. Czy mogę zapłacić energią?

Zarządca przytaknął.

– Przyjmujemy każdą walutę. To wyniesie dziesięć megawatogodzin.

– To nawet niedrogo – byłem mile zaskoczony – należność przeleję z mojego prywatnego akumulatora w Banku Handlowym. Jutro telefonicznie podam panu adres, pod którym są zwłoki. A teraz żegnam pana.

Skłoniłem mu się lekko, co szybko odwzajemnił. Obróciłem się na pięcie i skierowałem ku wyjściu. Po drodze zauważyłem, że skrzypią mi przekładnie. „Muszę szybko pójść do remontu, żeby nie trafić tu na stałe", pomyślałem i przyspieszyłem kroku.

Zapadał już zmierzch.

Grzegorz Babula

Requiescat in pace (łac.) – niech spoczywa w spokoju (napis nagrobny; często skrót RIP).

Czy to pan zamawiał tortury?

Eugeniusz Dębski

Litteheart zaczerpnął łyżką bryi z garnka. Gorąca papka rozlała się po języku, pojedyncze włókna naci kalarepy – od dwu dni podstawa pożywienia – osiadły na języku. Jakaś grudka, zapewne strzęp mięsa wydarty z łopatki znalezionej wczoraj na zapleczu sklepu mięsnego, sturlała się do gardła.

Voy zmusił się do zamknięcia ust i kilkakrotnego poruszenia językiem. Rzucił łyżkę na odarty z wykładziny blat stołu i szybko popił zupę przygotowaną wcześniej wodą. Gdy rozluźnił mięśnie krtani, co, jak odkrył wczoraj, pomagało w konsumpcji cuchnących posiłków, nieprzyjemny smak zgnilizny rzucił nim w kierunku kranu. Pił długo, a potem starając się oddychać przez usta wyłączył palnik i wybiegł do pokoju. Na parapecie suszyły się trzy pety, przesunął palcem najdłuższy – drugie danie, chwycił średni i w tym momencie ktoś delikatnie zastukał do drzwi.

Litteheart zamarł z szeroko otwartymi oczami, odbiło mu się, przełknął ślinę, ale tylko ruch krtani różnił go w tej chwili od hyperrealistycznego manekina. Stukanie powtórzyło się. Było równie delikatne jak wcześniejsze, subtelne. Voy szarpnął się i wolno podszedł do drzwi. Drżącymi palcami przesunął zasuwkę i ostrożnie, jakby spodziewał się, że runie na niego oceaniczna fala, pociągnął drzwi do siebie. Szczupły brunet z małym, szczurzym wąsikiem, w umiarkowanie eleganckim garniturze uśmiechnął się służbowo, skłonił lekko głowę z równoczesnym przesunięciem całego ciała w kierunku pokoju Voya i zapytał:

– Czy to pan zamawiał tortury?

Litteheart odruchowo odsunął się utrzymując dystans, glupnęło mu w gardle, poruszył kilka razy prawą dłonią i pokręcił głową.

– Na pe... na... na pewno nie... ykh! – czknął nerwowo.

Brunet wsunął się na zwolnione przez Voya miejsce. Za nim zza ściany wyłonili się jeszcze dwaj wyglądający jak czterej. Cała grupa w tym samym szyku – Litteheart tyłem, pozostali trzej za nim – weszli do pokoju.

– Pan Voy T.K. Litteheart? Prawda? – utrzymując uśmiech zapytał pierwszy.

– Ja na pewno nie zamawiałem tortur – z przekonaniem wydusił z siebie Voy.

– Przecież pytam tylko, czy to pan jest Voy T.K. Litteheart? – Brunet uniósł brwi i przekrzywił głowę. Głos

miał ciepły, miękki, mówił jak piastunka do trzyletniego brzdąca.

– No... J-ja... Ale przecież mówię...

– Dob-rze – ciut głośniej powiedział brunet wyraźnie dzieląc słowo na sylaby. – Tylko o to mi chodziło. Reszta jest dla nas jasna: mamy zlecenie, mamy klienta – wykonał krótki gest rękami jakby chciał objąć Littehearta, ale od razu je złożył. – Nie ma żadnych przeszkód, żeby zacząć już teraz.

Jego prawy bark wykonał krótki ruch do przodu i w tej samej sekundzie ci, co wyglądali jak czterej, małymi łukami obeszli bruneta i wysunęli się na pierwszy plan. Voy kwiknął i rzucił się w bok, starając choć na krótko, przynajmniej na kilka sekund odgrodzić się stołem od apokaliptycznych gości. Po pół kroku jego twarz uderzyła w dłoń jednego z goryli, a krótki lot w przeciwnym kierunku przerwała ręka drugiego.

– Nie-e-e! – krzyknął Voy. – Nie chcę! To pomyłka! – wysunął ręce w kierunku obu gigantów. – A-u-a-a! – zaskowyczał.

Ten z lewej chwycił go garścią za włosy na głowie. Ciało Littehearta posłusznie wykonało taniec brzucha, powtórzyło kolisty ruch ręki oprawcy z pewnym flaczastym opóźnieniem – najpierw głowa, potem szyja i dalej: klatka piersiowa, biodra, uda, podudzia i stopy. Szurnęły podeszwy. Łzy trysnęły z oczu, a z gardła Voya wydarł się krótki skowyt. Krótki, bo drugi gigant bez specjalnego zaangażowania wpakował mu piąchę w żołądek. Nikt nie przeszkadzał mu w bezwładnym locie ku podłodze. Zwijał się, szlochając i zbierając śmiecie na ubranie, potem ucichł, z rozpaczą czekając na ciąg dalszy. W wyjaśnienie i happy end przestał wierzyć.

– To pomyłka – chlipnął bez wiary z głową w okolicy kolan.

– Tfu! – usłyszał z góry. – Jeszcze skurczel udaje. Ślina mi gęstnieje jak widzę takiego. Dopiero wtedy lubię...

– Zamknij się, Coffin – powiedział miękko brunet.

– Trącić go jeszcze? – włączył się trzeci głos.

– I będziesz później niósł? – stopy bruneta wykonały zwrot i kilka kroków w kierunku drzwi wejściowych.

Voy poczuł cęgi na przedramieniu, poderwał się ratując staw przed wyrwaniem, podparł na drugiej ręce i „wstał" na nogi. Dygotał oczekując ciosu, usiłował jedną ręką osłonić splot słoneczny, krocze, nerki, wątrobę, twarz. Trzymający go olbrzym flegmatycznie trzepnął dłonią w przedramię Voya. Sparaliżowana bólem ręka zwisła wzdłuż ciała. Voy ryknął i szarpnął się. Drugi z oprawców pacnął go w otwarte usta zmieniając wargi w dwa cienkie płaty krwawiącej tkanki.

– Będziemy szli, co, serdeńko? – zapytał ten trzymający pod ramię.

Szarpnął Voyem i powlókł za sobą. Nie przejmował się tym, że kolana Littehearta wybijają skomplikowany rytm na stopniach, że wysoki metalowy próg rozdarł materiał lichych spodni i zdarł skórę na kolanach. Wyłamał Voyowi ramię ze stawu wrzucając ofiarę do budy poduszkowca.

Tego, że były tam prócz niego jeszcze trzy spore beczki, które przez cały czas podróży turlały się po podłodze, bez przerwy najeżdżając na Voya, ten ostatni nie pamiętał.

Odzyskał przytomność pod wpływem kubła zimnej wody. Siedział pod ścianą przemoczony do suchej nitki, twarz pulsowała bólem, ognista obręcz otaczała staw barkowy, tępe ostrze wbite w żołądek tamowało oddech. Voy zaskowyczał cicho i zwalił się na lewy bok. Od uderzenia głową w twardą podłogę krople wody z rzęs opadły i zobaczył, że ściany sporego pokoju zasłonięte są sprzętem, na widok którego przestał kontrolować odruchy fizjologiczne. Pejcze, baty, pałki, kajdany, łańcuszki, kilka poplątanych wyciągów zwisało z sufitu. Parę szaf i cztery dziwnej konstrukcji fotele dopełniały umeblowania. I duży stół prawie w centrum pomieszczenia. Stół o niewątpliwie specyficznym przeznaczeniu. Pod przeciwległą ścianą czekali już dwaj giganci i wysoki, prawie tak wysoki jak oni, ale dużo chudszy – facet. Cała trójka ubrana była w opięte kombinezony. Ich połysk świadczył o tym, że są wodoodporne. Voy zrozumiał, że łatwo je opłukać, na przykład z krwi.

– To kofmar... – Szarpnął się i usiadł. Zmiażdżone wargi poruszały się niezależnie od woli. Oddychał ze świstem, co kilka sekund wyrywał się z gardła jęk. – Ch...chr... e-ych... paowie... ch... za so? Fecies... ja... nikomi...

Jeden z goryli westchnął i oderwał się od ściany. Zerknął na chudego i zapytał:

– Wypierniczę mu? Czy potem?

Chudy cmoknął z niezadowoleniem i pokręcił głową. Splunął na podłogę.

– Przesz, kurza dupa, wiesz, że najpierw zakładamy wibrator, nie? Musi być urozmaicenie, samo mordobicie nie załatwia zlecenia. – Klepnął jednocześnie obu pomocników w brzuchy. – Dawajcie go na fotel i będziemy zaczynać.

Podszedł do pomalowanej na biało szafki i zdjął z najwyższej półki błyszczący aparacik, podłączył do niego dwa przewody i obejrzał się na pomocników.

– No? Otwórzcie mu gębę. – Pogonił ich skinieniem głowy.

– Co się będziemy spieszyć? – mruknął ten stojący wciąż jeszcze pod ścianą. – Facet będzie bawił u nas trzy tygodnie. Boję się, że zabraknie dla niego zabawek.

– To wtedy Vogelmeister się nim zajmie. Na razie za wcześnie się tym przejmować. Niech wytrzyma tyle, ile tu jest – charknął soczyście i splunął znowu na podłogę.

Voy zemdlał.

—Koniak? – MacIvor przechylił głowę pokrytą szpakowatą, obowiązującą na jego stanowisku, czupryną i uniósł butelkę pytającym gestem ponad blat barku.

Voy zacisnął dłonie na poręczach fotela. W lewej, pozbawionej czwartego palca, lekko zakłuło. Rozwarł zaciśnięte wargi.

– Ty bydlaku! – wycedził. – Z torbami pójdziesz, faszysto! Myślisz, że koniaczek załatwi sprawę? Mówiłem twoim katom, że to pomyłka, ale ci sadyści...

– Pa-a-nie Litteheart – śpiewnie powiedział MacIvor. – Ustalmy jedno – pan zamówił... – Uniesioną dłonią powstrzymał protest Littehearta. – Niech pan da skończyć! Zamówił pobyt w naszej firmie, zaraz to udowodnię... – wskazał ręką biurko – ...pobyt na trzytygodniowym seansie, o proszę: działania manualne, bodźce piro, „zapach pustyni", „przedsmak małżeństwa", teraz tak... – przebiegł oczami stronę – ...działania specjalne: masaż totalny, wibratory, przedmuch, psychojeż, „organy Torquemady"... Dalej... Dwutygodniowe leczenie, jak widzę udane. – Popatrzył na Voya, rzucił kartkę na biurko i podszedł do stolika. Stawiając butelkę odchylił wskazujący palec i wskazał nim lewą dłoń Littehearta. – To też jest w umowie. Wszystko pan otrzymał – Wzruszył ramionami.

Wrócił do biurka po papiery i położył je przed Voyem. Zlecenie. Numer konta. Trzy tygodnie. Okaleczenie. Leczenie. Voy chwycił kieliszek i wlał zawartość w gardło.

– To absurd – wytchnął z siebie. – Nie znoszę fizycznego bólu. Mogłem umrzeć. – Pokręcił głową. Poczuł, że łzy wściekłości napływają mu do oczu. – Nie jestem idiotą, do cholery!

– Motywacje naszych klientów nas nie interesują. – MacIvor uśmiechnął się miło. – Oczywiście, większość to lubi, ale – niech mi pan wierzy – bardzo często potem, w tym gabinecie, wysłuchuję całej masy skarg, gróźb, obietnic zemsty. Ile razy musiałem wzywać chłopaków... – Zrobił smutną minę i westchnął lekko.

Voy poczuł wściekłe łomotanie w skroniach, powietrze zgęstniało nagle i oparzyło płuca. MacIvor spokojnie

przyjrzał się klientowi, sięgnął do butelki i cienkim strumyczkiem zalał dno kieliszka Voya.

– Niech pan wypije – powiedział. – Podpisze pan zlecenie wypłaty i rozstaniemy się. Chyba, że chce pan od razu, na gorąco, zamówić następny seans.

– Czy pan sobie kpi? – wrzasnął Voy. – Przez jakieś idiotyczne nieporozumienie spędziłem w tej katowni trzy tygodnie i mam zamawiać jeszcze jeden seans? Jestem szczęśliwy, że w ogóle żyję.

– Zaraz. – MacIvor uniósł dłoń i cofnął głowę w ramiona. – Skoro naprawdę źle się pan bawił, trzeba było zerwać kontrakt. Straciłby pan trochę pieniędzy, ale skoro...

– Jak? – Litteheart zerwał się z fotela i zawisł nad MacIvorem. – Przecież dopóki ci oprawcy nie rozwalili mi gęby na miazgę, dwadzieścia razy mówiłem im, żeby się ode mnie odczepili. Ja... – Zatrzepotał dłońmi.

– Niech pan nie udaje, Litteheart! – MacIvor podniósł odrobinę głos. – Dość tej komedii. Przecież po to uzgadnia się hasło, żeby w każdej chwili można było przerwać seans. Prawie wszyscy klienci w pewnej chwili zaczynają wrzeszczeć, że mają dosyć, ale to są dobrze znane gierki. Dopiero podanie uzgodnionego hasła powoduje zerwanie kontraktu. I pan dobrze o tym wie. – Plasnął dłonią o poręcz fotela i wstał.

Litteheart na kilka sekund zamarł unieruchomiony falą furii.

– Ależ... Ludzie! Nic takiego nie wiem! Nikt ze mną nie uzgadniał hasła!

Poderwał się z fotela i zacisnął pięści. Dotarło do niego, że w ciągu trzech tygodni przez jakieś głupie niedopatrzenie ból atakowanych wibratorem zębów rozsadzał mu czaszkę, że zdychał z pragnienia, że wszczepione w kilku punktach ciała „korniki" szarpały mu nerwy tak, że głuchł od własnego wycia, że...

– Zawaliłeś sprawę, MacIvor! – ryknął. – Formalności nie były dopełnione do końca – chlipnął i przesunął się krok do rozmówcy. – Zabiję cię!

– Spokojnie, bo się ruszę! – usłyszał z tyłu. Zamarł, jakby go oblano szybkoschnącym betonitem.

MacIvor szybko podszedł do biurka i skinął na Litteheaita. Trzęsąc się jak w febrze, mdlejąc ze strachu, obejrzał się do tyłu. Coffin i Vogelmeister stali po obu stronach drzwi. Na sflaczałych nogach dotarł do biurka i nie czytając ani litery, złożył we wskazanym miejscu podpis.

– Nie pamięta pan hasła? – zapytał MacIvor. – Zdarza się. To było: „Dajcie mi whisky". Zresztą... – obszedł biurko, usiadł w fotelu i wystukał kilka cyfr na klawiaturze teleterminala – ...teraz to już chyba nieważne, praw... – przerwał. – Halo? Tu MacIvor, proszę sprawdzić konto pana Voya Litteheaita... Czekam... – Puknął kilka razy palcem w biurko wskazującym palcem. – Tak? Jest pani pewna? – Zerknął na zesztywniałego w przeczuciu jakiejś biedy Voya. – Dobrze. Dziękuję.

Uderzył palcem w oparcie fotela, wciągnął dolną wargę pod górną. Chwilę patrzył w sufit, rzucił okiem na Litteheaita i przesunął spojrzenie na pomocników.

– Nie ma pokrycia – powiedział zdumiony. – Al-le numer...

Z tyłu coś pisnęło, chyba podeszwa na śliskiej wykładzinie. Litteheart rzucił się w kierunku okna, po drodze złapał stojącą na brzegu biurka metalową statuetkę przedstawiającą karła z wykrzywioną bólem czy smutkiem twarzyczką i zatrzymał się opierając plecami o taflę szyby.

– Nie podchodźcie – wychrypiał. Statuetka dygotała w uniesionej dłoni. – Zabiję, przynajmniej jednego zabiję. Nic nie stracę, mam dość.

– Przecież musi pan zapłacić. – MacIvor ruchem palca popędził zbirów. – Jeśli nie ma pan pieniędzy, to spłaci pan, odbywając jeszcze jeden seans z podglądem. Mamy klientów, którzy uwielbiają oglądać takie rzeczy. Spłaci pan dług i po kłopocie. A teraz żegnam, mam trochę spraw...

Coffin i Vogelmeister skoczyli jednocześnie. Voy zamachnął się zapominając o szybie, brzęk rozbijanego szkła zlał się z jego rykiem. Wił się w imadłach dłoni katów, wrzeszczał i kopał. Usiłował gryźć.

– Nie! Błagam! MacIvor, litości. Odpracuję wszystko. Wyjaśnię w banku... Zrobię wszystko!!!

– Poczekajcie! – MacIvor zerwał się z fotela i podszedł bliżej, nie na tyle jednak, by Voy mógł go sięgnąć nogą. – Co pan proponuje?

– Nie wiem, cokolwiek – zaterkotał Litteheart. – Wszystko, będę... no, nie wiem... sprzątał?...

– Bez żartów – zarechotał MacIvor. – Musiałby pan sprzątać tu ze dwa wieki, nasze usługi kosztują sporo. Puśćcie go.

Voy zachwiał się i zatańczył starając nie upaść. Trząsł się i chlipał. Szczękały mu zęby i czuł lodowatą bryłę między przełykiem i kroczem. Strużka śliny chlusnęła na kołnierz marynarki.

– Może... – wystękał, nie mając pojęcia co powie dalej. – Może...

– No? – zainteresował się MacIvor.

– Boż-że... E-e... Uh-m-m... – Czuł, że zostało mu już tylko kilka sekund. I zastanawiając się jak uniknąć katowni zażądał nieoczekiwanie. – Zaraz... Już... Dajcie mi whisky!

– Brawo! – MacIvor podskoczył w miejscu i klasnął w dłonie. – To mi się podoba. – Uśmiech zajął całą jego twarz. – Dziękuję. – Wskazał zbirom drzwi.

Litteheart spazmatycznie dysząc patrzył na wychodzących gigantów. I na ich szefa. Znowu na drzwi. Dłonią roztarł po twarzy łzy i ślinę.

– Dziwi się pan? – uprzejmie zapytał szef firmy „Cierpienie uszlachetnia". – Padło hasło, nawiasem mówiąc, to uzgadnianie hasła to kłamstwo. Nie ma możliwości przerwania seansu. To tylko taki mocny akcent na zakończenie współpracy, tak samo jak debet na koncie. Teraz to już naprawdę koniec. Niech pan przyzna – pochylił się do Litteheaita – zadziałało? – Prawda? No. Żegnam pana. – Zerwał się i prawie wyszarpnął Voya z fotela. Uścisnął bezwładną dłoń Litteheaita i pchnął lekko w kierunku drzwi.

Czekała tam już sekretarka. Po kilkunastu krokach przekazała go hostessie. Prowadzony przez szczupłą szatynkę dotarł do drzwi prowadzących na ulicę. Oszołomiony, nie zauważając nikogo ani niczego, wrócił do budynku, skąd zabrali go pracownicy „Cierpienie uszlachetnia". Dygotał i chciało mu się śpiewać i tańczyć, i krzyczeć. Nie czuł lekkich ukłuć bólu odzywającego się czasem w poszczególnych częściach ciała. Zrozumiał, że taka właśnie jest euforia. Zachichotał. Skręcił w bramę i wbiegł na kilka schodków. Zatrzymał się gwałtownie i pacnął otwartą dłonią w czoło. Uśmiechając się szeroko zbiegł z powrotem i drugim wyjściem wyskoczył w mały zaułek. Ciągle uśmiechnięty wsunął się w otwarte drzwi gallabastera super, a kiedy Irb zamknął za nim drzwi i gładko wsunął się za kierownicę, Litteheart wyszarpnął z zapalniczki papierosa, a z lodówki gigantyczną szklankę, w której leniwie zafalował gęsty honeyghost.

– Do domu, panie Litteheart? – zapytał Irb kierując limuzynę w stronę wylotu uliczki.

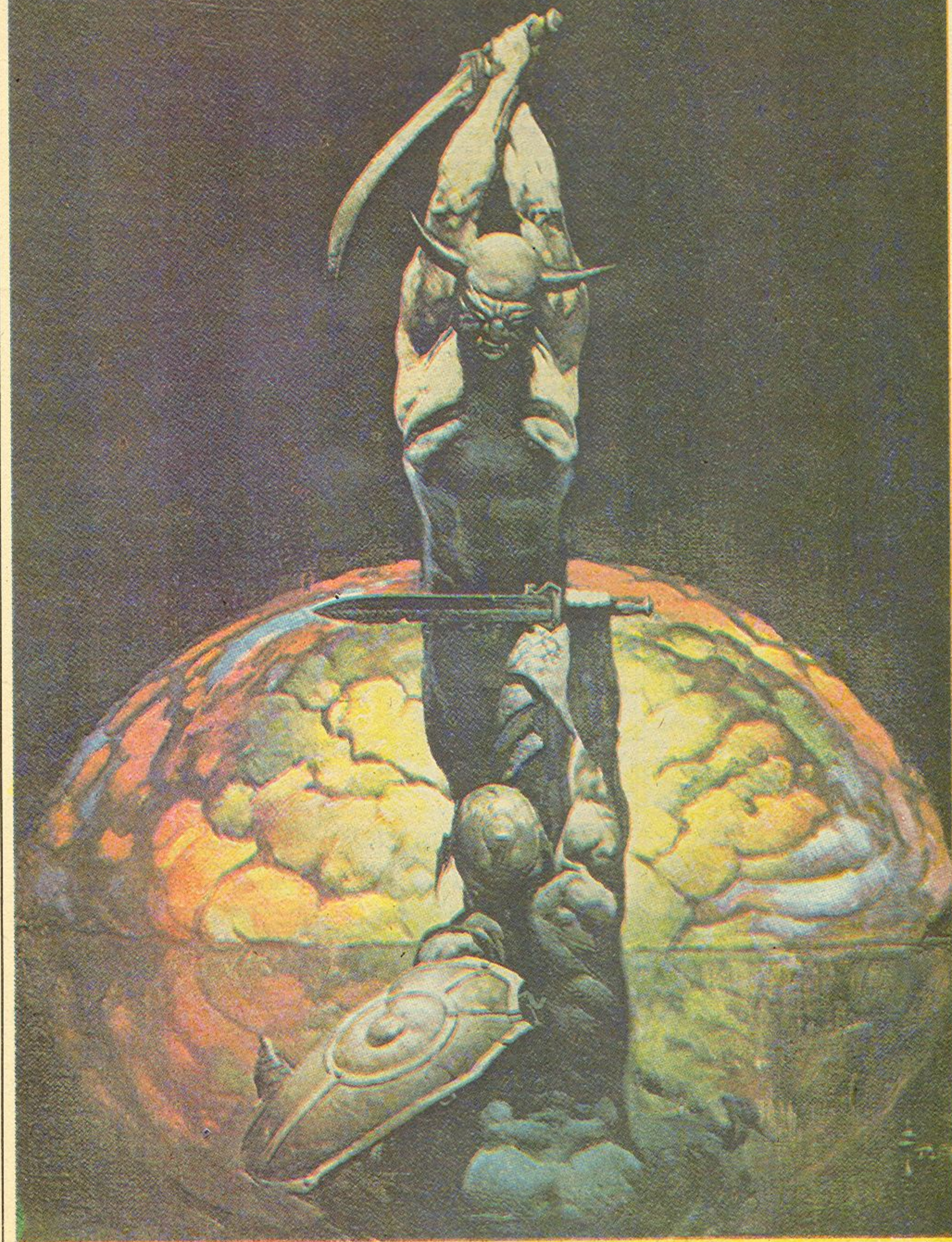
– Yhy – Voy rozwalił się na siedzeniu. Oszroniona szklanka przyjemnie chłodziła rozpalone palce lewej dłoni. Cztery palce.

– Czy mogę zapytać, jak się udał wypoczynek?

– Och Jezu, Irb. Wspaniale. Po prostu – wspaniale!

czerwiec 1986

Eugeniusz Dębski


FRANK
FRAZETTA

Reportaż naszego harkadyjskiego wysłannika, Andrzeja Marchewkowskiego

pt. „TUWAKS DO SPECJALNYCH PORUCZEŃ"

Kapitan Fernandez od ośmiu lat zajmuje się przemytem. Dostarcza on na swoim statku broń Murzynom O Wyzwolenie Walczącym.

Agenci Imperializmu starają się mu w tym przeszkodzić. W tym celu zakradają się na statek w przebraniu karabinów, by móc później, na pełnym morzu, zaaresztować kapitana i całą jego załogę, składającą się również z Murzynów.

Kapitan jednak nie przejmuje się tym. Tuż przed rozpoczęciem kolejnego rejsu dzwoni do Tuwaksa. Ten zjawia się błyskawicznie i wyrzuca agentów Imperializmu za burtę.

W jaki sposób ich wykrywa, tego nie wie i nie będzie wiedział nigdy nikt. To jedna z rzeczy, które przerastają nasz sposób myślenia.

Kiedy Tuwaks kończy wyrzucać agentów, kapitan Fernandez używa go jako syreny okrętowej, gdyż na jego statku brak takowego urządzenia.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Powiadają, że gdy Lantan Aktynowicz i Chłop z Czeladzi przybyli do Harkadyksu, księżniczka Ojcharka uwięziona przez Krwawego Olichara

HOTLYSS HOTLAND

przedstawia:

w Ciemnej Wieży na odległej o dwieście mil wyspie Konchar zobaczyła ich przez swą dalekosiężną lunetę. Tknięta przeczuciem, zatelefonowała do Tuwaksa, aby przysłał jej tych bohaterów. Dzień później, gdy Lantan i Chłop spacerowali po harkadyjskim molo, Tuwaks wzburzył olbrzymią falę, która porwała ich i zaniosła na Konchar, do księżniczki Ojcharki.

W jaki sposób to zrobił, tego nie jest w stanie pojąć nawet Pan Bóg, gdyż Jego umysł jest na to za ciasny.

Trzeba dodać, że zarówno Lantan Aktynowicz, jak i Chłop z Czeladzi nie potwierdzili swojej I Klasy Bohaterskiej – pierwszy nie potrafił zagrać w piłkę z Krwawym Olicharem, a drugi zachować się w Towarzystwie.

Oczywiście księżniczki nie uwolnili.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Tuwaks ma dopiero dwanaście lat, a już jest znany i szanowany w całym Harkadyksie. Jedyną osobą niezadowoloną z niego jest jego nauczyciel. Daje nam on do porównania dwa podpisy Tuwaksa. Jeden pochodzi z czasów, gdy Tuwaks miał siedem lat i rozpoczynał dopiero naukę w szkole. Drugi pochodzi z poprzedniego tygodnia.

Oto pierwszy podpis: + + +

A oto drugi: + + + + + + + + + + + + + + +

★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★

K.Z.O. – opowieść pt. „CAŁA PRAWDA O STWORZENIU ŚWIATA"

1. Dawno temu, za pięcioma górami, dwunastoma morzami, czternastoma rzekami i jednym lodowcem żył sobie wesoły Amerykanin Wabiro.
2. Żył tak sobie i żył, aż powstał huk wielki i z nieba spadły cztery wielkie pociągi kosmiczne.
3. A w pociągach tych przylecieli Forpentowie – nie śmiertelni ludzie z gwiazd.
4. A wśród Forpentów znajdowała się przecudna dziewczyna, Mossie, córka Wielkiego Maszynisty, co pociągami kierował.
5. I stało się, że Mossie pokochała Wabiro, a on pokochał ją.
6. A w osiem miesięcy później Wabiro i Mossie urodził się syn Tevinor.
7. Przez dwa lata Wabiro i Mossie żyli szczęśliwie w przytulnym domku na brzegu rzeki Meissory.
8. Aż nadszedł czas i Wielki Maszynista rozkazał przygotować się do odlotu.
9. Mossie wraz z synem udała się do kosmicznego pociągu i odleciała na zawsze.
10. A biedny Wabiro długo machał chusteczką.
11. Mijały lata.
12. Aż kiedyś Wabiro porzucił swój domek nad rzeką Meissory i udał się do wielkiego miasta Fallidelve.
13. I podjął tam pracę w Fabryce Części Zamiennych, a należała ona do okrutnego amerykańskiego burżuja, Mudenko.
14. Ale żal mu było utraconej Mossie i nie pracował zbyt dobrze.
15. Dużo natomiast pił.
16. I oto raz po pijanemu wygadał się swojemu koledze z fabryki, że Forpentowie odlatując podarowali mu w prezencie różne tajemnice, ale on nie chcąc narobić nimi szkody zakopał je w swym ogródku nad rzeką Meissory.
17. Kolega pokiwał głową, a następnie poszedł do Mudenko i powtórzył mu słowa Wabiro.
18. Mudenko wynajął specjalny samolot i poleciał wraz ze związanym Wabiro do jego domku nad rzeką Meissory.
19. A gdy się tam znalazł, biciem i groźbami wymusił na Wabiro, by ten wskazał mu miejsce, gdzie są zakopane tajemnice.
20. W ten sposób tajemnice Forpentów stały się własnością okrutnego Mudenko.
21. A była wśród nich jedna, mówiąca, jak stworzyć wielkiego, niezwyciężonego olbrzyma.
22. I oto pewnego razu, nocą, gdy wszyscy spali, Mudenko wyszedł na ulicę z dziwnym przyrządem.
23. I włączywszy go powiedział: „Tigru paeu bont fr sarumilu zzk kk!!!"
24. Zatrzęsło, zawyło i przed Mudenko stanął niezwyciężony, potworny Olbrzym.
25. „Słucham twoich rozkazów" – powiedział do Mudenko.
26. „Zniszcz na razie to miasto, a potem zobaczymy" – rzekł Mudenko Olbrzymowi i zadowolony poszedł spać.
27. Całą noc Olbrzym dudnił i hałasował, niszcząc miasto Fallidelve.
28. Biedny Wabiro, którego Mudenko uwięził w piwnicy swego pałacu, był przerażony.
29. Pomyślał z trwogą: „Co tu zrobić, by uratować świat? O, Forpentowie, gdybyście wiedzieli, co przyniosły wasze tajemnice..."

30. I oto stał się cud: pojawił się przed nim Kosmiczny Telefon, cały ze złota i drogich kamieni.
31. Wabiro wykręcił numer planety Forpentów i krzyknął do słuchawki: „Ratunku! Olbrzym..."
32. Zdołał powiedzieć tylko tyle, gdyż w następnym momencie łapa Olbrzyma zacisnęła mu się na gardle i zadusiła go.
33. Lecz jego telefon nie pozostał bez echa.
34. Dwa dni później na Ziemię przyleciał specjalny wagon kosmiczny, a w nim syn Mossie i Wabiro – Tevinor.
35. Miał on wówczas już dwanaście lat.
36. I gdy Tevinor ujrzał w piwnicy pałacu Mudenko swego ojca zaduszonego przez Olbrzyma, poprzysiągł zemstę.
37. Tupnął raz – i pałac Mudenko stanął w ogniu.
38. Tupnął dwa razy – i Mudenko wyjąc skoczył z osiemdziesiątego piętra swego pałacu, zabijając się na miejscu.
39. Tupnął trzy razy – i pojawił się przed nim Olbrzym.
40. „Za karę, żeś zabił mojego starego, giń!" – wykrzyknął Tevinor.
41. I oto wielki, potworny Olbrzym eksplodował.
42. A z Ziemi po tym wybuchu zostało tylko trochę pyłu.
43. Zaś Tevinor powiedział: „Stworzę nową Ziemię – może będzie lepsza".
44. I stworzył.
45. W sześć dni.
46. A siódmego dnia odpoczął.

★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★

HOTLYSS HOTLAND przedstawia:

Reportaż Finku Ginku Wiśniewskiego z Instytutu KAKU pt. „SUMBARBURI – PŁYN NIEKTÓRYCH DZIECI"

Skład chemiczny płynu Sumbarburi nie jest znany. Próby jego zbadania poczynione przez Instytut KAKU się nie powiodły. Próby jego zbadania poczynione przez prof. W. W. Georgisa nie powiodły się również.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Pewnego razu w mieście F. lekarz M. zrobił bardzo bolesny zastrzyk dziewczynce W. Dzień później koleżanka dziewczynki W., Dziewczynka V. nalała płynu Sumbarburi do strzykawki lekarza M. Strzykawka zaskoczyła lekarza M. za jego biurkiem i pokłuła go tak, że wykitował. Pochowano go na cmentarzu w R.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Zdarza się, że kilku silniejszych chłopców napada na słabszego i go bije. Wtedy ten słabszy skarży się kolegom. Ci wpadają w gniew i smarują się płynem Sumbarburi. Pozwala im to pokonać tych silniejszych. Każdemu bowiem wrogowi siły odbiera zapach płynu Sumbarburi.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Czasami zachodzi następujący zbieg okoliczności: synek lub córka nie lubią tatusia, zaś tatuś jest kierowcą. Ten zbieg okoliczności jest niedobry dla tatusia, bowiem synek lub córka wlewają do zbiornika paliwa jego auta kieliszek płynu Sumbarburi. Tatuś wyjeżdża i zderza się z trzecim napotkanym po drodze autobusem PKS.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Dzisiaj już trudno straszyć dzieci żołnierzem. Bo często zdarza się, że dziecko posmaruje swój dziecinny łuk płynem Sumbarburi. I jak żołnierz przyjdzie zabrać niegrzeczne dziecko, to strzała przebije mu kolejno hełm, czaszkę i mózg.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Pewnego (ale innego niż poprzednio) razu na plaży w A. chłopiec K. pokłócił się z ratownikiem Z. Rozzłoszczony, wpuścił do morza parę kropel płynu Sumbarburi. Natychmiast pojawił się rekin. Ratownik Z., widząc go, rzekł: „Ha, ha, ha. Pożre on wszystkich, co się kąpią. A mnie nie, bo stoję na plaży. Ha, ha, ha". Rekin jednak wyszedł z morza i ratownik Z. nie miał już szans.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Czasami dziecko dodaje regularnie płynu Sumbarburi do pożywienia mamusi i żarcia tatusia. W ten sposób uzyskuje gwarancję, że mamusia i tatuś nie będą widzieć jego zabaw. A są to zabawy naprawdę ciekawe. Oznaką takiego traktowania mamusi i tatusia są ich słowa kierowane do znajomych: „Nasze dziecko jest grzeczne".

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

Nie ma żadnego antidotum na płyn Sumbarburi. Dowód tego twierdzenia po raz pierwszy przeprowadził A. Jojkowski z Instytutu KAKU. Był on doktorem, a więc to prawda.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

MICHAŁ MECHANIK OPOWIADA O DZIELNICY ZARDZEWIAŁYCH

Dzielnica Zardzewiałych Lamp jest dzielnicą robotniczą; ponieważ i ja tam mieszkam, również jestem robotnikiem. Dzielnica ta charakteryzuje się dużą ilością zardzewiałych latarni ulicznych, napędzanych nie jarzeniówkami, lecz żarówkami. Stare Babki W Trepkach wierzą w czarodziejską moc tych lamp. Jako przykład przytaczają następującą historię.

Trzy lata temu Dzielnicę Zardzewiałych Lamp odwiedziła wycieczka Samotnych Matek z Dziećmi. Podczas zwiedzania jedno z dzieci, dwunastoletni chłopiec, zerwało jedną z najbardziej Zardzewiałych Lamp. Na widok takiego zbezczeszczenia majestatu Dzielnicy jeden z najstarszych robotników, Wacek Zbrojarz-Betoniarz, upadł na kolana i wykrzyknął: „O, Zardzewiałe Lampy! Ukarzcie zuchwalca, co poważył się was obrazić!". W nocy, gdy chłopiec poszedł się wysiusiać (wycieczka nocowała podobno u Staszka Niewykwalifikowanego), jedna z zepsutych Zardzewiałych Lamp rozjarzyła się nagle Magicznym Blaskiem. Na krzyk chłopca jego matka wybiegła go ratować. Chwyciła go, ale w tym momencie czarodziejska siła Zardzewiałej Lampy pociągnęła ich oboje w stronę starego drzewa rosnącego na podwórzu u Staszka. To był ich koniec, zostali wchłonięci przez drzewo.

Dwoje ludzi i jedno drzewo połączyło się w jeden organizm. Tak opowiadają stare Babki W Trepkach, ale ja w to nie wierzę. Chociaż drzewo na podwórzu u nieżyjącego już Staszka Niewykwalifikowanego ma rzeczywiście dziwny wygląd. Pokryte jest nie korą, lecz różową skórą, pod którą widać żyły, a od czasu do czasu wydobywa się z niego krzyk: „Ja już więcej nie będę!"

■





FRANK FRAZETTA

MANEWRY PRZEDWAKACYJNE

Roman Wysogląd

Można mieć wszystko. Dziesięć palców, poczucie humoru, lekkiego zeza, ale czuć się nieszczególnie.

Można latać w kosmos nie mając czym nakarmić społeczeństwa, kochać nie znając osobiście przedmiotu uwielbienia

Można także – w szczególnych przypadkach – mówić o przyszłości zupełnie nie wiedząc czym się to je.

Tak mniej więcej rozmyślał sobie pewien buchalter stojąc w kolejce po bilety do leżenia na pociąg, który za dwa i pół miesiąca miał zawieźć jego rodzinę w odległy zakątek kraju.

Była sobota, wczesne popołudnie. Kasę otwierano w poniedziałek punktualnie o ósmej, miał więc dość czasu na zastanowienie się, czy to dobry pomysł w ogóle gdzieś jechać.

Podobnie myślało dziewięćdziesiąt procent z sześciuset osób usiłujących doczekać do poniedziałku bez większych ubytków zarówno na ciele, jak i na rozumie.

– Dzisiaj trzeci maja – nagle przekrzykując tumult odezwał się właściciel jednego z ostatnich miejsc w kolejce – dziadek twierdził, że źle skończę, ale nie przypuszczałem, iż dostąpię takiego upodlenia.

– Przecież jako emeryt ma pan zniżkę – właścicielka okularów oraz sztucznej szczęki zaczęła bronić pryncypiów.

– W dupie mam takie ulgi – nie dawał za wygraną.

– To po co pan stoi?

– Ze strachu. Przed żoną.

Zaczął padać deszcz i temperatura trochę opadła, ale gdy po parasolach zostały już tylko wspomnienia na powrót się zakotłowało.

– Nie mogą dołożyć kilku pociągów? – naiwność parowała jak ropa, gdy nie posiada się silosa.

– Przecież brakuje węglarek. Nie ogląda pani telewizji?

– Po bajce wyłączam, o czwartej muszę przecież być pod sklepem, inaczej smak świeżych bułeczek będę znała tylko ze słyszenia.

Koło północy większa część tłumu zasnęła. Słychać było chrapanie oraz kilka budzików nastawionych na świt.

– Pan nie śpi? – stojący za buchalterem mężczyzna oparł się o wiatrak.

– Boję się snów. Bywam w nich zupełnie kimś innym niż jest to w rzeczywistości, przez co gdy wstanę trudno mi się odnaleźć. Trwa to od dnia, gdy złożyłem maturę. Nawet wojsko, małżeństwo i dzieci nie potrafiły mnie uzdrowić. Próbowałem z innymi kobietami, ale to tylko pogarszało sprawę. We własnym domu można nie spać, ale gdzie indziej?

– Może skoczymy na jednego? Za rogiem jest „Feniks".

– Mam wszystko przy sobie. Żona wyekspediowała mnie jakbym co najmniej wybierał się na tamten świat. Nie zapomniała nawet o kajaku.

Rozłożył stolik, nakrył go serwetą. Dwa krzesła, termos i butelka dopełniły reszty.

Podnieśli kieliszki, odbiły się w nich Sukiennice, milicyjna budka oraz zmęczone, bezbarwne, zrezygnowane twarze takich samych idiotów jak oni.

– Dokąd się pan wybiera?

Wypił, strzepnął kilka niewidocznych kropel ośmielających się nie wpaść do gardła.

– Nigdzie. Przez dwa tygodnie kiedy rodzina jest na wakacjach nie wychodzę z domu. To czas darowanej wolności. Szkoda tylko, że czas tak szybko mija.

Obok nich pokłócono się przy grze w karty, trochę dalej zawiązał się krótki, chaotyczny, nieskonsumowany romans, jeszcze gdzie indziej umarł jakiś amator wędrówek po pustych plażach i nie mytej od nowości ubikacji.

Leżał teraz przykryty przeczytaną gazetą i już nie martwił się, czy i dla niego wystarczy biletów.

– Wie pan, mogłem mieszkać w miejscowości Stradfield w Connecticut, ale podobno czteroosobowe rodziny posiadają tam po siedem samochodów. To nie dla mnie. Jak w takich warunkach realizować podstawową tezę życia, czyli skromność? ...Kochała mnie, nauczyła się nawet mówić po polsku, ale ożenił się z nią mój kolega. I nie narzeka. Mają troje dzieci.

– Ale za to nie wiedzą jak wygląda Rynek w nocy z perspektywy kolejki.

– I myśli pan, że przez to nie jeżdżą na wakacje?

– Nie wiem, nigdy nie byłem zakochany w cudzoziemce. Co prawda moja żona pochodzi ze wsi oddalonej od mojej o kilka lat, ale to chyba nie to samo. Jak się panu wydaje?

Pozbył się go krótkim, niezauważalnym ciosem i spokojnie stał sobie dalej. W dole kolejki wybuchła awantura czy radio może być włączone na cały regulator. Panowała przecież cisza nocna.

I tak dalej, aż do momentu, gdy z pobliskiej fasady domu spadł napis o wyższości pracy nad lenistwem.

– Chyba przymocowano go w czynie społecznym – powiedział pewien młody człowiek na głos i już po chwili kolejka zmniejszyła się o jedną sztukę.

Zapadło kłopotliwe milczenie, ale przybyli właśnie nowi chętni i zapomniano o ideologicznych kłopotach. Po prostu życie znowu zajęło się sobą.

Niedzielny ranek minął sennie, tylko kilka osób dopytywało się, czy w kolejce nie ma księdza, gdyż przecież nie można kończyć lub jak kto woli, zaczynać tygodnia bez mszy, ale nikt się nie przyznał.

W południe kilku mężczyzn odeszło.

– Niech się dzieje co chce, jest przecież mecz – powiedzieli i tyle było ich widać.

– Jezus Maria – krzyknął w pewnej chwili podstarzały laluś – zamiast pieniędzy zabrałem legitymację związkową, czy mogą mi państwo zarezerwować kolejkę?

Odpowiedziała mu cisza, która ułożyła się w zdanie „nieobecni nie mają racji".

I trwał ten marazm aż do wieczora, gdy w końcu słońce skryło się za pobliskimi knajpami, ludzie, którzy nigdzie nie chcieli wyjechać lub mieli już bilety przestali się ze stojących naśmiewać, gdy Rynek pokrył się w dostatecznym stopniu niedopałkami i śmieciami – wtedy odetchnęli.

Jeszcze tylko jedna noc i po kłopocie. I wtedy właśnie ruszyła do boju plotka, że od poniedziałku „Orbis" idzie do remontu, a bilety będą sprzedawane w Nowej Hucie.

– To prowokacja – krzyczano nie zdając sobie sprawy co to znaczy – jak można tak kpić ze świata pracy.

– Przecież nie pracujemy, tylko stoimy – odważył się dać głos ktoś trzeźwo myślący, ale zaraz wdeptano go w chodnik.

– Może pojedziemy do mnie? – Kobieta, która się odezwała do buchaltera, nie mogła mieć więcej jak troje wnuków. – Bardzo mi się pan podoba. Przyznam, że stoję wyłącznie, by poznać jakiegoś chłopa. W normalnych warunkach nie mam już najmniejszej szansy, ale tutaj, po upływie trzydziestu godzin zaciera się różnica między tym co piękne a tym co jeszcze nie nazwane. Cały rok z niecierpliwością czekam na ten miesiąc, kiedy mam największe pole do popisu. Cały urlop przeznaczam na te kolejki. To mój żywioł.

Niestety nie skorzystał z tej szansy. Perspektywa spędzenia samotnych dwóch tygodni była silniejsza od dotykania spoconego ciała i wysłuchiwania infantylnego szczebiotu o wyższości żyjących i kochających nad tymi, którzy już teraz stoją w zupełnie innej kolejce.

– Nic nie szkodzi – powiedziała – tak łatwo nie rezygnuję.

Już po godzinie zauważył jak wlecze do taksówki słaniającą się postać.

Co będzie miała z niego za pożytek? Przecież on zaraz uśnie, pomyślał, ale zaczęto właśnie odczytywać listę obecności i zgłosił się jako jeden z pierwszych do odpowiedzi na pytanie o najnowsze odkrycie geograficzne.

Noc minęła w miarę spokojnie. Co prawda zaczepiały ich obrzydliwe pedały, robiąc całkiem jednoznaczne propozycje, ale straż porządkowa, która ukonstytuowała się już w sobotnie południe szybko dała sobie z nimi radę. Deszcz nie padał, sen jakoś przezwyciężył, udało mu się nawet skoczyć do toalety nie tracąc miejsca w kolejce.

Koło szóstej rano napięcie sięgnęło zenitu. Bano się nieprzewidzianego remontu, sprzysiężenia pracowników „Orbisu" i wszystkiego, co irracjonalnie tkwi w człowieku.

Pobito nawet kierownika lokalu, gdy ten tuż przed ósmą nieopatrznie i bez uprzedzenia pojawił się na czele kolejki, przez co otwarcie kas przedłużyło się o godzinę. I dwa kolegia.

Dokładnie za piętnaście minut dwunasta, w poniedziałek, piąty dzień maja, stał się posiadaczem trzech miejsc leżących w kierunku morza na wymarzony tak przez niego, jak i rodzinę dzień w połowie lipca. I to wszystko, gdyby nie liczyć wystawnego obiadu, jakim podjęła go żona, gdy w końcu doczołgał się do domu.

A w oznaczony na bilecie dzień, gdy z tobołkami zjawili się na dworcu, okazało się, iż wagonu numer 2 nie ma.

Po prostu, jak poinformował przez trzeszczący głośnik miły głos, z przyczyn technicznych nie został on podstawiony.

Wrócił wtedy taksówką do domu i gdy żona rozpakowała dzieci, a teściowa płakała, napisał prośbę o zwolnienie ze wszystkich społecznych funkcji jakie piastował.

Lecz nie wysłał jej, zdał sobie przecież sprawę, że za rok znowu są wakacje i perspektywa dwóch tygodni w zupełnej samotności była o wiele silniejsza niż chęć zemsty, ale mimo wszystko dokonał jej – na sobie.

Przenieśli się mianowicie na działkę. Mieszkając przez czternaście dni na powierzchni trzech metrów kwadratowych w czwórkę, przypomniał sobie jak przyjemnie było pod „Orbisem".

Przestrzeń, spokój i luz. Także psychiczny.

Umberto Eco (ur. 1932) – jeden z czołowych, współczesnych teoretyków literatury – jest profesorem semiotyki (interdyscyplinarnej nauki o znakach) na uniwersytecie w Bolonii. Debiutował w roku 1956 rozprawą na temat średniowiecznej estetyki. Autor wielu prac naukowych, szeroko znanych i komentowanych w Europie, m.in.: „La struttura assente" („Nieobecna struktura"), „Le forme del contenuto" („Formy treści") i najbardziej popularnego, fundamentalnego „Trattato della semiotica generale" („Traktatu semiotyki ogólnej"). W Polsce Umberto Eco znany jest zwłaszcza z dwóch książek: „Dzieło otwarte" i „Pejzaż semiotyczny" wydanych nakładem PIW-u, które spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem czytelników i weszły do kanonu lektur uniwersyteckich.

Autor „Pejzażu semiotycznego" jest również beletrystą. Debiutował stosunkowo późno – w roku 1980. Ogromną sensację wzbudziła jego książka „Imię róży" („Il nome della rosa"), wydana przez Bompianiego, która w dwa lata później (1982) osiągnęła półmilionowy nakład i uzyskała francuską nagrodę Medicis (fragmenty tej książki przedrukowało u nas „Pismo Literacko-Artystyczne", 1983/9 i „Literatura na Świecie", 1983/7).

Wszechstronność zainteresowań Umberto Eco może naprawdę imponować. Autor „Dzieła otwartego" jest zapalonym badaczem mechanizmów kultury masowej. Tę ostatnią pojmuje w kategorii faktu komunikacyjnego, a semiotykę wykorzystuje jako narzędzie opisu norm społecznych, szczególnie przydatne tam, gdzie dominuje wierne przestrzeganie kodu, a ambiwalencja, niedookreślenie, otwartość zostaje zastąpiona jednoznacznością sensów, banalnością przekazów. Nie więc dziwnego, że zainteresowania Umberto Eco sięgają literatury trywialnej, prasy codziennej, komiksu, piosenki – sposobów komunikacji dalekich od arcydzieł pojmowanych jako zerwanie z normą, problematycznością, wieloznacznością (prace „Apocalittici e integrati" – „Katastrofiści i przystosowani"; „Il supercuomo di massa" – „Masowy nadczłowiek" – fragmenty tej ostatniej drukowało „Pismo Literacko-Artystyczne – 1984/1).

W jednym ze szkiców ostatnich lat pisze Umberto Eco o – kontrowersyjnie przyjmowanej – prozie fantastyczno-naukowej, bada jej genezę na tle innych gatunków literackich: eutopii, utopii i antyutopii, wspomina wreszcie o roli, jaką pełni SF we współczesnej kulturze i zarysowuje ogólne wyznaczniki definicyjne. Nie trywializuje przy tym założeń samej SF – przeciwnie – obciąża ją bogatymi sensami kulturowymi ukazując specyficzne mechanizmy działania w opozycji do innej formy ludzkiej aktywności – nauki.

Esej, który przedstawiamy na łamach naszego miesięcznika ukazał się we fragmentach na łamach „Times Literary Supplement". Pełną wersję tekstu, sygnowaną przez Umberto Eco, tłumaczoną przez adiunkta italianistyki Uniwersytetu Warszawskiego – Radosława Kłosa, drukujemy za zgodą autora. (an)

Nauka i fantastyka

Umberto Eco

Przyjęto się zaliczać do literatury science fiction pisarzy różnorodnych, byle tylko opisywali światy przyszłe, utopie, słowem jakieś Outer Space. W takim ujęciu literatura fantastyczno-naukowa byłaby jedynie współczesną formą romansu („romance") lub wręcz romansu rycerskiego, w którym zaczarowane zamki i smoki zastąpiono pojazdami kosmicznymi i obcymi nam potworami. Czy możemy jednak aż do tego stopnia rozszerzyć nasze pojęcie literatury SF, nie wspominając – choć ogólnikowo – o istocie epiki, mitu, o elementach pikaryjskich?

Od najdawniejszych czasów istnieje, w opozycji do prozy tak zwanej realistycznej, proza zmierzająca do stworzenia światów „strukturalnie możliwych", gdyż, rzecz jasna, każdy utwór prozą – najbardziej nawet realistyczny – współtworzy świat możliwy, ukazując ciąg postaci i zdarzeń, dla których zując ciąg postaci i zdarzeń, dla których brak odpowiednika w świecie naszej rzeczywistości. Nazwijmy „światem realnym" lub „światem normalnym" świat, w którym żyjemy lub w którym zakładamy, że żyjemy, a którego obraz zgodny jest z potoczną definicją rzeczywistości lub z encyklopedią kulturalną naszych czasów – choć nie jest powiedziane (nauczał tego Berkeley), że jest on rzeczywisty i choć często zwykliśmy uważać, że stanowi zaprzeczenie wszelkich norm. Narracja realistyczna zawsze oparta jest na ciągu zdarzeń warunkowych nierzeczywistych („controfattuali") typu „co by było, gdyby we Francji wieku XIX rzeczywiście istniał osobnik wiernie odpowiadający Rastignacowi lub też gdyby ktoś inny zwany Montechristo wpłynął na kursy giełdy paryskiej, przekazując wiadomości za pomocą telegrafu optycznego"? Zdarzenia opowiedziane „realistycznie" zawsze są sprzeczne z faktografią świata rzeczywistego: proza realistyczna opiera się na zdarzeniach nierzeczywistych w rodzaju „co by było, gdyby w świecie biologicznie, kosmologicznie i społecznie podobnym do normalnego zaszły wydarzenia, które wprawdzie nie wydarzyły się, lecz nie przeczą logice świata realnego"?

Narracją realistyczną rządzą te same mechanizmy, jakie stwarzamy my sami, gdy wypełniamy naszą codzienną egzystencję zdarzeniami nierzeczywistymi: „co by się ze mną stało, gdybym w tej chwili zaprzestał pisania tego eseju, przerywając mój tok myśli?"

Różnica między prozą fantastyczną a realistyczną polega na tym, że świat możliwy jest strukturalnie odmienny od świata realnego. Posługuję się terminem „strukturalny" w znaczeniu bardzo szerokim: może odnosić się on zarówno do struktury kosmologicznej, jak i do struktury społecznej. Świat Ezopa jest strukturalnie różny od świata realnego jedynie z punktu widzenia biologicznego lub zoologicznego; świat królestwa słońca i księżyca Cyrana de Bergerac cechują istotne różnice kosmologiczne względem świata realnego; natomiast tym, co różni Nową Atlantydę Bacona od naszego świata jest – zasadniczo – jego struktura społeczna. Możemy więc powiedzieć, że pierwiastek nierzeczywisty w literaturze fantastycznej jest następującego rodzaju: „co by się zdarzyło, gdyby rzeczywistość nie była podobna do siebie samej, gdyby – słowem – jego struktura była odmienna?"

I tutaj przed literaturą fantastyczną otwierają się różne drogi:

- **Allotopia**. Zakłada, że nasz świat jest rzeczywiście odmienny od tego, jakim jest, czyli że zachodzą w nim zjawiska, które zazwyczaj nie mają miejsca (zwierzęta mówią, istnieją czarnoksiężnicy i wróżki): allotopia tworzy więc świat alternatywny i sprawia, iż jest on bardziej realny od świata realnego, do tego wręcz stopnia, że jednym z zamierzeń narratora jest chęć przekonania czytelnika o tym, że świat fantastyczny jest jedynym prawdziwie realnym. Więcej jeszcze: typowe dla allotopii jest to, że wyobraziwszy sobie świat alternatywny, przestaje nas interesować jego relacja ze światem rzeczywistym, z wyjątkiem oczywiście znaczeń alegorycznych.
- **Utopia**. Zakłada, że ten możliwy świat jest przedstawiony równolegle do naszego, że gdzieś on istnieje, choć w normalnych warunkach jest dla nas nieosiągalny. Taki kształt przyjmuje zazwyczaj opowiadanie utopijne, zarówno wtedy, gdy utopia pojmowana jest jako projekcja, jako ukazanie społeczności idealnej – przypadek to Thomasa Moore'a – jak i wtedy, gdy pojęta jest ona w sensie karykaturalnym, jako ironiczna deformacja naszej rzeczywistości – przypadek Swifta. Świat ten mógł istnieć w przeszłości, może też zaistnieć w przestrzeni, w miejscu bardzo odległym. Występuje zwykle jako model tego, jakim powinien być świat realny.
- **Uchronia**. Utopia może przekształcić się w uchronię; w tym przypadku element nierzeczywisty przyjmuje następujący kształt: „co by się wydarzyło, gdyby to, co rzeczywiście się zdarzyło, przebiegłoby inaczej – gdyby na przykład Juliusz Cezar nie został zamordowany podczas Idów marcowych?" Dysponujemy wspaniałymi przykładami historiografii uchronicznej, której celem było wytłumaczenie zdarzeń, jakie złożyły się na naszą historię.
- **Metatopia i metachronia**. I wreszcie, świat możliwy ukazuje pewien etap z przyszłości dzisiejszej rzeczywistości: świat możliwy, do jakiego stopnia nie byłby różny od świata realnego, pozostaje światem możliwym (i prawdopodobnym) właśnie dlatego, że przemiany, jakim podlega, stanowią uzupełnienie tendencji rozwojowych świata realnego. Ten typ literatury fantastycznej zdefiniujemy jako powieść wyprzedzenia i posłużymy się tym pojęciem dla precyzyjniejszego określenia fantastyki naukowej.

Nie wykluczam, że istnieć mogą opowiadania zwane SF, które funkcjonują także jako opowieści pierwszego typu (allotopijne), czyli jako baśnie. Fantazjuje się w nich na przykład o jakimś świecie przyszłym, a nawet świat ten ukazywany jest jako odległa konsekwencja tego, co zachodzi w naszym świecie, jednak główny nacisk położony jest na stan iluzoryczny i złudny ukazanego świata. Są to opowieści, których istota nie polega na ustaleniu, w jaki sposób dany świat stał się możliwy, lecz na wyszukaniu związków wewnątrz tego świata. W tym sensie mówić można o space opera lub o historiach w stylu „bugeyed monsters", a przykładem ukryty fantastyczno-naukowy charakter noweli neogotyckiej. Narracja zachodzi bezwzględnie w świecie wyprzedzanym, lecz brak refleksji

nad samym wyprzedzeniem. Wobec podobnych historii wystarczy postawić sobie pytanie czy to, co się dzieje, nie mogłoby zdarzyć się w Earthsea, trylogii Urszuli Le Guin (która z pewnością nie jest fantastyką naukową, choć jest wspaniałym romansem), by móc wyznaczyć linię demarkacyjną czystej fantastyki naukowej.

Podobnie, istnieją historie zwane fantastyczno-naukowymi, które przynależą do drugiej kategorii przez nas wyodrębnionej – do opowiadania utopijnego. Rzecz jasna, istnieje fantastyka naukowa światów paralelnych. Myślę jednak, że można znaleźć sposób na określenie, czy historia światów paralelnych jest fantastyką naukową czy też nie. W fantastyce naukowej świat równoległy jest zawsze wytłumaczony przez istniejące rozdarcia, pęknięcia w tkance przestrzenno-czasowej, natomiast w klasycznej utopii jest on wyłącznie trudnym do zidentyfikowania niemiejscem, odległym zakątkiem (nawet przeszłym i zaginionym) naszego świata fizycznego. Ten rodzaj prozy utopijnej całkowicie odsuwa zagadnienie umiejscowienia oraz kosmologicznej możliwości zaistnienia świata opisanego na rzecz jego rozdysponowania, czyli tego, co się w nim dzieje – stanowi zwierciadło naszych nadziei i naszych rozczarowań. Kiedy natomiast fantastyka naukowa mówi o światach równoległych, bardziej interesuje ją kosmologiczna możliwość (i paradoksy, jakie z tego wypływają), niż same treści. Prawdą jest, że klasyczne utopie przewidują jeden tylko świat równoległy, natomiast SF zainteresowana jest mnogością realizujących się równoległych światów i możliwością wzajemnego ich przenikania (zob. na przykład Fryderyk Brown, „What Mad Universe"). Jak też zobaczymy, warunkiem wytłumaczenia tych kosmologicznych możliwości jest antycypacyjny charakter opowiadania. Możliwość tę nadała ekstrapolacja poza znane prawa kosmologiczne.

Nie koniec na tym; dysponujemy dobrymi przykładami uchronicznej fantastyki naukowej, w której – dzięki konkretnemu odkryciu naukowemu – nie tylko można cofnąć się w przeszłość, można również zmodyfikować jej istotne momenty, z wszystkimi paradoksami, jakie mogą z tego wyniknąć. Powiedziałbym jednak, że nawet wtedy, gdy science fiction przeobraża się w story-fiction (pamiętam powieść, w której bohater, przeniesiony w przeszłość, stał się Leonardem da Vinci), podmiotem fantastyki naukowej jest nie tyle przeobrażony bieg historii, ile mechanizm jego przeobrażania, kosmologiczna możliwość podróży wstecz, czyli problem „naukowy" tworzenia możliwej historii, opierający się na tendencjach rozwojowych świata realnego.

Z science fiction jako autonomicznym gatunkiem literackim mamy do czynienia wtedy, gdy spekulacja nierzeczywista, dotycząca świata strukturalnie możliwego, przeprowadzona jest przez ekstrapolację z tendencji rozwojowych świata realnego czystej możliwości świata przyszłości. Słowem, fantastyka naukowa przyjmuje kształt wyprzedzenia, a wyprzedzenie przyjmuje kształt przypuszczenia sformułowanego na podstawie tendencji rozwojowych świata realnego.

Samo pojęcie „nauki" rozumieć tu należy – naturalnie – w możliwie najszerszym znaczeniu: to znaczy, błędem byłoby ograniczenie jej jedynie do przypuszczeń opartych na naukach fizycznych, wykluczając nauki humanistyczne: socjologię, historię czy lingwistykę. Dysponujemy interesującymi przykładami fantastyki socjologicznej (jak „The Space Merchants" Pohla i Kornblutha) czy fantastyki lingwistycznej (jak „Shall We Have a Little Talk" Sheckleya), w których czytelnik nie wdaje się w dociekania dotyczące prawdopodobieństwa technologicznych wymysłów (pojazdów kosmicznych i tym podobnych), będących jedynie pretekstem dla usprawiedliwienia podróży w dane miejsce lub możliwości zaistnienia pewnego stadium rozwoju naukowego: istotny jest w nich fakt, by umotywowany został, w jakiś sposób, pewien proces rozwojowy, społeczny lub językowy.

Przyczyna, dla której kładę nacisk na fantastykę naukową rozumianą jako proza oparta na przypuszczeniach, jest prosta: dobra literatura fantastyczno-naukowa jest z naukowego punktu widzenia interesująca nie dlatego, że przedmiotem jej są cuda techniki – aspekty te mogą zostać całkowicie pominięte – lecz dlatego, że stanowi ona literacką grę dotyczącą samej istoty wszelkiej nauki, a więc jej głównej cechy, którą jest procedura oparta na przypuszczeniu. Innymi słowy, fantastyka naukowa stanowi narrację hipotezy i abdukcji, w takim też znaczeniu jest ona grą naukową par excellence, gdyż wszelka nauka opiera się na przypuszczeniach, czyli na abdukcji, zgodnie z definicją tego pojęcia, sformułowaną w ubiegłym stuleciu przez Charlesa Sandersa Peirce'a.

Weźmy jeden przykład z Peirce'a. Załóżmy, że leży przede mną torebka pełna białej fasoli. Mogę ustanowić Prawo, że „wszystkie nasiona fasoli z tej torebki są białe". Poznawszy to Prawo, stwarzam Przypadek tego Prawa (wyciągam z torebki garść fasoli). Nie patrząc nawet na nie, drogą Dedukcji, mogę zawyrokować o Rezultacie: „wszystkie fasole z tej torebki są białe (Prawo) – ta garść fasoli pochodzi z tej torebki (Przypadek) – a więc fasole, jakie trzymam, są (muszą być) białe (Rezultat)".

Indukcja zakłada, że nie wiem, co znajduje się w torebce. Wkładam tam rękę, wyciągam parę razy po garści fasoli (Rezultat) i widzę, że zawsze jest ona biała. Mogę więc wnioskować, że wszystkie Rezultaty, które sprawdziłem doświadczalnie są Przypadkiem możliwego Prawa i że wszystkie fasole z torebki są białe.

Całkowicie zbędne jest zastanawianie się nad ryzykiem metody indukcyjnej: przez ostatnie stulecia obszernie je roztrząsano. Zastanówmy się, co dzieje się w przypadku Abdukcji (warto uprzedzić, że rozpatrzymy skrajny przypadek abdukcji, najbardziej śmiały i wyczerpujący). W przypadku abdukcji stoimy wobec Rezultatu, którego nie sposób wyjaśnić (dlaczego na stole znajdują się białe fasole? skąd się wzięły?) i staramy się ustanowić takie Prawo, które, w sytuacji gdyby Rezultat stanowił Przypadek danego Prawa, był on całkowicie wytłumaczalny. Zakładam więc pewne Prawo (wszystkie fasole w tej torebce są białe) i pewien Przypadek (fasole, znajdujące się na stole, pochodzą z tej torebki) zakładam wręcz ścisłą między nimi korelację, a Rezultat staje się w ten sposób racjonalny.

I jest to proces myślowy oparty na przypuszczeniach, charakterystyczny dla wszelkich rewolucyjnych odkryć naukowych. Kepler przejął od swoich poprzedników, że orbity planet są koliste. Odkrywa (osobliwy Rezultat), że Mars, poruszając się, przechodzi przez dwa punkty x i y, które nie mogą być punktami okręgu. Rezultat nie byłby osobliwy, gdyby założyć, że x i y są punktami innej krzywej (pierwsza abdukcja) i że krzywa ta odpowiada krzywej, po której poruszają się wszystkie planety (druga abdukcja). Kepler zakłada, że krzywa, po której porusza się Mars, jest elipsą. Musi teraz, rzecz jasna, zweryfikować swoją Abdukcję Dedukcją, w której zakłada słuszność przyjętego Prawa. Wysuwa założenie eliptyczności orbity i czeka, aż Mars przejdzie przez punkt z, będący punktem elipsy, na której leżą punkty x i y. Mars pojawia się w punkcie z. Naukowiec wysunął przypuszczenie, będące niemal zakładem, i wygrał.

Oczywiście uprościłem procedurę. Interesuje nas jednak fakt, że również detektyw postępuje według podobnego schematu; staraliśmy się wykazać to w tomie „The Sign of Three" (edited by U. Eco et A. Sebeok, Indiana University Press).

Ciekawe, że Peirce posłużył się terminem „abduction", który przywołuje na myśl pojęcie „induction" i „deduction", natomiast w języku angielskim oznacza „the unlawful carryinf away of a woman". W „abduction" zawarta jest więc myśl o przywłaszczeniu sobie.

I rzeczywiście. Rozumowanie przez przypuszczenia odpowiada rozumowaniu przez analogie, rozumowanie zaś przez analogie oznacza posługiwanie się modelami. Przez analogię strukturalną obwód hydrauliczny służyć może za wzór dla obwodu elektrycznego (lub odwrotnie). W obydwu przypadkach rezultat jest wynikiem „przywłaszczenia sobie" pojęć z innej dziedziny.

Co ma wspólnego abdukcja z logiką światów możliwych? Widzę na stole garść fasoli. Na stole leży torebka. Co każe mi powiązać leżącą na stole fasolę z torebką? Mógłbym postawić sobie pytanie, czy aby fasola nie wzięła się z jakiegoś pudełka, lub czy nie położył jej tam ktoś, kto przyszedł z zewnątrz. Skoro uwaga moja skupia się na torebce (lecz dlaczego na tej właśnie torebce?), oznacza to, że w mojej głowie rysuje się już zalążek wiarygodnego rozwiązania. Wiarygodność ta może być pojęta jako organiczna forma, którą przybiera możliwy świat.

Czyli: zakładając się o wynik naszego przypuszczenia, przyjmujemy, że gdyby rzeczy potoczyły się tak, jak założyliśmy, wszystko byłoby dobrze wyważone i harmonijne. Newton założył, że gdyby we wszechświecie ciała przyciągały się wprost proporcjonalnie do mas i odwrotnie do kwadratów odległości, cały szereg zagadnień, począwszy od przyciągania ziemskiego, a skończywszy na rozlicznych prawach mechaniki ciał niebieskich, stałby się zrozumiały i możliwy do wytłumaczenia w sposób racjonalny. Oparty na przypuszczeniu zakład naukowca, który musi on następnie poddać weryfikacji przez próbę wykazania fałszu własnej hipotezy, jest tego rodzaju, że gdyby świat realny był analogiczny do świata, jaki założył, zyskałby on na racjonalności. Dopóki jednak nie udowodni wysuniętych przypuszczeń, prawo, które odkrył, pozostaje jedynie prawem świata strukturalnie możliwego.

W takim ujęciu każde zamierzenie naukowca (nie mam na myśli jedynie nauk fizycznych, lecz także hipotezy stawiane przez psychoanalityka, detektywa, filologa, historyka) stanowi grę o wysokim ładunku fantastyki naukowej. I przeciwnie, wszelka gra fantastyczno-naukowa oparta jest na niezwykle śmiałej formie przypuszczenia naukowego. Nauka wyprowadza Rezultat





ze świata rzeczywistego, lecz dla wyjaśnienia go tworzy Prawo (tytułem próby), które początkowo posiada wartość jedynie w świecie równoległym (dla naukowca stanowi on wyprzedzenie – świat modelowy). Natomiast w SF operacja ta jest symetrycznie przeciwna. Powracając do przypadku fasoli, SF powinna wyjść od pustego stołu, stwarzając następnie zdarzenie nierzeczywiste: „co by się stało, gdyby na stole znalazła się garść białej fasoli?" (przypadek ten staje się ciekawszy, jeśli założyć, że na stole znajduje się tłumek zielonych ludzików). Innymi słowy, SF, zamiast wyjść od faktycznego Rezultatu, zakłada Rezultat nierzeczywisty. Nie od razu wymaga się też sformułowania Prawa dotychczas nie istniejącego: można starać się wytłumaczyć możliwy rezultat za pomocą Prawa rzeczywiście istniejącego, natomiast nauka tłumaczy rzeczywisty Rezultat za pomocą możliwego Prawa.

Drugą oczywistą różnicę między dwoma metodami postępowania stanowi to, że nauka, założywszy prawo, próbuje natychmiast stworzyć warunki dla zweryfikowania go i /lub odrzucenia. Natomiast SF odsyła w nieskończoność zarówno weryfikację jak i negację. Nie zawsze różnica ta jest aż tak radykalna i zdarza się, że naukowcy często uciekają się do hipotez fantastyczno-naukowych, natomiast autorzy dzieł fantastyczno-naukowych, którymi nierzadko są ludzie nauki, spostrzegają, że przewidzieli to, co rzeczywiście później się wydarzyło. Autor utworów fantastyczno-naukowych jest, po prostu, nieostrożnym naukowcem, i często jest nim z powodu poważnych problemów natury moralnej (zwłaszcza gdy snuje przypuszczenia na temat zjawisk społecznych): przewidując i zapowiadając możliwą przyszłość, chce rzeczywiście ją odgadnąć. Możliwe jest przecież przyszłościowe wysunięcie prawa naukowego (odkrycie zabójczych substancji lub wyobrażenie przyszłości, na którą nie sposób przystać) po to właśnie, by odkrycia te nie zostały nigdy zrealizowane; substancje nie zostały nigdy wytworzone, a przyszłość nie sprawdziła się. W takim ujęciu (pomyślmy o „1984") literatura wyprzedza nie po to, by stworzyć bodziec, lecz dla zapobieżenia czemuś. W tych przypadkach fantastyka naukowa wciąż jawi się jako pokrewna nauce; pokrewieństwo to zestawić można z analogią między sekcją zwłok a zapobiegawczym lekarstwem: chyba że zwłoki, jeszcze nie istniejące, są „wyprzedzone", by uczynić nienawistną, organiczną przemianę, która mogłaby doprowadzić kiedyś do „urzeczywistnienia" tych zwłok.

I wreszcie, SF przypomina nam, że dynamika inwencji jest częstokroć podobna – tak w świecie sztuki, jak i w świecie nauki. Twórca przewiduje w trakcie swojej pracy możliwy organizm, który zamierza stworzyć (i pracując stawia „zakłady" co do rezultatu własnej, wyimaginowanej hipotezy). Naukowiec, by wymyślić „dobre" prawo, musi wystawić na próbę coś w rodzaju estetycznego talentu, spójne i racjonalne poczucie formy (zakładając, że wszechświat i natura też są artystami i wierząc, że rzeczywistość zechce kiedyś potwierdzić jego hipotezę). Tak czy inaczej sztuka przypuszczania stosowana jest zarówno w sztuce, jak i w nauce.

Fantastyka naukowa, miejsce zetknięcia się obydwu dziedzin działalności, w sposób szczególnie wyrazisty uwydatnia nam to pokrewieństwo.

Przełożył Radosław Kłos

Palce na pulsie

Parę lat temu jedno z warszawskich wydawnictw poprosiło mnie o sugestię wznowienia jednej jedynej książki Lema, która miała otworzyć nową fantastyczną serię. Przedsięwzięcie nie doszło do skutku, ale pamiętam, że bez namysłu wybrałem wtedy „Doskonałą próżnię". Teraz, kiedy książkę tę, w jednym tomie z „Wielkością urojoną", wznowiło Wydawnictwo Literackie, przypomnę z drobnymi zmianami swoje ówczesne argumenty, bo nadal uważam „Doskonałą próżnię" za jedną z ciekawszych, i najbardziej inspirujących, i najbardziej r y n k o w y c h, książek w dorobku Lema.

Wszystkie głośne powieści Lema są i były wielokrotnie wznawiane. To samo dotyczy jego opowiadań; czytelnicy znają je i poznawali w ciągu wielu lat w najprzeróżniejszych wyborach. Z kolei eseistyka naukowa i krytyczno-literacka („Summa Technologiae, „Filozofia przypadku", „Fantastyka i futurologia", „Rozprawy i szkice", „Dialogi") to wieloarkuszowe, grube tomy (wyjąwszy „Fantastykę i futurologię", która jest atrakcyjna choćby jako antologia streszczeń zachodniej SF w olbrzymiej mierze jeszcze nam nie przyswojonej) dla wyrafinowanych i wymagających, czyli mniej licznych odbiorców. Wszystkie one w dodatku były już i mają być wkrótce wznowione.

Dziwna sprawa, ale „Doskonałej próżni" żadne z tych przeciwwskazań właściwie nie dotyczy. Rzecz, wydana po raz pierwszy przed kilkunastu laty w „Czytelniku", od dawna nie istniała na rynku. Będąc książką na poły eseistyczną, na poły prozatorską – nie zestarzała się tak, jak naukowa eseistyka; przeciwnie literackie i społeczne intuicje Lema i teraz, po piętnastoleciu, lśnią pełnym blaskiem celnej intelektualnej diagnozy i częściowo zrealizowanego proroctwa. I zakamuflowanej publicystyczno-polemicznej kroniki swego czasu, to znaczy przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Pozostała „Doskonała próżnia" książką masową do czytania, co trudniej nieco powiedzieć o „Wielkości urojonej", stanowiącej kolejny krok na drodze „fikcji krytycznych" Lema – a mianowicie książki złożonej z samych wstępów do urojonych dzieł. Forma „Doskonałej próżni" daje ponadto możliwość uczynienia z książki bibliofilskiego cacka, gdyby zechcieć tekst zilustrować okładkami kilkunastu książek (bardzo różnorodnych książek), które Lem w swym dziełku wymyśla. Żaden z wydawców, nawiasem mówiąc, także zagranicznych, z możliwości tej nie skorzystał.

Czym jest „Doskonała próżnia"? To zbiór recenzji książek nie istniejących, których Lem pisać nie miał czasu, umiejętności bądź ochoty, ale których istnienie sobie wyobraził i błyskotliwie opisał ich treść i nawet częściowo funkcjonowanie w kulturze. Powiada Lem w przedmowie, że umożliwiła mu ta książka *„jednoczesne zaślubiny dwu sprzecznych duchów – beletrysty i krytyka"*. Otóż ślubów w tej książce jest więcej: Lem-fantasta idzie tu pod rękę z pisarzem głównego nurtu; klasyczny opowiadacz fabuł ze zwolennikiem gier formalnych w literaturze, kpiarz obok myśliciela pełnego powagi; humanista obok specjalisty od pomysłów technicznych i wielkich koncepcji ogólnonaukowych; „pisarz pod ścianą", któremu XX-wieczny autodestrukcyjny rozwój literatury powoli wytrąca pióro z pisarzem rezolutem i rezonerem, który na ten rozpad możliwości i wiary wynalazł sposób czy trik, żeby pióra jednak nie wypuszczać z ręki, żeby „nie dać się" zanikowi sensu, motywacji, wiary, czy kryzysowi pisarskiego powołania.

„Okazuje się książka opowieścią o tym czego się chce, a czego nie ma" – powiada Lem jeszcze we wstępie. Widać z tego wszystkiego, że jest to rzecz najbardziej chyba własna, najgęstsza w całym jego dorobku. Przecież na przykład w poszukiwanej „Fantastyce i futurologii" Lem streszcza, analizuje, wyśmiewa, chwali fabuły cudze; w „Doskonałej próżni" natomiast przedrzeźnia, prześwietla, krytykuje, rzuca na tło kulturowe – wizje, fabuły, gry literackie, przewidywania, odczucia wykreowane przez siebie. Jest to więc książka proponująca nam Lema niejako w pigułce i do kwadratu. Ta forma recenzji z wymyślonych książek okazała się płodna i bliska Lemowi także i później. Po latach przyciągnęła go przecież ponownie, czego dowodem wydana niedawno przez Wydawnictwo Literackie „Prowokacja". Lem w tych książkach pożera, czy może ssie własny ogon, ale co począć skoro jego ogon, przepraszam za dwuznaczność, jest najbardziej pożywny.

Recenzje książek nie istniejących, rzecz nieczęsta, choć znana w kulturze – Lem pisze o tym we wstępie. Sprowadza się to wszystko, tak czy owak, do dyskusji autora ze swoim czasem, do reagowania na jego mądrości (których w naszych czasach mało) i szaleństwa, wzloty i upadki. Lem mówi nam ciekawe rzeczy na temat intuicji naukowych, kosmologicznych, bądź kpi ze sztuki, socjologii, psychologii, urojeń teoretyczno-twórczych i wielu mód swego czasu. Jest to niezmiernie ciekawe, jako że powstała „Doskonała próżnia" na początku pewnej bujnej epoki, tuż tuż po przeróżnych gorących latach, wiosnach i jesieniach, które przeorały świadomość milionów w wielu miastach świata, dając początek tzw. kontrkulturze, przewrotowi obyczajowemu, inwazji łatwego seksu, a także niezbyt niestety długotrwałej poprawie stosunków między Wschodem i Zachodem. Obecne są też w książce świadectwa innych, czasem wcześniejszych mód czy szaleństw jak strukturalizm i nouveau roman (które Lem wyśmiewa i tępi), filmowa Nowa Fala i na przykład nasza moda na „Ulissesa"... Lem reaguje na to wszystko, ale nie wprost – znajdujemy w jego książce i ekologiczne lęki, i naukowe mody, i kulturowe intuicje, które potem nabierają ciała w dziełach modnych filmowców, eseistów bądź filozofów. Jest tych tropów sporo, nie chcę ich katalogizować, zwłaszcza że robili to już krytycy bardziej ode mnie systematyczni i wnikliwi (S. Bereś: „Powieść w tabletkach", „Fantastyka" nr 11/86). Tylko przykładowo powiem, że w recenzji „Sexplosion" są intuicje wiodące ku głośnym filmom lat siedemdziesiątych „Wielkiemu żarciu", „Dyskretnemu urokowi burżuazji" czy choćby sztuce Mrożka „Rzeźnia"; a „Nowa kosmogonia" prowadzi ku wydanej niedawno przez PIW „Grze" Eigena i Winklera. Lem trzymał palce na pulsie czasu, często bezbłędnie i z wyprzedzeniem łapał jego rytm – w tej książce trafia bardzo interesująco jako beletrysta skrzyżowany z krytykiem – obaj zwięźli, interesujący, pełni werwy.

Mówi się czasem o Lemie, zwłaszcza ostatnio, że jest, u nas przynajmniej, pisarzem wychodzącym z mody, że gorzej niż kiedyś nawiązuje kontakt z najmłodszym pokoleniem, że jest nieczytelny, za trudny. Boję się, że to może źle świadczyć nie o Lemie, tylko o częstym skarleniu kulturowych wymagań. Wystarczy spojrzeć na repertuar naszych i światowych kin – dzieje się ze światem coś niedobrego, grzęźniemy w prymitywnej rozrywce, i pewnie dlatego typ Lemowego mądrościowego pisarstwa, stawiającego wymagania sobie i innym, prześwietlającego wszystko bezlitośnie wprawia czytelników w zakłopotanie, może trochę odrzuca. Ale jak zwykle bywa, wahadło zainteresowań kulturalnych może zmienić położenie, zapragniemy czegoś innego i wtedy większość spostrzeże (ten proces już się zaczyna), że istniały książki broniące naszej kulturowej godności, gustu, rozsądku. „Doskonała próżnia" jest bez wątpienia jedną z nich i może nawet na tę nową sytuację trochę na czytelników poczekać.

Maciej Parowski

Stanisław Lem: *Doskonała próżnia. Wielkość urojona.* (Stanisław Lem – Dzieła). Wydawnictwo Literackie, Kraków 1985. Cena 200 zł.

Samotny myśliwy

Tom „Homo determinatus" Andrzeja Zimniaka jest ważnym wydarzeniem w naszej dość niemrawo rozwijającej się literaturze science fiction. Zimniak, po niewielkim tomiku w serii „Stało się jutro", opublikował teraz poważny i pokaźny zbiór pięciu utworów, który dowodzi, jakiego rodzaju talentem dysponuje autor i na jakich obszarach literackich chce się poruszać. Ta książka dobrze o nim świadczy również dlatego, ponieważ pokazuje, iż Zimniak nie staje do wyścigu próżności, jaki obserwujemy ostatnio w środowisku polskich autorów science fiction, że nie jest zainteresowany wyłącznie ilościowym zaistnieniem na rynku wydawniczym.

Z tomu „Homo determinatus" dałoby się z powodzeniem wykroić dwie lub trzy osobne książeczki, ale autor postanowił inaczej. Według mnie Zimniak jest autorem poważnie traktującym swoje pisarstwo i siebie jako pisarza. Zresztą nic z tego, co napisał nie wskazuje, iżby nie miał podstaw do takiego mniemania.

Fantastyka tworzona przez Zimniaka wyrasta z tych samych obszarów co twórczość Ballarda czy nawet Dicka i – co najważniejsze – niewiele lub zgoła wcale im nie ustępuje. Wśród naszych czytelników, krytyków, wśród nas po prostu, trwają ukryte kompleksy, żyje magia tych kilku wielkich nazwisk światowej fantastyki, które obezwładniają i wręcz nie pozwalają nikogo do nich porównywać. Tymczasem pora pożegnać się ze złudzeniami. I w Polsce żyją pisarze, którzy są w stanie dorównać wielkościom wylansowanym pod innym niebem. Przecież science fiction jest tylko literaturą rozrywkową, wymaga przede wszystkim sprawności warsztatowej i umiejętności myślenia. Talentami zaś świat obdzielony jest prawdopodobnie równo i regularnie. Reszta zaś jest literacką czy paraliteracką grą. Tam mają większe możliwości „nagłośnienia" pewnych nazwisk, mają też większy wybór nazwisk, lansują więc co i raz wielkości, przed którymi chylimy czoła, choć nie musimy. Pamiętam, że kiedy napisałem przed laty o którymś z naszych pisarzy SF, że uprawia odmianę fantastyki nazywaną inner space, to zaraz zaczęły sypać się jakieś docinki, półuśmieszki. Kiedy na innym literackim obszarze Henryk Bereza napisał, iż Drzeżdżon *„jest pisarzem wybitniejszym niż Llosa i Cortazar razem wzięci z Borgesem na przyczepkę"*, to nagle zapanowała taka wrzawa, jakby ktoś puścił bąka w salonie. Piszę o tym, bo wiem, co tzw. środowisko będzie szeptać po porównaniu Zimniaka do Ballarda i Dicka.

I tak jak proza tamtych autorów, tak i proza Zimniaka wymyka się jakiemuś skrótowemu zdefiniowaniu, nie poddaje się opisowi. To dobrze o niej świadczy, bo prawdziwa wielkość w sztuce zawsze jest jakby „poza" możliwościami wyartykułowania o niej wszystkich opinii, zawsze pozostawia coś dla siebie, co intryguje, niepokoi, pociąga swoją tajemniczością. „Homo determinatus" to właściwie zbiór dwóch mikropowieści i trzech opowiadań. Wszystkie te utwory w mniej lub bardziej wyraźny sposób dotyczą jednej podstawowej sprawy: granic ludzkiego świata fizycznego czy też może jeszcze lepiej będzie powiedzieć, że dotyczą zacierania się granic pomiędzy tym, co fizyczne i tym, co stworzone przez wyobraźnię. To oczywiście tylko przybliżenie do zasadniczego tematu tej prozy w przemyślny sposób wygrywającej wszystkie niuanse, jakie można na tym obszarze odnaleźć i wykorzystać, naruszającej nieustannie potoczne wyobrażenie o granicach ludzkiego świata i możliwościach ludzkiej duchowości. Jest to, jak wspomniałem, proza tego typu, że każda próba zreferowania tego, co w niej czytelnik odnajduje, kończy się klęską referującego, ponieważ nie da się przekazać nawet części aluzji, dwuznaczności na jakich wspierają się wszystkie fundamenty prezentowanych przez Zimniaka konstrukcji fabularnych. Prawdę mówiąc z przyjemnością poświęciłbym tej prozie nieco więcej czasu przy innej okazji, która jednak – o ile znam rynek literacki w tej dziedzinie – nie nadejdzie prędko.

Mówiąc więc krótko: wypada powitać książkę potwierdzającą istnienie w naszej fantastyce naukowej pisarza dużej klasy, pisarza innego, niż bardzo aktywne najmłodsze pokolenie tworzące atrakcyjne, awanturnicze fabuły. Proza Zimniaka nie epatuje akcją i jej tempem, ale jest wyprawą w głąb ludzkiego świata. Tym więc jego książka ważniejsza, że mało takich prób w polskiej science fiction.

Leszek Bugajski

Andrzej Zimniak: *Homo determinatus*. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1986. Cena 200 zł.

Żongler Silverberg

„Trylogia Majipooru" Roberta Silverberga nie jest serią całkowicie czytelnikowi polskiemu nieznaną – „Słoneczny świat planety Majipoor" gościł na łamach biuletynu literacko-krytycznego PSMF-u – kwartalnika „Feniks" (nr 4, 1985). Kiedy świat ten opisywałem po raz pierwszy, trylogia jeszcze nie istniała, a historia Majipooru, jakkolwiek niewątpliwie malownicza, na tle współczesnej literatury fantastycznej nie wyróżniała się niczym szczególnym. Dopiero pojawienie się trzeciego tomu, zatytułowanego „Valentine Pontifex" przeobraziło radykalnie jej kształt ujawniając to, co w dwóch pierwszych tomach ukryte było głęboko pod powierzchnią konwencji fantasy. Miejmy nadzieję, że ten niewielki „przełom" zwiastuje coś w rodzaju rewolucji w prymitywnej poetyce coraz bardziej popularnych, długich cykli literatury fantastycznej, choć prawdę mówiąc, nadzieje na jakiekolwiek drastyczne zmiany w tej dziedzinie nie są zbyt duże.

Zacznijmy od określenia, jakie składniki trylogii majipoorskiej sprzyjają kwalifikacji całego cyklu do podgatunku „fantasy". Nie trzeba szukać głęboko – akcja książek dzieje się na planecie skolonizowanej przez ludzi w zamierzchłej przeszłości sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat, a my śledzimy losy bohatera, który był tej planety władcą. W tomie pierwszym powieści „Lord Valentine Castle" ów bohater, Coronal – czyli po prostu król Majipooru, pozbawiony został podstępnie nie tylko władzy, lecz nawet własnego ciała, a jego umysł, z zatartymi częściowo prawdziwymi i wprowadzonymi na ich miejsce fałszywymi wspomnieniami, „przeszczepiono" w ciało nikomu nie znanego mężczyzny. Przy pomocy czarnoksiężnika, tłumaczki snów i trupy wędrownych żonglerów, składającej się zarówno z ludzi, jak i przedstawicieli innych galaktycznych gatunków, Lord Valentine odzyskuje władzę. W tomie drugim: zbiorze opowiadań zatytułowanych „Majipoor Chronicles" młody protegowany władcy imieniem Hissune wdziera się podstępnie do „rejestru dusz", czyli zapisu epizodów z życia i wspomnień obywateli planetarnej społeczności. Wcielając się w kolejne, najczęściej dawno zmarłe postaci przeżywa przygody z legendarnej przeszłości planety, poznając jej historię, geografię, obyczaje. W epilogu „Kronik" Hissune zostaje powołany do służby Coronala i może mieć nadzieję na to, że w bliżej nieokreślonej przyszłości sam zasiądzie na tronie. Wszystko do tej pory jest jasne i proste, mieści się dokładnie w ramach konwencji z jej nieodłącznymi stereotypami, do których należy także oczywisty happy end historii o wydziedziczonym królu, zstępującym pomiędzy prostaczków.

Znana niestety aż za dobrze pozorna logika serii nakazywałaby teraz uczynienie jej nowym bohaterem młodego urwisa, który w wyjątkowo szybki i szczęśliwy sposób przeszedł amerykańską drogą „from rags to riches" – z łachmanów do bogactwa. Na sympatycznego i łagodnego Valentine'a czeka zasłużona emerytura w postaci stanowiska Pontifexa, najwyższej i ukrytej w podziemnym labiryncie władzy, zaś sprytny i energiczny Hissune mógłby zająć się walką z zawsze gotowymi do buntu tubylcami Majipooru – Metamorfami, czyli Zmiennokształtnymi. Wprawdzie społeczeństwo planety żyje w kulturze „non violence", jest jednak zdolne do samoobrony, a powtarzające się regularnie, godne podziwu wysiłki Metamorfów próbujących odzyskać kontrolę nad swym własnym światem z punktu widzenia literatury fantasy z pewnością usprawiedliwiałyby ich konsekwentną eksterminację.

Dzieje się jednak inaczej i właśnie Valentine pozostaje bohaterem trzeciej i jak na razie ostatniej części serii. Po raz kolejny stawia czoła buntowi Metamorfów, którzy pod wodzą okrutnego Faarataa wypowiadają Majipoorowi totalną wojnę biologiczną, walcząc przy pomocy genetycznie zmutowanych drapieżnych zwierząt, niszczących rolnictwo planety. Krwawe jatki jednak nie następują: łagodny. Valentine próbuje negocjować z przeciwnikami, obiecując im zadośćuczynienie za krzywdy, których doznali podczas kolonizacji i ... ponosi klęskę za klęską. Jego nieudolność powoduje coraz większą i coraz groźniejszą zapaść systemu społecznego planety. Aby ratować sytuację Hissune zostaje zmuszony do zastosowania swego rodzaju szantażu, któremu Valentine ulega, dobrowolnie rezygnując ze stanowiska Coronala, przyjmując także władzę Pontifexa związaną z koniecznością zamieszkania w znienawidzonym, odciętym do świata Labiryncie. I na tym jednak nie koniec: choć myśl o wojnie jest mu głęboko wstrętna, były Coronal obejmuje dowództwo nad armią okrążającą rezerwat Metamorfów w celu znalezienia krwiożerczego Faarataa. Co więcej, właśnie on zada ostatni cios w tej wojnie: przy pomocy umysłów wysoce inteligentnych „morskich smoków" nawiąże telepatyczny kontakt z Faarataa i zabije go siłą swej myśli. Innymi słowy władca, który nie chce być władcą zostanie przez same okoliczności zmuszony do tego, by dwukrotnie uczynić to, czego najbardziej nie chce zrobić.

Tylko tyle, czy aż tyle? Silverberg-żongler żongluje i bawi się konwencją, najpierw w pełni pokazując umiejętność realizacji jej założeń, by później złamać ją w miejscu, w którym wydawała się najsilniejsza. W jego świecie wojny są niemal bezkrwawe, choć ohydne, władców przyciska do ziemi ciężar odpowiedzialności, której pragną się pozbyć, królowie rezygnują z rządów, by przekazać je zdolniejszym następcom, nawet czary i magia są kalekie, ułomne – uświadamiają problemy świata, lecz ich nie rozwiązują. Valentine jest pierwszym bohaterem fantasy, który skrojony został na miarę zwykłego człowieka i nie chce być bohaterem fantasy, jest pierwszym w tej literaturze bohaterem, wojownikiem i królem, który zostaje zmuszony do odgrywania każdej z tych ról. Potrafi w końcu doprowadzić do sojuszu ludzi i Metamorfów, osiąga szczyt potęgi, zostaje Pontifexem i udaje się do Labiryntu, choć nienawidzi tego, co robi. Jego odejściem kończy się trylogia Silverberga, a ci, którzy po ustąpieniu Valentine'a radują się przejętym po nim spadkiem władzy wydają się nagle nieco ułomni, jednowymiarowi i jako przystało na prawdziwych bohaterów fantasy, papierowi.

Krzysztof Sokołowski

Robert Silverberg: *Lord Valentine Castle*, London 1980, *Majipoor Chronicles*, London 1982, *Valentine Pontifex*, London 1984.

Miciński Tadeusz (1873–1918)

Poeta, dramaturg, prozaik, publicysta

Urodził się 9 listopada 1873 r. w Łodzi w rodzinie inteligenckiej pochodzenia szlacheckiego (jego ojciec był geometrą). Szkołę średnią ukończył w Warszawie. Studiował literaturę polską i historię na Uniwersytecie Jagiellońskim (1893–1895), następnie filozofię w Lipsku (gdzie był uczniem W. Wundta) i w Berlinie. Związany z krakowskim środowiskiem literackim, debiutował w 1896 r. na łamach „Ateneum" poematem „Łazarze" opisującym losy artysty – nędzarza. W tym samym roku otrzymał drugą nagrodę „Czasu" za nowelę „Nauczycielka" (pierwszą przyznano wówczas Kazimierzowi Tetmajerowi za „Księdza Piotra"). Znajomość z Wincentym Lutosławskim, którego poznał w Berlinie, zaowocowała zaproszeniem do Hiszpanii (1897–1898). Miciński prowadził studia nad mistyką i malarstwem hiszpańskim, interesował się towiańszczyzną, filozofią Platona i Fichtego. W Hiszpanii ożenił się z Marią Dobrowolską, córką bogatych ziemian z Białorusi. Po powrocie do kraju osiadł w Krakowie, przyjaźnił się ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem, Stanisławem Przybyszewskim, Wincentym Lutosławskim. Współpracował z krakowskim „Życiem". W 1902 r. ukazał się jego pierwszy (i ostatni) zbiór poezji (wydany nakładem autora) – „W mroku gwiazd". Kilka lat później, w najbardziej intensywnym okresie twórczości Micińskiego powstały: dramat „Kniaź Patiomkin" (1906), zbiór artykułów i szkiców „Do źródeł duszy polskiej" (1906), pamflet polityczny „Życie nasze" (1907), poetycki traktat polityczny „Widmo Wallenroda" (1908), dramat „W mrokach złotego pałacu, czyli Bazylissa Teofanu" (1909), powieść „Nietota" (1910), tom opowiadań „Dęby czarnobylskie" (1911), powieść „Ksiądz Faust" (1913). W tym samym czasie powstały również fragmenty prozy fantastycznej **„Mené–Mené–Thekel–Upharisim!... Quasi Una Phantasia"** (1913–1914) – opublikowane dopiero w 1931 r. w pierwszym – i ostatnim – tomie „Pism pośmiertnych Tadeusza Micińskiego", w cyklu I – „Lucyfer", pod red. Artura Górskiego i Czesława Latawca, z inicjatywy Instytutu Literackiego w Warszawie, nakładem Domu Książki Polskiej.

W czasie wojny bałkańskiej Miciński wyjeżdża do Sofii, jako korespondent tygodnika „Świat". W latach 1895–1918 przebywa w Moskwie i w Piotrogrodzie, gdzie zajmuje się publicystyką polityczną propagując braterstwo narodów słowiańskich w obliczu zagrożenia germańskiego. Działa w Kole Literacko-Artystycznym Domu Polskiego w Moskwie, jest oficerem oświatowym w korpusie generała Dowbora-Muśnickiego. W drodze powrotnej do kraju, w lutym 1918, zostaje zabity przez chłopów pod Czerykowem na Białorusi. Pochowany w Osadzie Małe Małynicze. W rękopisach zostawia wiele dramatów (m.in. „Termopile polskie. Misterium na tle życia i śmierci księcia Józefa Poniatowskiego" – powst. ok. 1914 r.) oraz wybór artykułów i szkiców. Pośmiertnie opublikowano jego poemat prozą „Niedokonany" (powst. ok. 1907 r. – wyd. w 1931 r. w jednym tomie z fragmentami fantastycznymi **„Mené-Mené..."**) oraz powieść „Wita" (opublikowaną w 1926 r.)

Twórczość Tadeusza Micińskiego z ogromnym trudem torowała sobie drogę do czytelników. Zbiór poezji „W mroku gwiazd" rozszedł się w minimalnym nakładzie (o liryce Micińskiego pisałem w „Fantystyce" 1984/9). Dramaty „Kniaź Patiomkin" i „Bazylissa Teofanu" nie mogły doczekać się wystawienia. Nawet w dwudziestoleciu międzywojennym, kiedy Miciński został patronem grupy literackiej „Zdrój" i Jerzy Stur kreował go na jednego z wieszczów narodu – inicjatywa Instytutu Literatury polegająca na wydaniu jego „Pism pośmiertnych" upadła z powodu obojętności czytelników. Niewiele zmieniła również głośna inscenizacja Schillera, który wystawił w 1925 r. „Kniazia Patiomkina"... Także i dziś, po wznowieniu prozy i poezji w opracowaniach Wyki, Prokopa, Lipskiego; po nowych inscenizacjach teatralnych – Miciński pozostaje autorem elitarnym i jego twórczość nie funkcjonuje w świadomości czytelników.

W oczach profesjonalistów jest autor „Księdza Fausta" pisarzem pełnym kontrowersji, jednym z poetów, którzy po dzień dzisiejszy pozostali „problematycznymi", bowiem nierówność dorobku utrudnia ustalenie ich pozycji w historii literatury. *„Jako poeta należy Miciński do tych wybitnych twórców, którzy odpychają przyciągając jednocześnie"* – twierdzi Mieczysław Jastrun. *„Jego »Ksiądz Faust« i »Nietota« są dziełami poronionymi i nie da się ich uratować nawet przy dalszym rozluźnianiu ocen literackich, ale przyszłość ocali z Micińskiego – obok dramatów takich jak »Bazylissa Teofanu« i »Kniaź Patiomkin« – kilkanaście olśniewających wierszy lirycznych. Wychowany na kresach wschodnich dawnej Rzeczpospolitej, Miciński wiele zawdzięcza sztuce bizantyjskiej, ale i malarstwu Böcklina. Typem metafory przypomina niekiedy Nervala. Jego Lucyfer nosi wyraźne ślady pokrewieństwa z Lucyferem w »Samuelu Zborowskim«. Chaos wieków kłębi się w jego utworach. Miciński jest najczystszym reprezentantem poezji mistycznej w Młodej Polsce".*

Cóż dodać do tych przemyśleń Jastruna? Apologeci Micińskiego – od Wilhelma Feldmana, Stanisława Brzozowskiego, Jerzego Stura, Stanisława Ignacego Witkiewicza po Edwarda Balcerzana, Marię Podraże-Kwiatkowską wskazują na oryginalność problematyki filozoficzno-religijnej, skomplikowaną symbolikę, wieloznaczność przesłania... Szydercy – do których zaliczyć można Stanisława Wyspiańskiego, Andrzeja Niemojewskiego – twierdzą, że forma jego utworów jest chaosem, zagadką, bezładem i anarchią. Dwaj „wielcy" autorzy epoki sportretowali Micińskiego w swoich dziełach: Wyspiański – w pełnym ironii obrazie Samotnika z „Wyzwolenia"; Witkacy – w kreacji Maga Childeryka w „622 upadkach Bunga". Warto pamiętać, że Witkacy uznał Micińskiego za swojego mistrza – przyjaźnił się z autorem „Nietoty", był z nim w Rosji, gdzie rzuciły ich burzliwe dzieje historii. Wiele utworów Witkacego rozwija katastroficzne diagnozy Micińskiego. To ważne.

A zresztą... jakże mamy oceniać literacki dorobek Micińskiego, skoro nie znamy wielu jego utworów pozostających do dziś w rękopisach? Jak głosi jedna z wersji zabójstwa autora „Nietoty" – Miciński w owym fatalnym dniu miał przy sobie zwitek rękopisów, nie chciał ich oddać, chronił przed zniszczeniem jak najdroższy skarb. Część literackiej spuścizny Micińskiego przywiózł do kraju w 1923 r. Andrzej Strug, ale i ona została rozproszona, znalazła się w rękach spadkobierców, rodziny, krytyków.

Z różnych, kontrowersyjnych opinii i spostrzeżeń wyłania się portret człowieka wyprzedzającego swój czas, próbującego łączyć tradycje polskiego romantyzmu z awangardowymi prądami literackimi XX wieku. Był Miciński autorem nierozumianym, ponieważ estetyka jego utworów nie mieściła się w żadnym z głównych nurtów młodopolskich: w programie modernistycznego estetyzmu Miriama, w indywidualistyczno-naturalistycznych enuncjacjach Przybyszewskiego. Autor „Nietoty" nie odrzucał żadnego z tych programów, po prostu tworzył inaczej: sięgał w stronę ekspresjonizmu i nadrealizmu, przeczuwał bądź zapowiadał kierunki, które miały dopiero nadejść. Ekspresjonizm i nadrealizm pojmował jako przemieszanie najrozmaitszych elementów stylistycznych, konwencji, poetyk, działanie dysonansów, współbrzmienie patosu i śmieszności w odpowiedzi na poczucie wyobcowania, zagrożenie, rozbicie i upadek wartości. W dramacie stworzył swoiste misterium filozoficzne mieszając sceny realistyczne i fantastyczne, wykorzystując technikę snu, teatralizację podświadomych stanów umysłu. W powieści ukazał dramat istnienia człowieka, wydobył ekspresję losów ludzkich za pomocą metafor, symboli. I tak jak w poezji został patronem ekspresjonistycznego „Zdroju", a echa jego koncepcji można odnaleźć jeszcze w liryce Czechowicza; tak i w dramacie dorównał reformatorom na miarę G. Craiga, A. Appi, S. Wyspiańskiego; w powieści zapowiedział wystąpienia St. I. Witkiewicza. Najciekawsza, wciąż aktualna, zadziwiająca precyzją określeń jest jednak nie tyle forma jego utworów (ta zawsze budziła zastrzeżenia – patosem starotestamentowych proroctw i kazań, nadmierną metaforyzacją opisów, komplikacją stylu), ile filozoficzna problematyka literackich wystąpień.

Miciński pojmował bowiem świat w duchu koncepcji manichejskich, jako walkę dobra ze złem, a koncepcje te łączył z wątkami mesjanicznymi i panslawistycznymi tworząc wizję na miarę „Króla ducha" Juliusza Słowackiego, swego literackiego patrona. Kluczem do rozwikłania owego systemu był problem lucyferyzmu, pogląd na istotę zła we wszechświecie, który (w najczystszej postaci) pojawił się w fantastycznej powieści „Mené-Mené-Thekel-Upharisim", pisanej w 1913 r. podczas pobytu Micińskiego na Ukrainie w gościnie u państwa Popławskich.

Zdaniem Micińskiego Wszechświat jest wyrazem procesu samopoznania Boga, odbiciem jego wewnętrznego tragizmu. Działają w nim obydwie siły boskie, ale siła lucyferyczna bierze górę, wprowadza w dzieło Boga czynnik rozpaczy, nienasycenia, samozniszczenia. Jest źródłem bólu, cierpienia, kosmicznych kataklizmów, śmierci.

Treścią „Mené-Mené-Thekel-Upharisim!" są dzieje wewnętrznych zmagań bohatera – szalonego księcia Jarosława, jednego z nielicznych polskich dekadentów – dandysów na miarę Doriana Graya, Georga Brummella, Alfreda d'Orsay. Jarosław jest ostatnim dziedzicem starego, zdegenerowanego rodu, spadkobiercą ogromnej „fortuny i szaleństw". Ze swego życia pragnie

uczynić coś na kształt sztuki, odrzucając z pogardą (w myśl zasady Baudelaire'a) trywialność, banalność, pospolitość codzienności. Jego pałac – wypełniony po brzegi różnorodnymi stylami, przesycony klimatem epok historycznych – symbolizuje ideę synkretyzmu kulturowego, jest także metaforą chorej, upadającej ludzkości, zbiorowej podświadomości, rodzajem rozbudowanego „pejzażu wewnętrznego" człowieka. Fabuła powieści obfituje w nieoczekiwane wydarzenia – awantury, pojedynki, zasadzki, sataniczne seanse, wizje oniryczne. Jarosław pozbywa się żony, którą podejrzewa o czarnoksięstwo i wyrafinowane znęcanie się nad dzieckiem, po czym wyjeżdża na Ukrainę do swego rodzinnego gniazda, gdzie w odosobnieniu od świata zamierza dokonać pokuty, ekspiacji, samooczyszczenia. W pobliskim dworze zakochuje się do szaleństwa w kuzynce – Krzysi, ale dręczony wyrzutami sumienia wyrzeka się miłości, niszcząc tym samym szczęście własne, kochanki i najbliższych mu osób. I tak jak Miciński w wierszu „Zawierucha" próbuje zrozumieć sam siebie, powtarzając z rozpaczą:

Wicher wyje i śnieg prószy
a ja błądzę przez zawieje
szatan jakiś w mojej duszy
to zapłacze, to się śmieje.

Wicher targa, zamieć siecze,
pokostniały z zimna bory
a ty sobie idź człowiecze
i wyśpiewuj „duch mój chory"

i wyśpiewuj „Miserere"
i wyśpiewuj „biją dzwony"–
wszystko we mnie dzisiaj szczere:
mój śmiech pusty, ból szalony...

Romans Jarosława nabiera cech fatalistycznych. Kierowany jakąś wewnętrzną koniecznością szalony książę zstępuje do podziemi prastarej świątyni ariańskiej (zob. fragm. cytowane na „pożółkłych kartkach"), uczestniczy w nabożeństwach wtajemniczonych, widzi porywający obraz kochanki, którą spotyka raz jeszcze w odległym futorze i ponownie na seansie satanistów, jako kapłankę Lucyfera... Na tym urywa się rękopis powieści. Można przypuszczać, że uczucie Jarosława przybrało charakter miłości pozagrobowej, jaką proponował Chrystusowi Lucyfer, a jego kochanka oddała życie dla pełnego wtajemniczenia bohatera w najwznioślejsze prawdy bytu...

Powieść „Mené-Mené-Thekel-Upharisim!" ukazuje otwartę, sprzeczne, skomplikowane postawy człowieka wobec zagadek świata, natury, kosmosu. Wielkim płomieniem wybucha w niej tęsknota za nieuchwytną, daleką, niestałą duszą kobiety, która inspiruje mężczyznę w odkrywaniu, poznawaniu i zawłaszczaniu świata. Ale ów płomień tłumi konieczność odejścia, wyrzeczenia się miłości, uzasadniona potrzebą poszukiwania Boga, rozwiązania trudnych zagadek egzystencjalnych przez pokutę, mękę, najwyższe cierpienie. W stworzeniu nowej religii – o jakiej marzy Miciński – istotną rolę odgrywa nauka, która zapewni przyszłemu człowiekowi możliwość panowania we Wszechświecie. Autor „Nietoty" zapożycza się u Nietzschego, sięga do teorii okultystycznych, uznając gwiazdy za siedlisko duszy, z których zeszła w otchłań i na które powróci, aby stworzyć „przedsionek nieśmiertelności":

Stanąć tak nad morzem
z chmur kłębami na dnie
i w głąb niemą rzucać
jarzące klejnoty...



Andrzej Brzezicki

I pod jej pałacem
oprzeć dłoń na murach
i wyrzec się – wyrzec
duszy swej na wieki...

I żagiel rozwinąć
kiedy burza wyje
i mknąć ponad góry
i spadać – i płynąć..."

Cywilizacja jest dla Micińskiego wygasłym wulkanem, wiara – walącym się kościołem, świat znajduje się w stanie rozkładu. Czy można go ożywić? W szalonym transie książę Jarosław rozbija ołowianymi rurami kościół przepełniony ludźmi... W upiornej maskaradzie, inscenizowanej w komnatach pałacu, obnaża nędzę i pustkę walącej się kultury... Wybuch, ruch, pęd są znamionami wolności. Ale można inaczej. Antidotum na strach przed rozpadem świata jest „religia pracy": nie opodal pałacu Jarosława znajduje się dwór Stawiszcze, dom otoczony manufakturami, fabrykami, w którym nie ma nic z dekadenckiej atmosfery książęcego grodu. „*Pracą żarliwą jak nabożeństwo przywieźć naród do ziemi obiecanej – mądrości, harmonii*"...Tak, ale Miciński świadomy jest utopijności takiego założenia. W szkicu „O spuściźnie duchowej" (1897) kreśli ironiczny portret swoich rodaków:

„Wy – patrioci – tak pysznie podczas śniadań rozprawiający o tym, co się powinno u nas dokonywać!

Wy – obrażani, a tak dobre interesy robiący na obrazicielach

Wy – bracia, gryzący się jak psy – o kość! – wy nienawistni – małoduszni – kabotyni!

Jeżeli ani ewangelia, ani wieszcza pieśń trafić do was nie może, oby się znalazł porywczy Piotr, który by wam poobcinał uszy!"

Jednak Piotr Skarga nie nadejdzie. Publicystyczne refleksje Micińskiego przepadną w śnieżnej zawierusze, rozsypią się na kartach nie wydanych rękopisów... I będzie tak, jak w wierszu, który dedykował emirowi Rzewuskiemu, legendarnemu powstańcowi walczącemu o niepodległość narodową:

... Nad Gopłem czarna, opuszczona lipa:
wieszcz obłąkany!
Upiorna zorza nad oceanem
okręt wśród lodu!
Na świecie idę – w kraju nieznanym –
wódz bez narodu! ...

Bibliografia wybrana:

– *Obraz Literatury Polskiej*, seria V, tom 2, oprac. B. Danek-Wojnowska i J. Kłossowicz,

– „Wiadomości Literackie" (numer specjalny 1925/64),

– Z. Greń, *Tadeusz Miciński i jego demony* (w:) „Rok 1900", Kraków 1969,

– J. Tynecki, *Inicjacje mistyka. Rzecz o Tadeuszu Micińskim*, Łódź 1976,

– E. Rzewuska, *O dramaturgii Tadeusza Micińskiego*, Wrocław 1977,

– J. Prokop, *Żywioł wyzwolony. Studium o poezji Tadeusza Micińskiego*, Kraków 1978,

– *Studia o Tadeuszu Micińskim*, red. P. Kwiatkowski, Kraków 1979,

– M. Podraza-Kwiatkowska, *Wieża z kości słoniowej i kazalnica, czyli między Des Esseintes'em a Piotrem Skargą (o Tadeuszu Micińskim)* (w:) M. Podraza-Kwiatkowska, *Somnambulicy, dekadenci-herosi. Studia i eseje o literaturze Młodej Polski*, Kraków 1985.

Chmury się rozeszły – i roztoczył się od końca do końca przeźroczysty, cichy, bez fal modry ocean. Gwiazdy zamigotały.

Konia puściłem wolno, a sam ległem na jędrny, szorstki, ostrą wonią pachnący, stożek zrudziałej hreczki.

Moje ukochane gwiazdy patrzą na mnie z ciemnych, bezdennych jezior.

O muzycy sfer! O malarze witrażów w prastarych świątyniach, czy któryś z was przyjmie duszę moją po zgonie za najlichszego ucznia? Język mój obrazem naiwczarnym, wyschniętym drzewie, którego kolczaste powikłane gałęzie tajemniczo oplątywały jego pokrytą bólem i zwątpieniem twarz.

I patrzył Chrystus na dziedzictwo swoje – które było jednym pustym ugorem z kałużami krwi – i głowa jego pochyliła się ku ziemi – z oczyma, które były, jak dwie bryłki lodu.

Żaden listek nie szumiał.

Pędziłem jak wiatr przez pola i dumny śmiech panował w mym sercu. Byłem ponad wszystkim.

szczy jest Bóg Człowiek, usłyszałem głuchy dźwięk, który mi w jednej chwili zmroził krtań – lecz nie odwracając się, czytałem z proroctwa Ezechiela:

Miecz zewnątrz – a mór i głód wewnątrz; kto jest na polu od miecza umrze; a który w mieście – morem i głodem pożarci będą. Uczyń zamknięcie: ponieważ ziemia pełna jest sądu krwi, a miasto pełne nieprawności. I będą szukać widzenia u proroka, a zakon zginie od kapłana, a rada od starców. Król będzie w żałobie, a książę oblecze się w smętek.

Mené-Mené-Thekel-Upharisim !... Quasi Una Phantasia

Tadeusz Miciński

ności, gdy przemawia do was Wyzwolonych!

Jak szklane szyby jeziora, rozsuwają się zasłony świata przede mną i wszystko obnaża się w olbrzymim majestacie natchnienia.

Jak Ikar rozbiłem się w upadku straszliwym o kamienisty brzeg dziko świecącego Oceanu.

Tylko z gorączki w oczach – z płuc rozdętych i z krwi serdecznej, która ścieka ustami – domyśli się spokojny przechodzień, że ten umarły uleciał na jedną błyskawicę ponad wszystkie szczyty myśli człowieczej – ujrzał słońce wiekuiste – przeląkł się bezmiaru i runął.

I po co rzuciło mnie przeznaczenie na ten pusty krąg życia, gdzie mnożą się tylko żarłoczne i wypasione stada pingwinów?

Gorzką zabawką moją rzucać w nie celne pociski i latarką bólu mojego wabić meduzowate straszydła.

I patrzę na was – lampy tlejące noc jedną przed ołtarzem Niewiadomego, gdzie czas – szczur gryzący – podgryza złote łańcuchy.

A ty ziemio –

ladacznico, rozparta na łożu pofarbowanym krwią niewolników – synów twoich... niechże prędzej w popiół i zgliszcza zmienią się twoje giełdy wystrzelające złotą kopułą nad stolicami –

w nieuprawne szare pola – twoje mrowiące się miasta –

pustynia niech będzie imieniem twoim – trąby rozpalonego powietrza – historią twą.

czy w skrętach bladych tego węża-zlepieńca, który pełza złożony z miliardów przyległych do siebie gąsienic – jest jeden, który by przetrwał ostatnią godzinę ziemi? Czy ze wszystkich, których urodziła śmierć – jeden choć urzeczywistni marzenie nieśmiertelności? I zamknąłem oczy.

A nagle gdym je rozwarł – tchnienie zaparło się w mojej piersi – bom ujrzał –

Bom ujrzał Chrystusa, rozpiętego na

Na rozdrożu stał krzyż z rozpaczliwie wyciągniętymi ramionami.

Koń mój rzucił się w bok – ciemna postać powstała

– Ulituj się Panie – trąd mnie toczy żywego – poratuj w imię Boże.

Zapaliłem zapałkę – i wzdrygnąłem się – widząc wygryzioną, trędowatą czaszkę o siwych plamach i ropiących się bruzdach.

Dwoje przygasłych oczu spod powiek czerwonych płakało.

– Bracie mój – rzekłem – weź to złoto i kup sobie śmierć.

– Wola Boża – szepnął.

– Wszakże przeklinasz go od poranku do nocy – a sen twój jest niespokojny jak Hioba?

– Błogosławię go w snach moich i nie chcę twojej jałmużny.

Szarpnąłem konia i leciałem.

Pałac w ciemnościach bielił się jak trupia czaszka.

Konia oddaliłem – i wziąwszy ciężkie klucze – krużgankami poszedłem do kaplicy.

Drogę przyświecał mi Syriusz – świecący blaskiem nieznanego na ziemi klejnotu.

W lustrach łamała się dziwacznie ciemna postać moja – i zdało mi się, że idę wśród wyszlifowanych sfinksów.

Drzwi kaplicy przeraźliwie jęczały, gdym je otwierał i wilgotny mrok wionął mi w oczy.

Zapaliłem rżnięte rubinowe lampy, które tworzyły gwiazdę magów na sznurze chwiejącą się i w półmroku krwawych poblasków patrzyłem na czarny, niemy krzyż.

A kiedym tak stał twarzą przed marmurowym ołtarzem i rozwierałem Brewiarz Umarłych, gdzie były hymny, wtajemniczenia, stopnie Salomona i gwiazdy jarzące –

i kiedym zapatrzył się w sobie – w tę milczącą skalistą pustynię – na której pu-

I ujrzałem gród o wysokich potrójnych murach – i wielu bastionach – i widziałem twarze, wykrzywione od zarazy – a bramy zamknięte były na rozkaz króla – nikt nie był mocny się wymknąć – czarna kometa wisiała nad nieszczęsnym grodem – który tworzył jeden olbrzymi grób, gdzie żywi pożerali ciała umarłych...

i tylko jedna pani, żyjąca w zamku, otoczonym grubymi murami – wychodziła co noc grać w katedrze na organach – i tłumy przezwyciężając grozę śmierci – zbierały się w najkosztowniejszych szatach, aby posłyszeć przed zgonem ten nieziemny, prowadzący ich za próg mogiły, hymn.

I nie widział nikt jej twarzy – aż rycerz pewien rozmiłowany – i w szaleństwie zbliżającego się końca – zerwał jej zasłonę i dotknął rozpalonemi usty –

i stali tak wobec narodu, umierający w niemym pocałunku – i rycerz pierwszy runął – a nad nim pochyliła się postać jej – a kiedy ze skamieniałej zerwano płaszcz – ujrzano jeno szkielet, który się rozsypał w pył.

i poznano po magicznych szatach – że to była dziewica zarazy –

i spalono w dole proch jej i ciało rycerza –

i w ogniach widziano znowu ich postacie odlatujące –

i miasto było uwolnione od dżumy – i kiedy rozwarły się wrzeciądze bram – ujrzano wiosnę wśród lasów i pól – ale na głowach młodzieńców i dziewic była zima osiwiałych włosów...

Tadeusz Miciński, „Mené-Mené-Thekel-Upharisim!... Quasi Una Phantasia" (w:) „Pisma pośmiertne Tadeusza Micińskiego", cykl I, tom I – „Lucyfer", pod red. A. Górskiego i Cz. Latawca, Instytut Literacki w Warszawie, nakład Domu Książki Polskiej, 1931. Cytaty za wersją „B", wybór ze stron 248–250.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Węgierska SF wczoraj i dziś

Rozmowa z Péterem Kuczką

Wojciech Maziarski: – *Spotkaliśmy się, by porozmawiać o węgierskiej science fiction, która od kilkunastu lat rozwija się gwałtownie – w czym wiele jest Pańskiej zasługi. Sądzę jednak, że SF pojawiła się na Wegrzech znacznie wcześniej...*

Péter Kuczka: – Alez oczywiście! Pierwsze dzieła, które dziś skłonni jesteśmy uważać za wstęp do nowoczesnej science fiction powstały w okresie Oświecenia. Najbardziej znanym jest chyba utopijna powieść „Podróż Tarimenesa" napisana przez klasyka literatury węgierskiej – Györgya Bessenyeia. Wyraźnie widać w niej, podobnie zresztą jak i w innych utworach tego okresu, wpływy idei Oświecenia francuskiego. Tematem, który interesuje autora, jest struktura państwa idealnego. Bessenyei opisuje kształt prawny tego państwa-utopii, czyni to bardzo szczegółowo, tak, by dać obraz jak najbardziej wiarygodny i kompletny. Zainteresowanie społecznością ludzką, jej funkcjonowaniem było cechą charakterystyczną utworów powstałych w tamtym okresie.

– *A technika?*

– Ta pojawia się nieco później, w latach trzydziestych XIX wieku. Na Węgrzech był to okres reform społecznych i gospodarczych. Wraz z nimi pojawiła się nowoczesna technika – maszyny parowe, parostatki, maszyny włókiennicze. Wszystkie te osiągnięcia techniczne wdarły się nie tylko do przemysłu, lecz także do gazet. Na łamach czasopism publikowano liczne artykuły popularyzatorskie i utwory literackie, w których zjawił się motyw nowoczesnej techniki. Przykładem może być „Podróż na Księżyc" – opowiadanie opisujące przeżycia Węgrów na powierzchni Srebrnego Globu, gdzie mieli oni okazję zapoznać się z życiem jego mieszkańców. Była to ostra satyra na ówczesne społeczeństwo węgierskie.

W końcu lat trzydziestych ubiegłego wieku ukazała się powieść znanego pisarza Miklósa Josiki zatytułowana „Ostatnie dni". Można ją uznać za prekursorski przykład „czystej" SF. Zastosowane przez Josikę pomysły do dziś można spotkać w wielu powieściach fantastyczno-naukowych. Znajdujemy tu motyw zmierzchu ludzkości spowodowanego stygnięciem planety. Resztka cywilizacji żyje skupiona na niewielkiej części globu. Telepatia jest powszechnym sposobem porozumiewania się. Bohater „Ostatnich dni" nawiązuje telepatyczny kontakt z przedstawicielką obcej cywilizacji, który – jak łatwo się domyślić – rychło przekształca się w miłość. Oczywiście nie chcę streszczać całej powieści, lecz sądzę, że tych parę informacji wystarczy dla unaocznienia szokującej wręcz nowoczesności dzieła, które powstało przecież przed stu pięćdziesięciu laty. Warto też wspomnieć o partiach opisowych, o całym fantastycznym rekwizytorium, tak znamiennym dla literatruy SF. Josika okazał się prekursorem także w tej dziedzinie. Jeśli czytał pan „Niezwyciężonego" Lema, to musi pan pamiętać motyw magnetycznych muszek tworzących olbrzymie monstrum. Wydawałoby się, Lem był pierwszym, który wpadł na ten pomysł. Otóż nie! Josika – powtarzam: przed stu pięćdziesięciu laty – zastosował podobną koncepcję.

– *Rzeczywiście, nowatorstwo tej powieści wydaje się zadziwiające. Czy zatem stała się ona punktem zwrotnym w rozwoju węgierskiej fantastyki?*

– Niestety, nie. W roku 1848 wybuchło powstanie narodowe, które upadło w roku następnym. Ani polityczna gorączka okresu powstańczego, ani krwawy terror, jaki nastąpił potem nie sprzyjały powstawaniu tego typu literatury. Austriacka cenzura i powszechny stan społecznego przygnębienia sprawiły, że na ponowne pojawienie się w literaturze wątków fantastycznych trzeba było czekać aż 20 lat.

– *Domyślam się, że i tym razem odrodzenie się fantastyki związane było z wydarzeniami natury społeczno-politycznej?*

– Tak. W roku 1867 władze austriackie musiały się przyznać do fiaska swej polityki. Nastąpiła słynna ugoda, w której Węgrzy otrzymali pełną autonomię. Poprawiły się nastroje społeczne, odżyła zduszona kultura – i niemal natychmiast powstały kolejne dzieła fantastyczno-naukowe. W roku 1872 Mór Jókai, którego zresztą uważam za jednego z pięciu najlepszych pisarzy świata, napisał „Powieść przyszłego wieku". Reprezentowała ona dominujący w drugiej połowie XIX wieku nurt literatury fantastycznej opartej na motywie nowego wynalazku technicznego rewolucjonizującego życie człowieka. U Jókaia wynalazkiem tym jest „ichor", materiał umożliwiający produkowanie maszyn latających, które, rzecz jasna, natychmiast zastosowano w technice wojennej. W tym punkcie technicystyczna SF ustępuje miejsca tematyce politycznej, zaś powieść nabiera kształtu political fiction. Zjawiają się znane XIX-wiecznemu czytelnikowi realia polityczne: Austro-Węgry, cesarstwo rosyjskie rządzone przez demoniczną carycę, dalekie Stany Zjednoczone Ameryki. Oczywiście wybucha wojna, w której stroną zwycięską są Węgry odzyskujące pełną niepodległość.

– *To ciekawe – fantastyka naukowa ku pokrzepieniu serc. Dziś wiele osób twierdzi, że SF to rozrywka oderwana od rzeczywistości, a przez to nie zasługująca na miano „poważnej" literatury.*

– Poglądu tego nie podzielał w każdym razie cesarz Franciszek Józef, gdy nakazał uwięzić Titusza Tövölgyiego za napisanie książki „Nowy świat". Akcja powieści rozgrywa się na Węgrzech w okresie, gdy nie występują już żadne konflikty społeczne – z wyjątkiem podziału na „pięknych" i „brzydkich". Za wybór tematu Tövölgyi trafił do więzienia, a trzeba pamiętać, że był to okres wyjątkowego wprost liberalizmu zezwalającego na publikację niemal wszystkiego, wraz z wezwaniami do odłączenia się od Austrii. Podtytuł książki głosił: „Powieść z epoki socjalizmu i komunizmu".

Wróćmy jednak do Jókaia. Po „Powieści przyszłego wieku" napisał wiele innych utworów fantastycznych. Można tu wymienić takie tytuły, jak „Oceania" (oparta na micie Atlantydy), „Aż do bieguna północnego" (tu z kolei wykorzystał motyw obudzenia hibernantów) czy „Gdzie pieniądz nie jest bogiem". W roku 1972 zorganizowaliśmy w Związku Literatów Węgierskich trzydniową konferencję, w czasie której debatowaliśmy nad koniecznością wznowienia „Powieści przyszłego wieku" (nie uczyniono tego od końca XIX stulecia). W efekcie tej konferencji dzieło zostało opublikowane przed paru laty. Szkoda, że przygotowano jedynie wydanie krytyczne, opatrzone przypisami, których objętość dwukrotnie przekracza objętość samej książki. Sądzę, że konieczne jest jeszcze jedno wznowienie, tym razem w wersji popularnej.

Jókai wywarł olbrzymi wpływ na węgierską SF. Pod koniec XIX wieku powstało mnóstwo książek należących do tego nurtu, takich jak „Samolotem na Księżyc" Sándora Makaya czy wspomniana wcześniej powieść Titusza Tövölgyiego. W tym samym czasie coraz liczniej pojawiają się przekłady dzieł fantastycznych, głównie Julesa Verne'a. Fantastyka naukowa ulega stopniowej komercjalizacji, przybywa dzieł adresowanych do czytelnika młodzieżowego.

– *A więc wkraczamy w wiek dwudziesty. Twórczość artystyczna nabiera charakteru działalności rynkowej. SF tworzona jest, by zaspokoić potrzebę rozrywki masowego czytelnika. Czy tak?*

– Alez skąd! Pierwsze dziesięciolecie XX wieku to okres olbrzymiego, wręcz rewolucyjnego przełomu w całej węgierskiej kulturze. W roku 1908 ukazał się pierwszy numer dwutygodnika literackiego „Nyugat" („Zachód"). Pismo to, wychodzące aż do roku 1941, stało się kuźnią młodych talentów i przez cały czas swego istnienia było najlepszym, najbardziej znaczącym periodykiem literackim Węgier. Grupa pisarzy, artystów i publicystów skupiona wokół niego to czołówka węgierskiej kultury okresu międzywojennego. I niemal wszyscy ci pisarze związani z „Nyugatem" tworzyli także literaturę o charakterze fantastycznym, fantastyczno-naukowym czy utopijnym. Utwory, które wyszły spod ich piór, w żadnym wypadku nie można uznać za komercyjne. W roku 1916 powstała powieść Frigyesa Karinthy'ego „Podróż do Faremido" oparta na motywie wyprawy Guliwera. Bohater zwiedza kraj rządzony przez maszyny. W pięć lat później Karinthy wysyła tego samego bohatera do podmorskiego państwa Capillarii (tak też brzmi tytuł powieści), w którym władzę sprawują kobiety. Tematy poruszone w obu książkach to rzeczywiste problemy współczesnego świata – ekspansja techniki w życiu społecznym i kwestia emancypacji kobiet.

W roku 1933 inny klasyk literatury węgierskiej, Mihaly Babits (także należący do kręgu „Nyugatu") napisał powieść „Pilot Elza, czyli społeczeństwo doskonałe", rozpościerając przed czytelnikiem koszmarną wizję nowoczesnej wojny, dywanowych nalotów na ludzkie siedziby i militaryzacji życia. Wydaje się, że wszelki komentarz jest tu zbyteczny.

Literatura fantastyczno-naukowa tworzona w kręgu pisarzy związanych z „Nyugatem" jest do dziś żywa – książki te znalazły się na liście lektur szkolnych, są wznawiane i chętnie czytane. Świadczy o tym także bardzo dobre przyjęcie, z jakim spotkał się „nyugatowski" numer „Galaktiki". W przyszłym roku obchodzić będziemy stulecie urodzin Karinthy'ego. Także i z tej okazji chcemy przygotować specjalny, okolicznościowy numer „Galaktiki".



– „Nyugat" przestał się ukazywać w roku 1941. Wiadomo: wojna, cenzura, niepewność jutra... Wszystko to musiało wpłynąć paraliżująco na rozwój literatury. Jak zareagowała na te zjawiska węgierska science fiction?

– Naturalnie liczba wydawanych powieści fantastycznych gwałtownie zmalała. Ukazała się jednak jedna powieść znakomita, wręcz genialna: „Podróż do Kazokinii" Istvana Szatmariego, ostra satyra polityczna, w której skonfrontowano dwa światy: świat oparty na rządach rozumu oraz świat instynktu i emocji. Szczerze mówiąc, nie potrafię pojąć, jak to się stało, że powieść ta w ogóle się wówczas ukazała. Wytłumaczyć to można chyba jedynie zmęczeniem cenzora. Nawet dziś, po lekturze Orwella, uważam, że nigdy jeszcze nie napisano czegoś równie przenikliwego.

– A co się działo w węgierskiej fantastyce po wojnie?

– Pierwsza książka SF została wydana w roku 1945. Nosiła tytuł „My, Adolf Pierwszy" i opisywała – jak głosił podtytuł – co by było, „gdyby Niemcy wygrali wojnę". Ciekawe, że po latach na ten sam pomysł wpadł Dick.

Późniejszy okres nie sprzyjał niestety rozwojowi fantastyki. Polityka kulturalna lat pięćdziesiątych traktowała science fiction jako gatunek drugorzędny, służący popularyzacji wiedzy bądź dostarczaniu rozrywki najmłodszym czytelnikom. W gruncie rzeczy nic ciekawego się wówczas nie ukazało. Trudna sytuacja drugiej połowy lat pięćdziesiątych także nie wpływała dodatnio na rozwój fantastyki. Tak więc odrodzenie gatunku nastąpiło dopiero w latach sześćdziesiątych. Wówczas właśnie zadebiutowali tacy pisarze, jak Csernai czy Zsoldos. Przełomem okazała się antologia zatytułowana „Alarm w Układzie Słonecznym" zawierająca 25 opowiadań pisarzy należących do światowej czołówki – znalazły się tu m.in. utwory Asimova, Lema, Bradbury'ego, Clarke'a, Strugackich i Sheckleya. Tom ten opatrzyłem posłowiem omawiającym nowoczesną SF. Bezpośrednio po wydaniu tego zbioru ukazały się „Kroniki marsjańskie" Bradbury'ego. Obie te publikacje uświadomiły wszystkim – pisarzom i czytelnikom – że od tej pory nie da się już pisać „po staremu", że trzeba szukać nowych rozwiązań i nowych pomysłów. Tu właśnie zaczyna się współczesność SF na Węgrzech. Startuje seria książkowa „Kosmos", otwarta „Końcem wieczności" Asimova – seria, w której pojawiło się do tej pory ponad 130 pozycji, zarówno węgierskich, jak i tłumaczeń. Były wśród nich także książki takich pisarzy, jak Huxley czy Borges. Od roku 1972 wydawana jest „Galaktika", początkowo w formie kwartalnej antologii, zaś od roku 1985 jako regularny miesięcznik. Wkrótce po powstaniu „Galaktiki" pojawia się „Metagalaktika", także będąca publikacją cykliczną, lecz o większej objętości i odmiennie redagowaną. Numery „Metagalaktiki" są zeszytami monotematycznymi. Pomiędzy rokiem 1966 a 1972 (nie podaję dokładnej daty, jako że był to proces trwający kilka lat) ukonstytuowała się Komisja Robocza SF przy Związku Literatów Węgierskich, wydająca własny biuletyn informacyjny. W roku 1972 odbyła się pierwsza międzynarodowa konferencja pisarzy science fiction z krajów socjalistycznych. Włączyliśmy się także do organizacji o zasięgu ogólnoeuropejskim i światowym.

– Zauważyłem, że w „Galaktice" stosunkowo niewiele jest tekstów węgierskich. Przeważają przekłady. Czy oznacza to, że autorzy krajowi piszą mało?

– Nie. Przyjęliśmy po prostu zasadę, że autorów węgierskich wydajemy w oddzielnych tomach w serii „Kosmos". A jest co wydawać! Reprezentowane są u nas właściwie wszystkie kierunki fantastyki. A więc: tradycyjna SF (Csernai, Zsoldos czy Nemere – ten ostatni skłania się ku political fiction), fantastyka o zacięciu filozoficznym (Szentmihalyi, Gyertyán, Darázs czy nieżyjący już Mesterházi i Gera), powstają utwory o charakterze humorystycznym – głównymi przedstawicielami tego kierunku są Devényi i Lorinc. Stosunkowo najmniej jest fantasy. Warto też wspomnieć o licznej grupie piszących pań – należą do niej takie autorki jak Zsuzsanna V. Nagy, Viola Pap, Mária Szepes. Jeśli chodzi o stronę formalną, to przeważają raczej powieści, opowiadania cieszą się mniejszą popularnością. To także jest jeden z powodów, dla których w „Galaktice", dysponującej wszak ograniczoną objętością, mniej jest tekstów węgierskich.

– A jak przedstawia się recepcja fantastyki? Jakie jest zainteresowanie tego typu literaturą?

– Bardzo duże. „Galaktika" ukazuje się w nakładzie 50 tysięcy, zaś nakłady książek z serii „Kosmos" sięgają nawet 280 tysięcy egzemplarzy. Trzeba przy tym pamiętać, że na Węgrzech żyje 10 milionów ludzi. Tak więc 50-tysięczny nakład jest u nas w istocie (uwzględniając proporcje) ponad trzykrotnie większy niż w Polsce. Skalę zainteresowania fantastyką obrazuje przykład filmu „Gwiezdne wojny", który obejrzało na Węgrzech 3,5 miliona widzów. Od początku lat sześćdziesiątych rozwija się ruch fanów. Kluby SF funkcjonują w całym kraju. Istnieje stowarzyszenie VEGA wydające własne czasopismo pod tym samym tytułem. Sądzę jednak, że ruch miłośników fantastyki jest u nas słabszy niż w Polsce, co rzutuje także na poziom tych publikacji.

– Czy wydawane są na Węgrzech przekłady naszej literatury SF?

– O tak! Jeszcze przed wojną ukazały się takie pozycje, jak trylogia Żuławskiego czy „Torpeda czasu" Słonimskiego. Sądzę, że przetłumaczono wówczas więcej polskich utworów, jednakże w tej chwili tylko te dwa tytuły przychodzą mi do głowy. Zaś po wojnie... Oczywiście Lem. Ukazało się niemal wszystko, co napisał. Wydaliśmy także lemowski numer „Metagalaktiki". Ukazał się też numer „Galaktiki" poświęcony w całości fantastyce polskiej. Niezależnie od tych okolicznościowych publikacji systematycznie drukujemy opowiadania i powieści polskich autorów – czytelnik węgierski dobrze zna takie nazwiska jak Boruń, czy Chruszczewski. W tej chwili István Nemere pracuje nad przekładem powieści Hollanka „Kochać bez skóry" i Fiałkowskiego „Homo divisus".

– Widzę, że zarówno przeszłość, jak i dzień dzisiejszy fantastyki na Węgrzech przedstawia się imponująco. Macie się czym poszczycić. A co z przyszłością?

– Pod koniec sierpnia 1988 roku odbędzie się w Budapeszcie kongres Euroconu i World SF. Mamy nadzieję, że impreza ta przyciągnie pisarzy i miłośników SF z całego świata – także z Polski. Programy towarzyszące obradom będą atrakcyjne: projekcje filmowe i wideo, koncerty, wystawy plastyczne, ekspozycje książek, spotkania z autorami. Myślę, że kongres wywrze duży wpływ na rozwój naszej literatury science fiction.

– W imieniu polskich miłośników fantastyki życzę więc sukcesu – i dziękuję za rozmowę.

– Do zobaczenia w Budapeszcie w sierpniu 1988 roku.

Rozmawiał Wojciech Maziarski

We wszystkich tekstach omawiających rozwój węgierskiej literatury fantastycznej pojawia się nazwisko Pétera Kuczki. Nic w tym dziwnego. Miłośnicy SF na Węgrzech zawdzięczają Kuczce niemal wszystko – niezmordowana działalność tego krytyka i edytora sprawiła, że po latach raczkowania węgierska fantastyka stanęła na własnych nogach i poczęła być traktowana jako jeden z uznanych kierunków „poważnej" literatury. Spektakularnym przejawem tej akceptacji było utworzenie w styczniu 1971 roku Roboczej Komisji SF przy Związku Literatów Węgierskich. W 13 lat później – 10 października 1984 roku – zawiązała się węgierska sekcja światowej organizacji World SF. Przewodniczącym został wybrany – a jakże! – Péter Kuczka. Ta zaszczytna funkcja jest nie tyle kolejnym etapem w jego osobistej (dla uniknięcia dwuznaczności dodajmy: jak najbardziej zasłużonej) karierze. Przede wszystkim jest ona uhonorowaniem wieloletniej działalności wydawniczej, której efekty można podziwiać na półce każdego węgierskiego miłośnika fantastyki. Zainicjowana i od lat redagowana przez Kuczkę seria książkowa „Kosmos" („Kozmosz Fantasztikus Könyvek") udostępniła węgierskim czytelnikom niemal wszystkie najważniejsze pozycje światowej SF (Asimov, Aldiss, Clarke, Bradbury, Lem, Strugaccy itd.) oraz utwory autorów krajowych, dla których publikacja w tym cyklu była niewątpliwie formą nobilitacji.

Długotrwałe wysiłki Kuczki ożywiły węgierski ruch SF: pojawiło się kilku zdolnych pisarzy (wśród nich znany w Polsce Zsoldos), zwiększył się popyt na tego typu literaturę – słowem, powstały warunki dla utworzenia regularnego periodyku o profilu fantastyczno-naukowym. Czasopismo stanowiące odpowiedź na to zapotrzebowanie nosi tytuł „Galaktika" i ukazuje się od roku 1985. (Po tym, co tu powiedziano, nikogo nie powinien chyba zdziwić fakt, że w stopce redakcyjnej przy funkcji zastępcy redaktora naczelnego widniało nazwisko Pétera Kuczki).

Miesięcznik jest kontynuacją wydawanej co kwartał antologii opowiadań SF noszącej ten sam tytuł (ukazało się jej 60 numerów, 61 jest zarazem pierwszym numerem

W dniach 14–17 listopada 1986 r. gościliśmy w Warszawie delegację węgierską w osobach znanego edytora – działacza i szefa „Galaktiki" – Pétera Kuczki oraz jego redakcyjnego kolegi – Ferenca Herczega, którzy poinformowali nas o przygotowaniach do światowego zjazdu profesjonalistów w Budapeszcie w roku 1988.

Jednym z koordynatorów imprezy ze strony węgierskiej został wybrany István Nemere – autor, tłumacz i krytyk literatury science fiction. Decyzją komisji, program World SF wykroczy daleko poza zamknięte obrady profesjonalistów. W ramach imprezy przewidziane są międzynarodowe pokazy filmów fabularnych, konkursy literackie i muzyczne, seminaria i spotkania z autorami, wystawy książek i fanzinów, międzynarodowe wystawy sztuk plastycznych, a w budapeszteńskim planetarium wykłady i projekcje związane z tematyką astronautyczną.

Strona węgierska dąży do szerokiego rozreklamowania imprezy – przez publikację biuletynów zawierających artykuły, przeglądy, omówienia informacyjne SF, wydanie antologii literackich o charakterze międzynarodowym (drukowanych w języ-

czasopisma). Przekształcenie „Galaktiki" w miesięcznik nie przeszło w środowisku czytelników bez echa – z odpowiedzi redakcji na nadesłane listy (w odróżnieniu od „Fantastyki" pismo nie publikuje treści listów) wynika, że wielu czytelników przyjęło tę zmianę z niepokojem. Reakcja taka, spowodowana przywiązaniem do dawnej „Galaktiki" wydaje się być całkowicie zrozumiała – jak sądzę, każdy z nas wielokrotnie przeżył sytuację, w której rzecz, do której zdążył się przyzwyczaić, znikała z rynku jedynie po to, by pojawić się w nowym opakowaniu i z wyższą ceną. W tym jednak wypadku obawy czytelników okazały się bezpodstawne. Choć może to zabrzmieć niewiarygodnie, to jednak prawdą jest, iż cena nowej „Galaktiki" jest o 2 forinty niższa od ceny jej poprzedniczki (we wstępie do trzeciego numeru redakcja tłumaczy ten fenomen oszczędnym gospodarowaniem oraz dotacją otrzymaną od kosmitów). Jeśli zaś chodzi o jakość oferowanego czytelnikom towaru, to wydaje się, że wystarczającą jej gwarancją jest lista nazwisk figurujących w spisie treści: Franke, Brown, Sturgeon, Zelazny, Aldiss, Clarke, Asimov, Tiptree, Simak, Wyndham, Bester, Watson, Pollack, Dick, Sheckley, Silverberg i wielu innych. Zaiste, imponujący to wykaz zwłaszcza że uwzględnia zaledwie siedem pierwszych numerów pisma. Tłumaczenia stanowią niewątpliwie najmocniejszą stronę miesięcznika. Redakcja stara się wybierać spośród tego, co w światowej literaturze SF najlepsze.

„Galaktika" publikuje także teksty autorów krajowych, jest ich jednak znacznie mniej niż przekładów z języków obcych. Na przykład, w numerze siódmym dział literatury krajowej zawiera jedynie krótką (ok. 1 strony maszynopisu) nowelkę Tibora Dévényiego oraz wiersz znanego również w Polsce Pétera Szentmihályia Szabó. Także poziom tekstów krajowych jest znacznie bardziej zróżnicowany. Redakcja nie podaje niestety żadnych informacji o autorach publikowanych utworów, tak więc nie sposób stwierdzić, jakie pokolenia oni reprezentują i jakie osiągnięcia mają już na swym koncie. Jedynie czytelnicza intuicja podpowiada, że w kilku wypadkach mamy do czynienia z debiutantami, którzy dopiero przygotowują się do napisania swych najlepszych dzieł. Pojawiają się jednak także utwory pisarzy renomowanych – takich jak István Nemere, którego powieść drukowała w roku ubiegłym „Fantastyka", czy Mária Szepes. Wydaje się, że ta ostatnia pisarka – zupełnie nieznana polskiemu czytelnikowi – zasługuje na szczególne zainteresowanie naszych wydawców. Angielskie i niemieckie tłumaczenia jej powieści „Czerwony lew" przyniosły jej dużą popularność

Nowa „Galaktika" na nieboskłonie

w zachodniej części Europy i za Atlantykiem.

Redakcja węgierskiego miesięcznika bacznie obserwuje ruch wydawniczy, i to nie tylko węgierski. W artykułach krytycznych i streszczeniach autorzy przedstawiają zarówno najnowsze książki węgierskie, jak i wybrane pozycje obcojęzyczne (najczęściej angielskie i niemieckie).

Do stałych działów „Galaktiki" należy ilustrowana czarno-białymi fotografiami rubryka poświęcona kinematografii. Innym stałym działem jest rubryka zatytułowana „Pracownia" (Mühely). Niejednorodna tematycznie i gatunkowo stanowi jednak jeden z najciekawszych fragmentów pisma. Znaleźć tu można zarówno szkice teoretycznoliterackie (np. „Science fiction i społeczeństwo" Asimova czy „György Lukács i SF" Istvána Szerdahelyi), omówienia twórczości fantastyczno-naukowej mało znanych obszarów językowych (np. japońskiej i chińskiej), jak też artykuły popularnonaukowe.

Porównując polską „Fantastykę" z jej węgierską krewniaczką nie sposób nie zauważyć istotnej różnicy: brak jest w „Galaktice" materiałów na temat ruchu fanów lecz listy czytelników omawiane na łamach pisma wskazują, że ich nadawcy odczuwają potrzebę nawiązania ze sobą kontaktu. Tak więc nie jest wykluczone, że „Galaktika" okaże się nie tylko czasopismem publikującym teksty SF, lecz także spełni rolę integrującą i dopomoże w kształtowaniu się ruchu fanów. Jest to tym prawdopodobniejsze, że zbyt mały w stosunku do zapotrzebowań nakład miesięcznika w naturalny sposób skłania miłośników fantastyki do szukania w swoim środowisku kontaktów, dzięki którym mogliby zdobyć brakujące numery. Jak się wydaje, redakcja dostrzega te potrzeby. We wstępie do numeru siódmego Péter Kuczka omawia wysuniętą przez czytelników propozycję założenia Klubu Przyjaciół „Galaktiki". Zadaniem Klubu – stwierdza Kuczka – byłoby nie tylko organizowanie spotkań, dyskusji, projekcji filmowych, koncertów i wystaw, lecz także prowadzenie działalności wydawniczej. Składki członkowskie pozwoliłyby na pokrycie kosztów druku plakatów, pocztówek, kalendarzy, a nawet wznowień dawniejszych numerów „Galaktiki".

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o wyglądzie zewnętrznym pisma. A więc: format A-4, sztywna, kolorowa okładka, 96 stron, ilustracje w tekście czarno-białe. Ocenę poziomu artystycznego prezentowanych grafik wolałbym powierzyć fachowcom; szczerze muszę jednak wyznać, że w kilku przypadkach mam poważne wątpliwości. Nie oznacza to, że nie trafiają się prawdziwe rarytasy, zdolne zaspokoić wymagania najbardziej nawet wybrednych koneserów, jak np. obrazy Almosa Jaschika, węgierskiego malarza pierwszej połowy XX wieku, przez długi czas zapomnianego, teraz zaś ponownie „odkrywanego" przez węgierską publiczność.

W sumie – pismo jest ciekawe, różnorodne i niewątpliwie znaczące w światowym ruchu SF. Tego samego zdania byli jurorzy Euroconu 85, którzy w listopadzie 1985 r. przyznali „Galaktice" wyróżnienie. Osobne, indywidualne wyróżnienie otrzymał tam także Péter Kuczka.

Wojciech Maziarski

Przygotowania do WORLD SF '88

kach: węgierskim i angielskim), specjalnych kalendarzy, znaczków okolicznościowych itp.

Strona polska (której przewodnictwo organizatorzy węgierscy powierzyli Adamowi Hollankowi jako koordynatorowi komitetu przygotowawczego) wystąpiła z propozycja bogatego zaprezentowania dorobku rodzimej SF przez:

– przedstawienie najwartościowszych realizacji filmowych ostatnich lat,

– organizację wystaw polskich książek SF i polskiej plastyki;

– współudział w międzynarodowej antologii SF,

– wydanie biuletynu okolicznościowego informującego o sytuacji w polskiej współczesnej SF (około 64 stron druku; literatura, krytyka, film, plastyka).

Jednocześnie – w okresie World SF – trwać będą w Budapeszcie „Dni Polskiej Fantastyki" organizowane przy współpracy Polskiego Instytutu Kultury (filmy, wystawy, spotkania autorskie etc.) ■



Spotkanie podczas Dni Fantastyki 1986. Od lewej: Ferenc Herczeg, Wojciech Maziarski (tłumacz), Péter Kuczka i Adam Hollanek.

Fot. Zbigniew Lalafa

Tyrolczyk, Reinhold Messner, jest na pewno człowiekiem niezwykłym – jest bowiem jedynym, jak dotąd (styczeń 1987), mieszkańcem Ziemi, który stanął na szczytach wszystkich najwyższych gór planety. Zdobył wszystkie szczyty, przekraczające 8 kilometrów wysokości, tzw. ośmiotysięczniki (jest ich 14), w dodatku dokonał tego bez specjalnych środków technicznych, które dziś wspomagają alpinistów! Znawcy alpinizmu twierdzą, że *„w wydolności fizycznej i psychicznej Messner osiągnął granice ludzkich możliwości"*. Jest on także człowiekiem wrażliwym i inteligentnym, świadczą o tym książki, które napisał.

Z tamtej strony lustra

Maciej Iłowiecki

Przerażający człowiek śniegu

Dlaczego jednak wspominam dziś tę postać, znaną wszystkim, którzy interesują się górami? Otóż kiedy w październiku 1986 r. Messner wrócił z udanej wyprawy na szczyt himalajskiej góry Lhotse (8501 m), dziennikarze zapytali, co zamierza robić po zdobyciu ostatniego już „ośmiotysięcznika"? Odpowiedział po prostu: *„teraz będę szukał yeti i znajdę go"*. Messner nie rzuca słów na wiatr, nie jest też wierzącym w różne bujdy naiwniakiem. Właśnie podczas wyprawy na Lhotse spotkał istotę, przypominającą wysokiego, okrytego futrem człowieka „o małpiej twarzy"; kiedy zbliżył się do stwora na odległość ok. 10 m, ten błyskawicznie uciekł, pozostawiając charakterystyczne ogromne ślady. Messner był wstrząśnięty, ponieważ nigdy przedtem czegoś takiego w górach nie widział, nie wierzył też opowieściom nepalskich przewodników, zaś legendy o „człowieku śniegu" uznawał za wytwór nie tyle fantazji, ile przetworzonych przez fantazję, rzeczywistych spotkań – ale ze zwierzętami, np. niedźwiedziami himalajskimi, które mogą się zabłąkać w wysokie rejony gór.

Teraz też właściwie nie wierzył własnym oczom, pomyślał, że uległ jakiemuś złudzeniu. Kiedy jednak spotkał dziwne zwierzę po raz drugi, w obecności miejscowych tragarzy i kiedy stwór na widok ludzi zaczął... gwizdać, Messner uznał, iż ma jednak do czynienia z istotą nieznaną jeszcze nauce. Tragarze wcale nie byli zdziwieni, ponieważ wiedzieli, że „człowiek śniegu" rzadko, ale jednak się pokazuje i że właśnie wydaje przenikliwy gwizd, kiedy jest zdenerwowany i rozzłoszczony.

Więc Reinhold Messner uznał, że nie spocznie póki nie dowiedzie sceptycznemu światu, iż yeti istnieje naprawdę. Myślę, że dotrzyma przyrzeczenia, ja zaś mam okazję, by przypomnieć co nieco o „ludziach śniegu".

Yeti, jeśli nawet uznamy jego istnienie za legendę, jest legendą bardzo starą, ponieważ w Tybecie mówi się o „człowieku śniegu" od niepamiętnych czasów, a wizerunek „dzikiego człowieka, który żyje w górach" pojawia się w XVIII-wiecznych chińskich księgach buddyjskich poświęconych opisowi istot zamieszkujących Tybet. Ważnym szczegółem jest fakt, że w księgach tych znajdują się osobne rysunki małp. Oznacza to, iż rysujący zdawali sobie sprawę z różnicy między yeti a małpą.

Pierwsza wieść o żyjącym w Himalajach „kudłatym potworze", podobnym do małpy, ale zachowującym się jak dziki człowiek, dotarła do Europy w 1832 r., w raporcie B.H. Hugsona, brytyjskiego rezydenta w Katmandu. Raport Hugsona wzbudził zaciekawienie o tyle, że zaczęto odtąd zwracać uwagę na „fantastyczne opowieści" Nepalczyków i Tybetańczyków, dopiero jednak w 1877 r. zdobyto pierwszy ślad, godny zaufania. Naturalnie opowieści tubylców były przez Brytyjczyków uważane za brednie, lub delikatniej – za wytwór fantazji. Jednak w 1877 r. biały, a co ważniejsze angielski (więc dla Anglików jedyny godny zaufania) zoolog dostrzegł w Sikkimie (wschodnie Himalaje) i opisał tropy na śniegu, nie będące tropami żadnego ze znanych zwierząt. Tropy te przypominały zarysem olbrzymią ludzką stopę i potwierdziły opowieści górali himalajskich, którzy takie tropy znajdowali dość często. Był to pierwszy materialny ślad dziwnej istoty – i odtąd w Europie nie przyjmowano już drwinami opowieści o yeti. Później zaczęła się era wypraw na najwyższą górę świata – Czomolungmę, czyli Mount Everest. Pierwsza wyprawa w 1921 r. natrafiła na dziwne ślady bosych wielkich stóp niemal pod szczytem Everestu, a przewodnicy-Szerpowie twierdzili, iż są to ślady „przerażającego człowieka śniegów" (takie jest dosłowne tłumaczenie nazwy używanej przez Szerpów). Za wiarygodną uchodzi też relacja podróżnika A. N. Tombaziego o spotkaniu z yeti w 1925 r. Później kolejne ekspedycje na Mt Everest, choć nadal nie mogły zdobyć szczytu, często widywały ślady ogromnych stóp, zaś w 1951 r. znany alpinista Eric Shipton sfotografował te ślady na lodowcu Menlung, 6 km nad poziomem morza. Ślad stopy miał 33 cm długości i 17 cm szerokości. W tybetańskim klasztorze Khunjung odnaleziono skalp „człowieka śniegu", przechowywany tam ponoć od stuleci. Wszystko to skłoniło wielu łowców przygód (ale i poważnych uczonych) do zorganizowania specjalnych wypraw poszukiwawczych; wyprawy znowu napotkały ślady stóp i zebrały nowe opowieści od mieszkańców Himalajów, ale nie udało im się spotkać „człowieka śniegu". W latach sześćdziesiątych poważny cios legendzie o yeti zadał Edmund Hillary, pierwszy zdobywca Everestu (choć, nawiasem mówiąc, dziś niektórzy wyrażają opinię, że pierwszy był na szczycie Mallory, który zginął wracając ze swej wyprawy – ale to oczywiście dygresja). Hillary zaciekle zwalczał legendę o „człowieku śniegu" i udało mu się dowieść, że słynny skalp z klasztoru Khunjung jest spreparowany (!) z włosów kozicy górskiej *(Capricornis sumatrensis)*. W czasie specjalnej ekspedycji, zorganizowanej przez amerykańskie wydawnictwo World Book Encyclopedia, Hillary zbadał różne ślady yeti i stwierdził, że są to tropy różnych zwierząt (zwłaszcza niedźwiedzia), tyle że nadtopione przez Słońce, dlatego „rozlane" w kształcie wielkiej stopy. Brzmiało to rozsądnie – a Hillary cieszy się dużym autorytetem – więc przez długi czas yeti był powodem kpin, podobnie jak poczciwy potwór Nessie ze szkockiego jeziora Ness.

Niemniej rząd Nepalu wolał wpisać yeti na listę gatunków ściśle chronionych i przekazać tę decyzję Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody.

W 1970 r. „sprawa yeti" jakby znów odżyła. Znakomity alpinista brytyjski, Whilland w czasie wyprawy na Annapurnę, na wysokości ok. 4 tys. m osobiście spotkał „człowieka śniegu". *„Stanąłem – powiedział – twarzą w twarz z czymś będącym półgorylem i półniedźwiedziem (...). Jego ruchy były podobne do ruchów małpy (...). Przód zwierzęcia wyglądał masywniej niż tył. Sylwetka niedźwiedzia sprawią wrażenie odwrotne (...)"*. Ślady, pozostawione przez tę istotę *„sprawiały wrażenie ludzkich, jednak były dużo większe"*. Zdaniem Szerpów, towarzyszących Whillandowi, były to ślady młodego yeti.

Wkrótce potem (1972 r.) w Himalaje ruszyła wyprawa amerykańskich przyrodników i lekarzy, kierowana przez doświadczonego teriologa (specjalistę od ssaków) Edwarda W. Cronina jr. W śniegach wokół szczytu Komgmaa La (wschodni Nepal) ekspedycja znalazła i sfotografowała świeże tropy, które nie mogły być – zdaniem zoologów uczestniczących w wyprawie – śladami żadnych zwierząt znanych nauce. Wyprawa Cronina niestety nie spotkała „człowieka śniegu", ale w raporcie ogłoszonym po powrocie w czasopiśmie naukowym wnioski brzmiały następująco:

1. Eksperci dokładnie zbadali, czy ślady mogły powstać pod wpływem nadtopienia „zwykłych" tropów przez Słońce i stwierdzili, że nie mogło się to wydarzyć (zatem wniosek przeciwny twierdzeniu Hillary'ego);
2. Ślady są podobne do tych, które utrwalił w swoim czasie Shipton;
3. Ślady nie pochodzą od żadnego znanego gatunku miejscowych zwierząt, na pewno nie są śladami kozicy, małpy langur ani niedźwiedzia tybetańskiego;
4. Ślady wskazują, iż istota, która je pozostawiła przypomina dużą małpę, chodzącą na dwóch tylnych kończynach. Wedle analiz innych wskaźników jest to istota raczej nocna, ciekawa, niezwykle silna, ale łagodna, trzymająca się rejonów bezludnych i położonych wysoko.

Kolejne fotografie nietypowych śladów (w domniemaniu zatem śladów yeti) przywiózł lord Hunt w 1973 r. z wyprawy na Everest i – uwaga! – polska wyprawa na górę Lhotse w 1974 r. Jerzy Surdel i Andrzej Zawada przywieźli doskonałe zdjęcia tajemniczych śladów (przypominam, że w 1986 r. Messner natrafił na ślady yeti właśnie w pobliżu szczytu Lhotse!). Warto może przytoczyć opinię brytyjskiego pisma „The Economist" z sierpnia 1978 r. *„W ramach obchodów jubileuszu (w Katmandu, w czerwcu 1978 r.) zdobycia Everestu, Polacy pokazali zdumiewające i bardzo przekonywające zdjęcia, które przedstawiały – w wielkości naturalnej – odciski stóp yeti"*.

Cokolwiek by sądzić na temat „człowieka śniegu", wydaje się niewątpliwe, iż COŚ musi zostawiać w Himalajach nietypowe ślady. Zgodnie z dobrą naukową zasadą tzw. brzytwy Ockhama („nie mnożyć bytów bez potrzeby" – co oznacza, iż najlepiej jest tłumaczyć nieznane zjawiska znanymi przyczynami) można jeszcze raz przyjrzeć się argumentom przeciw istnieniu „człowieka śniegu".

Otóż na przykład niektóre czworonogi

stawiają tylne łapy w ślady przednich i wygląda to, jakby kroczyły na dwóch nogach. Topnienie śniegu i potem marznięcie nocą w istocie może deformować ślady, powiększać je (nawet do 22%) – bez zmiany kształtu. Ślady przypisywane yeti teoretycznie mógłby zostawiać na przykład brunatny niedźwiedź himalajski (spotyka się go i na wysokości 5 km); ślady jego tylnych stóp trochę przypominają ślady dużej stopy ludzkiej, a pazury mogą być starte i nie odbić się. Ślady przednich łap niedźwiedzia są zupełnie inne, ale biegnące zwierzę stawia łapy tylne w ślady przednich! Przy zmianach po nadtopieniu za ślady yeti można wziąć trop śnieżnej pantery (spotyka się i do 6 km wysokości) lub małpy wąskonosej, zwanej langurem (do 4 km). W Himalajach – przypominają przeciwnicy „śnieżnego człowieka" – żyją też czasem pustelnicy – mnisi tybetańscy, asceci, okryci skórami i chodzący boso po śniegu, unikający ludzi. Może spotkania z yeti były niekiedy po prostu spotkaniem ze zdziczałym już całkiem pustelnikiem? Trudny tylko do wyjaśnienia byłby pojawiający się stale w opisach wielki wzrost istoty i zwłaszcza wydawany przez nią przeraźliwy gwizd. O gwizdaniu mówią wszyscy Szerpowie, którzy spotkali „człowieka śniegu" – a ostatnio i Messner. Dlaczegóż pustelnik-asceta miałby gwizdać na widok ludzi (bo na pewno nie potrafiłaby tego małpa ani niedźwiedź)?

„Problem yeti" jest szczególnie ciekawy o tyle jeszcze, że nie dotyczy tylko Himalajów. Tego rodzaju wielkie istoty, owłosione, biegające na tylnych łapach i zostawiające ślady ogromnych ludzkich stóp – spotyka się w wielu rejonach świata. Każda z tych istot ma swoją własną legendę, ale brak miejsca nie pozwala mi tych legend przytoczyć. Wspomnę więc tylko, że w Chinach istnieje Instytut Badań nad Dzikim Człowiekiem, a niedawno (w 1985 r.) w górach w prowincji Hunan pasterze złapali miejscową – jeśli tak rzec można – odmianę yeti. Niestety, zanim do wsi dotarli uczeni, istota zniknęła (podobno sprzedano ją do jakiegoś cyrku?); z opisów można wnosić, iż jest to rodzaj nieznanej nauce, wielkiej małpy. W każdym razie chińscy uczeni traktują sprawę poważnie, tym bardziej że opowieści o spotkaniu z „dzikim człowiekiem" są w Chinach nader częste. „Śnieżnych ludzi" spotyka się od dawna na przykład w Górach Hissarskich w Tadżykistanie (w 1979 r. ekspedycja Akademii Nauk ZSRR znalazła ślady, podobne do tych w Himalajach), legendy tadżyckie mówią o górskim potworze odani; kaukascy górale od dawna opowiadają o kaptarze, dzikim człowieku gór. Niemal równie sławny jak yeti jest zamieszkujący niedostępne rejony Mongolii ałmas (albo ałmast), przyrodnicy z Mongolskiej Akademii Nauk nie mają raczej wątpliwości, iż jest to gatunek nieznany nauce, być może nawet jakaś na pół wymarła gałąź... Neandertalczyków.

Ślady nieznanej olbrzymiej istoty człekokształtnej napotkano w Australii i na Tasmanii, na Sumatrze (orang pendek, zostawiający inne tropy, niż orangutan), na Cejlonie (nittaewo), w Afryce (od Mozambiku do Wybrzeża Kości Słoniowej spotyka się podobno rudawego agogwe, w Zairze mają żyć tajemnicze kakundari i kikomba, a Ameryce Południowej dzicy ludzie małpopodobni żyją w Andach (i porywają pasterzom krowy), w Gujanie – stwór, zwany didi, w Ameryce Środkowej – potwór sisemito. Najbardziej znany i „udokumentowany" jest olbrzym, najczęściej spotykany w stanach Oregon, Washington, Idaho, Wyoming i Montana (USA), nazwany sasquatch (po indiańsku) albo po prostu „wielka stopa" (bigfoot). Ślady „wielkiej stopy" niezwykle przypominają ślady yeti, amerykańskiemu olbrzymowi poświęcono już niejeden artykuł w poważnych naukowych czasopismach.

Tylko dlaczego nie znaleziono dotąd żadnych innych śladów po tych wszystkich olbrzymach – poza śladami stóp? Dlaczego nie ma kości, szkieletów, śladów po koczowaniu, polowaniu? A może są, tylko ich jeszcze nie rozpoznano?

Swoją drogą ciekawe, w ilu to legendach ilu różnych ludów (także tych z północy, które nie znają małp!) pojawiają się postacie olbrzymów, centaurów, leśnych faunów, samotnych potworów, które czasem porywają pasterzom zwierzęta, czasem niespodziewanie ratują ludzi z jakichś opresji, kiedy indziej znowu porywają kobiety...

W ostatnich latach poważne dyskusje w środowiskach naukowych wzbudziła hipoteza doktor Myry Shackley, amerykańskiej uczonej, zajmującej się antropologią i archeologią (nie jest to pierwsza tego rodzaju hipoteza, ale pani Shackley nadała jej formę naukową i wsparła dowodami). Otóż Myra Shackley twierdzi, że yeti, ałmas i sasquatch są pozostałymi przy życiu odmianami człowieka neandertalskiego... Neandertalczycy, którzy byli już ludźmi w całym tego słowa znaczeniu, żyli w Europie, Azji i Afryce w czasach od 125 000 do 35 000 lat temu i pozostawili po sobie wiele materialnych śladów. Mniej więcej 40 000 – 35 000 lat temu – w okresie międzylodowcowym – Neandertalczycy wymarli, zniknęli z powierzchni planety. Właściwie nie wiadomo, dlaczego tak się stało. Wedle jednej z hipotez, wyparli ich i zniszczyli całkowicie inteligentniejsi i bardziej dynamiczni przedstawiciele innej gałęzi hominidów, ukształtowani gdzieś w Afryce i rozprzestrzeniający się potem na wszystkich kontynentach. Wedle innej hipotezy – nowy szczep nie zniszczył Neandertalczyków, tylko ich zdominował, wymieszał się z nimi, nadał im swoje cechy genetyczne. Niezależnie od tego, jak było, Neandertalczycy zniknęli. Otóż nie – powiada pani Shackley – nie zniknęli całkowicie – ich resztki przetrwały w dawnej formie w najbardziej niedostępnych zakątkach Ziemi, zwłaszcza w Azji Centralnej. Właśnie w Azji Centralnej znajduje się do dziś narzędzia kamienne stosunkowo świeżej daty, o cechach tzw. kultury mustierskiej, charakterystycznych dla człowieka neandertalskiego.

Ale dlaczego – powtórzę – nigdy nie znaleziono szkieletu ałmasta ani yeti? Byłby to dowód niepodważalny! Nie trzeba dodawać, iż hipoteza dr Shackley ma więcej znacznie przeciwników niż zwolenników. Ale swoją drogą sensacja naukowa byłaby przednia, gdyby dziś złapano żywego Neandertalczyka! I czy udałoby się nawiązać z nim kontakt?

Poczekajmy na rezultaty nowej wyprawy Messnera. Na razie trafne wydaje się spostrzeżenie wspomnianego „The Economist": *„Jeśli z dzikim wrzaskiem strachu, potykając się i padając w śnieg, będziesz uciekać przed yeti, to twoim najmniejszym zmartwieniem będzie wieloletni spór na temat jego istnienia..."* ■



Marek Krzysztof Zalejski

Świnoujście po raz czwarty

Nowy rok tradycyjnie rozpoczął się od czwartego już Przeglądu Filmów Fantastycznych w Świnoujściu. Organizatorzy tej imprezy (Klub PSMF „Wąż Morski" i Świnoujskie Towarzystwo Kultury) dołożyli wszelkich starań, aby zapewnić uczestnikom miłe i interesujące spędzenie czterech zimowych dni (15–18 stycznia).

Przedstawiono bardzo interesujący zestaw filmów, m.in. „Starman" J. Carpentera, „Cocoon" R. Howarda, „Goonies" R. Donnera i po raz pierwszy pokazywany w Polsce „Enemy Mine" Wolfganga Petersena, który to film był bez wątpienia największą atrakcją tegorocznego przeglądu. Przypomniano także kilka dzieł starszych, ale z upływem lat nie tracących nic ze swoich walorów. Najsłynniejszym z nich był „Bal wampirów" Romana Polańskiego – znakomita parodia klasycznych filmów grozy. Łącznie zeprezentowano 20 obrazów.

W czasie imprezy zorganizowano także aukcję książek i wydawnictw klubowych oraz spotkania z zaproszonymi gośćmi: Bolesławem Hołdysem i Maciejem Parowskim. Niestety, nie doszło do skutku spotkanie z red. Jerzym Koralewskim, który w ostatniej chwili musiał zrezygnować z przyjazdu do Świnoujścia.

Na dobrym poziomie stało zakwaterowanie (Ośrodek Uzdrowiskowo-Szkoleniowy „Słowianin") i wyżywienie uczestników, co było zasługą przede wszystkim Janusza Maksymowicza, który dwoił się i troił, aby wszyscy wywieźli ze Świnoujścia dobre wspomnienia.

Mamy nadzieję, że przyszłoroczny jubileuszowy V PFF Świnoujście '88 będzie stał na równie wysokim poziomie.

P.M.Z.

Imprezy

Podlaski Klub Fantastyki „Taurus" i Środowiskowy Klub Fantastyki „Ubik" (oba z Białegostoku) planują wspólną organizację w czerwcu br. bardzo ciekawie zapowiadającej się imprezy „Kontur", po raz pierwszy w całości poświęconej tematowi „Komiks w fantastyce". W programie konwentu znajdą się seminaria, spotkania autorskie z twórcami komiksu i pisarzami SF, pokazy filmów, dla których pierwowzorami były słynne komiksy (np. „Superman", „Flash Gordon" czy „Buck Rogers") oraz wystawa komiksów krajowych i zagranicznych. W czasie trwania imprezy zostanie też rozstrzygnięty Ogólnopolski Konkurs Malarstwa SF.

★

Kolejny, trzeci już „Silcon" (cykliczna impreza organizowana przez Śląski Klub Fantastyki) odbędzie się tym razem w dniach od 18 do 21 czerwca 1987 r. w Katowicach. Brak na razie (luty 1987) bliższych szczegółów dotyczących programu, ale znając organizacyjną solidność kolegów z ŚKF można sądzić, że kolejny konwent tego klubu będzie równie udany jak poprzednie. O zasadach uczestnictwa można się dowiedzieć pisząc pod adresem: Śląski Klub Fantastyki, ul. Mariacka 17 a, 40-956 Katowice, skr. poczt. 502.

★

Przypominam, że w końcu maja br. upływa termin indywidualnych zgłoszeń w „Polconie 87", który odbędzie się w Warszawie w dniach od 10 do 13 września. Koszt uczestnictwa 5000 zł. Zgłoszenia prosimy kierować pod adresem: Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, 00-973 Warszawa 22, skr. poczt. 77 z dopiskiem „Polcon 87".

Mak

1975 (dokończenie)

1074. PISZCZKOWSKI Mieczysław: *Ignacy Krasicki. Monografia literacka.* Wyd. II popr. Kraków. Wyd. Literackie. 8°° ss. 498, nlb. 5, tabl. 17, portr. 3 000 egz. – M.in. o „Doświadczyńskim" s. 116–161 i „Historii" s. 238–269.
1075. WYDMUCH Marek: *Gra ze strachem. Fantastyka grozy.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 198, nlb. 2, bibliogr. 5 000 egz.
1076. ZGORZELSKI Andrzej: *Kreacje świata sensów. Szkice o współczesnej powieści angielskiej.* [niemal wyłącznie fantast.]. Łódź. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 90. 500 egz. – Lubelskie Towarzystwo Naukowe. Prace Wydziału Humanistycznego. Tom V.

„Zagadki nauki" (MS):

1077. BUGAJ Roman: *Nauki tajemne w Polsce w dobie Odrodzenia.* Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 252, nlb. 3, tabl. 24, portr. 4 000 egz. – Właśc. okultystyczne.
1078. von DAENIKEN Erich: *Wspomnienia z przyszłości. Nierozwiązane zagadki przeszłości.* Tłum. [z niem.] Leonia M. Gradstein i Eligiusz Kodur. Posłowie Marek Marciniak i Olgierd Wołczek. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 174, nlb. 2, tabl. 15, bibliogr. 30 000 egz.
1079. *EUREKA. Pomysły, poszukiwania, rozwiązania.* Wybór i tłum. [z ros.] Alicja Karpowicz. Warszawa. Iskry. 16° ss. 259, nlb. 1. 5 000 egz. – MS/F.
1080. SCIAMAD [ennis] W[iliam]: *Kosmologia współczesna.* Tłum. z ang. Marcin Kubiak. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 276, nlb. 3, tabl. 8. 4 000 egz. – Biblioteka Problemów, t. 204. – Dotyczy m.in. kosmologicznych „zagadek nauki".
1081. WOLBERG Lewis R[obert]: *Hipnoza.* Tłum. z ang. Zuzanna Stromenger. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 419, nlb. 1. 10 000 egz. – Biblioteka Problemów, t. 211.

Futurologia (F):

1082. CHAŚKIELEWICZ Stefan, TUSZKO Aleksander: *Polityka naukowa drugiej generacji.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 205, nlb. 3. 5 000 egz. – Omega, t. 287.
1083. CZYŻOWSKA Zdzisława: *Społeczny rozwój Polski.* Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 333, nlb. 6. 5 000 egz. – Prognozy, Perspektywy.
EUREKA. – zob. MS.
1084. GOŁASZEWSKI Tadeusz: *Futurologia.* Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 30, nlb. 1, bibliogr. 4 000 egz. – Polska Akademia Nauk Oddział w Krakowie. Nauka dla Wszystkich. nr 239.
HOLLANEK A.: *Błysk...* – zob. 1976 [antydat.].
LEM S.: *Rozprawy...* – zob. R.
1085. MARTIN James: *Przyszłość telekomunikacji.* Tłum. z ang. Edward Dumania [i in.]. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 582, nlb. 2. 3 500 egz. – Biblioteka Problemów, t. 204.
1086. SICIŃSKI Andrzej: *Dziś i jutro kultury polskiej.* Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 270, nlb. 2. 5 000 egz. – Prognozy, Perspektywy.
1087. SICIŃSKI Andrzej: *Młodzi w roku 2000. Opinie, wyobrażenia, postawy.* Warszawa. Inst. Wyd. CRZZ. 16° ss. 189, nlb. 3, tabl., wykr. 8 000 egz.

1976

SF dla dorosłych (ASF):

1088. *ALFA 1.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 4° ss. 64. 100 000 egz. – Koniec tekstu na s. 3 okł. – ASF/CJSF/MS.
1089. *ALFA 2.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 4° ss. 64. 100 000 egz. – Koniec tekstu na s. 3 okł. – ASF/CJSF/MS.
BRATNY R.: *Wybór...* – zob. U.
1090. [BULYČËV Kirill]: *Ludzie jak ludzie.* Tłum. [z ros.] Bolesław Baranowski [i in.]. Wybór Tadeusz Gosk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 313, nlb. 3. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda. – Na k. tyt. aut.: Kirył Bułyczow – Właśc. nazw. aut. Igor Możejko – ASF/CJSF.
1091. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Potrójny czas Galaktyki.* Opowiadania fantastyczne. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 198, nlb. 2. 20 000 egz.
1092. FIAŁKOWSKI Konrad: *Kosmodrom II.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 328, nlb. 4 70 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1093. [DNEPROV] Anatolij: *Piąty stan materii.* Tłum. [z ros.] Grzegorz Fedorowski. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Metoda doktora Quina.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 61, nlb. 3. 30 000 egz. – *Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór siódmy.* – Na k. tyt. nazw. pierwszego aut.: Dnieprow. – Tyt. okł.: *METODA doktora Quina.*
1094. FILAR Dariusz: *Czaszka olbrzyma.* Opowiadania. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 168, nlb. 4. 20 000 egz.
1095. *KROKI w nieznane. Almanach fantastyczno-naukowy.* T.VI. Aut.: Arthur C[harles] Clarke [i in.]. Red.: Lech Jęczmyk. Warszawa. Iskry. 8° ss. 289, nlb. 3. 20 000 egz. – Zawiera również *Fakty, hipotezy, zagadki* (MS) s. 245–290.
1096. KUCZYŃSKI Maciej: *Katastrofa.* Wyd. III. – Poznań, Wyd. Poznańskie. 16° ss. 183, nlb. 4. 100 000 egz. – Biblioteka Młodych – ASF/CJSF.
1097. LEM Stanisław: *Dzienniki gwiazdowe.* Wyd. IV zm. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 359, nlb. 5. 40 000 egz. – Zawiera: *Nota informacyjna. – Podróże VII, VIII, XI, XIII, XIV, XVIII, XX, XXI, XXII, XXIII, XXIV, XXV, XXVIII.*
1098. LEM Stanisław: *Katar.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 144, nlb. 4. 100 000 egz.
1099. LEM Stanisław: *Maska.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 276, nlb. 4. 40 000 egz.
1100. LEM Stanisław: *Opowieści o pilocie Pirxie.* Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 385, nlb. 3. 40 000 egz. – Zestaw ten sam, co w wyd. II.
1101. LEM Stanisław: *Solaris.* Wyd. V osobne. [w metryczce mylnie III]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 106, nlb. 4. 30 000 egz. – Kolekcja Polskiej Literatury Współczesnej.
1102. LEM Stanisław: *Suplement.* Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 209, nlb. 4. 30 000 egz. – Zawiera: *DZIENNIKI GWIAZDOWE: Podróże: XVIII, XX, XXI. – Kobyszczę – Ananke.*
1103. *LITERATURA na świecie* nr 1(57). [Numer poświęcony głównie SF]. Warszawa. RSW „Prasa-Książka-Ruch". 16° ss. 384.
1104. *LUDZIE i gwiazdy, Antologia opowiadań fantastyczno-naukowych pisarzy Krajów Demokracji Ludowej.* Red. i przedm. Czesław Chruszewski i Jerzy Kaczmarek. Aut.: Dimitrij Bilenkin [i in.]. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 461, nlb. 1. 20 000 egz. – SF.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**



Schwarzenegger jako szwarccharakter

Pisząc o filmach w „Fantastyce" zajmujemy się nie tyle obrazami SF, ile raczej tymi, które oglądają miłośnicy fantastyki. Filmów SF, a szczególnie dobrych, nie powstało tak wiele i mimo ogólnego przekonania, że tego typu produkcja jest na rynku filmowym masowa, literatura krytyczna obraca się wciąż wśród kilku tych samych nazwisk i kilkunastu tytułów. Do tych ostatnich dojdzie na pewno jeszcze jeden: „Terminator" Jamesa Camerona.

Film ten powstał w 1985 roku, a jego reżyser zadebiutował wcześniej jednym tylko tytułem „Piranha 2" (Pirania 2). Potem Cameron rozszerzał swoje umiejętności warsztatowe pracując nad efektami specjalnymi przy filmie „Escape from New York" (Ucieczka z Nowego Jorku) jako kierownik produkcji i pomocnik reżysera w „Planet of Horrors" (Planeta horrorów), a także jako kierownik artystyczny i kierownik zdjęć efektów specjalnych w „Battle beyond the Stars" (Bitwa pod gwiazdami). Drugim jego samodzielnym filmem był „The Terminator".

Pod koniec XX wieku na Ziemi wybucha wojna atomowa. Zagładzie nie ulega tylko garstka ludzi. Ocaleni utracili jednak wolę życia i przetrwania. Aktywne stają się natomiast nadzwyczaj już rozwinięte maszyny, które doskonalą się coraz bardziej i dążą do opanowania Ziemi. Na ich drodze staje jeden człowiek, mający w sobie tyle odwagi, determinacji i wiary, że potrafi nią zarazić innych ludzi. Zaczyna się walka z maszynami.

Korzystając z okazji, że rozwój techniki w XXI wieku pozwala na przeniesienie się w przeszłość, maszyny wysyłają do 1984 roku przedstawiciela swojej grupy – Terminatora. Lecz tuż za nim podąża przedstawiciel naszego gatunku. Finał walki rozgrywającej się w XXI wieku odbywa się więc w teraźniejszości.

Omawiany film nie ogranicza się – jak to zdarza się przy innych obrazach – do zademonstrowania paru efektów specjalnych, ale science fiction stanowi jego rdzeń, na którym oparty jest cały scenariusz. Mamy tu pętlę czasową, myślące maszyny, obraz Ziemi po zagładzie atomowej, a wszystko to związane w logiczną, zwartą całość.

Film można podzielić na trzy części. Pierwsza to wprowadzenie. Jeszcze nie wiemy kto jest dobry, a kto zły. Znana jest tylko ofiara. Umiejętnie budowana atmosfera napięcia narasta kiedy obaj przeciwnicy: cyborg-Terminator (Arnold Schwarzenegger) i człowiek z przyszłości Kyle Reese (Michael Biehn) poszukują w Los Angeles dziewczyny, która ma zostać matką Johna Connora – przyszłego przywódcy ludzi. Napięcie to nie wygasa w momencie jej odnalezienia.

W drugiej części reżyser wykorzystuje atrakcyjne chwyty charakterystyczne dla filmów awanturniczych. Mamy tu więc brawurowe rajdy samochodowe, efektowne katastrofy, ucieczki przed policją itd.

Wreszcie trzecia część, która przynosi rozwiązanie i zakończenie. To zazwyczaj najtrudniejsza faza filmu, zwłaszcza gdy nakręcony jest on w konwencji, gdzie dobro zawsze bierze górę nad złem, tak że od początku filmu wiemy właściwie, jakie będzie jego zakończenie. „The Terminator" zaskakuje brawurą znakomitych scen finałowych, które unaoczniają widzom, że jego bohater cyborg nie ma w sobie nic z człowieka. Jego ludzka powłoka była tylko „ubraniem" potrzebnym mu w XX wieku.

Jedynym, jak wydaje mi się, słabym punktem filmu jest koncepcja „drzwi czasu". Postacie z przyszłości wpadają w nasz świat przy efektownych wyładowaniach elektrycznych (?!), zupełnie gołe, ponieważ drzwi te nie przepuszczają przedmiotów nie będących pochodzenia naturalnego. Ale wobec tego sam Terminator, który jest przecież maszyną, nie powinien był się przez nie dostać. Realizatorom filmu potrzebne było takie założenie, żeby walka rozgrywała się za pomocą broni znanej i dostępnej w naszych czasach. Nieobecność nieznanych przedmiotów urealnia sytuację, przy czym ukazano również o ile technika w 2029 roku wyprzedziła naszą.

W Polsce film ten jest znany pod swoim angielskim tytułem, którego znaczenie jednak różni się od polskiego. Angielski terminator to albo ktoś kontynuujący po śmierci innej osoby jej dzieło, albo linia oddzielająca część powierzchni ciała niebieskiego oświetloną przez słońce od części nie oświetlonej. Dlaczego więc właśnie tak nazwano najbardziej rozwinięty gatunek cyborgów? Czy mimo optymistycznej dla ludzkości wymowy ostatnich scen filmu, cywilizacja Terminatorów będzie kontynuacją naszej, po wyginięciu gatunku ludzkiego? A może jednak te myślące maszyny mają być granicą, którą człowiek musiałby pokonać, żeby nauczyć się żyć w świecie postatomowej wiecznej nocy?

Jeżeli już mowa o terminach językowych, to warto zwrócić uwagę na nazwę klubu, w którym rozgrywa się jedna z kluczowych scen filmu. Raz po raz pojawia się neon z napisem „Tech noir". *Tech* to oczywiście skrót od słowa technika, *noir* oznacza w języku francuskim kolor czarny. W ten sposób przypadkowo stworzony został termin, którym zaczęto już określać obrazy takie jak „The Terminator". Choćby z tego powodu wejdzie on z pewnością do historii kina SF, choć myślę, że przywoływanych będzie również parę scen, jak na przykład sekwencja ukazująca zranioną maszynę naprawiającą samą siebie lub interesujący pokaz komputerowego sposobu widzenia Terminatora. A także obraz wstającego z płonących resztek cysterny z benzyną cyborga (który może być odbierany symbolicznie: ginie człowiek, rodzi się maszyna, a wszystko to w oczyszczającym ogniu).

Nadzieję, że „The Terminator" nie jest jednorazowym zrywem talentu Jamesa Camerona, potwierdza fakt sukcesu jego następnego filmu, który niedawno wszedł na ekrany kin zachodniej Europy. Myślę o obrazie „Aliens" (Obcy), który jest drugą częścią filmu znanego u nas pod tytułem „Obcy, 8 pasażer Nostromo" (reż. Ridley Scott).

Dorota Malinowska

THE TERMINATOR. Reżyseria: James Cameron. Scenariusz: James Cameron i Gale Anne Hurd. Zdjęcia: Sean McLin. Obsada: Arnold Schwarzenegger, Michael Biehn, Linda Hamilton. USA, 1985.

PS. Film „Terminator" wejdzie w tym roku na ekrany naszych kin. Zakupiliśmy również inne obrazy SF: „Nie kończąca się opowieść" Wolfganga Petersena, którą omówiłam w „Fantastyce" nr 3/30/85 oraz „Listy Martwego Człowieka" Konstantina Łopuszańskiego, „Starman" Johna Carpentiera i „Highlander" Russela Mulcaniego.

D.M.